

MICHAEL MOOREOCK

HISTORIA RUNESTAFFA:

AMBER



Fantasy



Spis treści

- [KARTA TYTUŁOWA](#)

- [KSIĘGA PIERWSZA](#)
 - [ROZDZIAŁ I Amulet Szalonego Boga](#)
 - [ROZDZIAŁ II HUILLAM d'AVERC](#)
 - [ROZDZIAŁ III WIDMOWCY](#)
 - [ROZDZIAŁ IV MECHANICZNA BESTIA](#)
 - [ROZDZIAŁ V MASZYNA](#)
 - [ROZDZIAŁ VI OKRĘT SZALONEGO BOGA](#)
 - [ROZDZIAŁ VII PIERSCIEN NA PALCU](#)
 - [ROZDZIAŁ VIII CZŁOWIEK SZALONEGO BOGA](#)

- [KSIĘGA DRUGA](#)
 - [ROZDZIAŁ I OCZEKUJĄCY RYCERZ](#)
 - [ROZDZIAŁ II ZAMEK SZALONEGO BOGA](#)
 - [ROZDZIAŁ III DYLEMAT HAWKMOONA](#)
 - [ROZDZIAŁ IV MOC AMULETU](#)
 - [ROZDZIAŁ V RZEŻ W HOLU](#)
 - [ROZDZIAŁ VI BESTIE SZALONEGO BOGA](#)
 - [ROZDZIAŁ VII POTYCZKA W TAWERNIE](#)
 - [ROZDZIAŁ VIII OBÓZ MROCNIEGO IMPERIUM](#)
 - [ROZDZIAŁ IX PODRÓŻ NA POŁUDNIE](#)
 - [ROZDZIAŁ X UPADEK KAMARGU](#)
 - [ROZDZIAŁ XI POWRÓT RYCERZA](#)
 - [ROZDZIAŁ XII UCIECZKA DO PRZEDPIEKŁA](#)

Michael Moorcock

AMULET
SZALONEGO BOGA

The Mad God's Amulet

Przełożył: Andrzej Leszczyński

RUNESTAFF
(TOM: 2)



AMBER

Wydawca światowych
bestsellerów

1991

KSIĘGA PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

Amulet Szalonego Boga

Miasto było stare, mocno nadgryzione zębem czasu – kamienie ścian wypolerowane przez wiatry, sypiące się sztukaterie, chylące wieże i kruszące ściany. Dzikie owce skubały trawę wyrastającą pomiędzy szczelinami potrzaskanych kamieni bruków, a jaskrawo upierzone ptaki gniazdowały między kolumnami o ledwie widocznych już mozaikach. To miasto niegdyś olśniewało i szokowało; teraz było tylko piękne i spokojne. Dwaj podróżnicy wjechali między mury w łagodnym świetle poranka, owiewani łagodnym wiatrem w ciszy starożytnych ulic. Odgłos kopyt końskich zanikł, kiedy zagłębili się między pozieleniałe ze starości wieże i pogrążyli w labiryncie ruin, połyskujących od pomarańczowego, ochrowego i purpurowego kwiecia. Oto byli w Soryandum – mieście opuszczonym przez mieszkańców.

Zarówno oni obaj, jak i konie byli tak samo szarzy od pokrywającego ich grubą warstwą pyłu, upodabniało ich to do ożywionych posągów. Jechali powoli, rozglądając się z zaciekawieniem i podziwiając piękno martwego miasta.

Jeden z nich był wysokim i szczupłym mężczyzną; miał ruchy pełne gracji pomimo zmęczenia, co pozwalało domyślać się znamienitego szermierza. Jego piękne, długie loki słońce rozjaśniło niemal do białości, a w jasnoblękitnych oczach tlił się ogień szaleństwa. Jednak najbardziej niezwykłą rzeczą w jego wyglądzie był matowy czarny klejnot wrośnięty pośrodku czoła –

stygmata, który zawdzięczał perwersyjnym działaniom naukowców-magików z Granbretanu. Był to Dorian Hawkmoon, książę Kln, wygnany ze swych prawowitych włości przez najeźdźców z Mrocznego Imperium, które planowało zawładnąć całym światem. Dorian Hawkmoon, który poprzysiągł zemstę najpotężniejszej ze wszystkich nacji na tej umęczonej wojnami planecie.

Stworzenie jadące za Hawkmoonem dźwigało na plecach wielki kościany łuk i kołczan wypełniony strzałami. Odziane było jedynie w parę krótkich spodni i buty z miękkiej zamszowej skóry, a całe jego ciało, łącznie z twarzą, pokrywała ruda, skręcona sierść. Wzrostem stwor ten nie sięgał nawet ramienia Hawkmoona. Był to Oladah, potomek czarownika i Gigancicy z Gór Bułgarskich.

Oladah rozglądał się dokoła zmieszany, otrzepując kurz ze swego futra.

— Nigdy nie widziałem równie wspaniałego miasta. Dlaczego dostało porzucone? Dlaczego ludzie opuścili takie miejsce?

Hawkmoon, jak czynił to zwykle, gdy był zakłopotany, potarł klejnot na czole.

— Może epidemia? Któż to wie? Miejmy nadzieję, że jeśli panowała tu zaraza nie ma już po niej śladu. Zresztą później będziemy się zastanawiać. Jestem pewien, że słyszę skądś szum wody, a jest to moje najgorętsze marzenie. Jedzenie to drugie, sen trzecie, a pomyśl, drogi Oladahn, o tym odległym czwartym...

Na jednym z placyków, miasta natknęli się na ścianę z szarobłękitnego kamienia, pokrytą płaskorzeźbą przedstawiającą pływające postacie. Z oczu jednej z kamiennych panien wytryskiwała krystalicznie czysta woda i spadała do znajdującego się poniżej zagłębienia. Hawkmoon pochylił się i

napił, po czym przeciągnął mokrymi dłońmi po pokrytej kurzem twarzy. Odsunął się do tyłu, ustępując miejsca Oladahnowi, a następnie podprowadził konie, by także ugasiły pragnienie.

Potem sięgnął do torby przy siodle i wydobyl pogniecioną i postrzępioną mapę, którą otrzymali w Hamadanie. Zaczął przesuwać po niej palcem, aż wreszcie znalazł nazwę „Soryandum”. Uśmiechnął się z ulgą.

— Nie zboczyliśmy zbyt daleko od zamierzonej przez nas trasy – powiedział. – Za tymi wzgórzami płynie Eufkrat, a jakiś tydzień drogi od niego znajduje się Tarabulus. Odpoczniemy tutaj dzień i noc, po czym ruszymy w dalszą drogę. Odświeżeni będziemy posuwali się szybciej. Oladahn uśmiechnął się.

— Owszem. Domyślam się też, że przed wyjazdem przeszukasz całe miasto. – Ochlapał wodą swoje futro, po czym schylił się po łuk i strzały. – A co się tyczy twojego drugiego marzenia, jedzenia, to niedługo wrócę. Widziałem dzikie barany pasące się na wzgórzach. Dzisiaj!na obiad będziemy mieli pieczoną baraninę.

Dosiadł konia i zawrócił w kierunku rozwalonych bram miasta, podczas gdy Hawkmoon, zrzuciwszy z siebie ubranie, począł nabierać pełne garście zimnej źródlanej wody i ochlapywać głowę i całe ciało, posapując i rozkoszując się poczuciem całkowitego luksusu. Po jakimś czasie sięgnął do torby przy siodle, wyciągnął świeże ubranie i nałożył na siebie jedwabną koszulę, którą dostał od królowej Frawbry z Hamadanu, oraz parę niebieskich bawełnianych spodni z rozszerzającymi się ku dołowi nogawkami. Radując się z możliwości zrzucenia z siebie ciężkich skór i żelaznego pancerza, w jakich przemierzał pustynię w obawie przed napotkaniem podążających jego śladem ludzi Mrocznego Imperium,

Hawkmoon uzupełnił garderobę parą lekkich sandałów, a o uprzednich obawach świadczył tylko przytroczony nadal do pasa miecz.

Było raczej mało prawdopodobne, by ktoś dotarł ich tropem aż tutaj. Ponadto miasto wydawało mu się tak bardzo spokojne, że nie wierzył, by czało się tu jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Podszedł do konia, rozsiadł go, po czym schronił się w cieniu zrujnowanej wieży, gdzie usiadł oparty o kamienną ścianę w oczekiwaniu na Oladahna i obiecaną baraninę.

Wkrótce minęło południe i Hawkmoon zaczął się martwić o przyjaciela. Gdy upłynęła kolejna godzina, niepokój ogarnął go na dobre, zaczął więc ponownie siodłać swego konia.

Hawkmoon doskonale wiedział, że było wręcz niemożliwe, by tak doświadczony łucznik jak Oladahn poświęcił tyle czasu na pościg za jedną dziką owcą. Z drugiej strony nie dostrzegał jednak jakiegokolwiek zagrożenia. Możliwe, że Oladahn tak bardzo się utrudził, że postanowił pospać godzinkę czy dwie przed powrotem z upolowaną zwierzyną do miasta. Nawet jeśli taki był istotnie powód jego spóźnienia, Hawkmoon zdecydował się mu pomóc.

Dosiadł konia i pojechał w kierunku rozsypującego się muru obronnego miasta oraz rozciągających się za nim wzgórz. Wydawało mu się, że koń odzyskał wiele ze swej pierwotnej energii, kiedy tylko jego kopyta dotknęły trawy. Musiał aż ściągnąć nieco wodze, zagłębiając się między wzgórzami krótkim galopem.

Dostrzegł przed sobą stado dzikich owiec, prowadzone przez wielkiego, wyglądającego groźnie barana, możliwe nawet, że tego samego, o którym wspominał Oladahn. Nigdzie jednak nie było widać śladów małego zwierzoczęłka.

— Oladah! – zawołał, wypatrując go na zboczach. Oladah!

Ale odpowiadało mu jedynie stłumione echo. Hawkmoon zmarszczył brwi, po czym popędził konia galopem w stronę szczytu najwyższego w okolicy wzgórza, mając nadzieję, że z takiego posterunku obserwacyjnego dostrzeże kamrata. Dzikie owce rozbiegały się na boki przed koniem pędzącym po sprężystej trawie. Dotarł wreszcie na szczyt wzgórza i osłonił dłonią oczy od blasku słońca. Rozglądał się na wszystkie strony, ale nigdzie nie było śladu Oladahna.

Przez kilka chwil penetrował okolicę w nadziei, że zauważy przynajmniej jakieś ślady przyjaciela. Kiedy znowu zwrócił wzrok w stronę miasta, dostrzegł jakiś ruch w pobliżu placyku, gdzie tryskało źródło. Czyżby zawodziły go oczy, czy też naprawdę widział sylwetkę człowieka poruszającego się w cieniu ulicy, która odchodziła od placu w kierunku wschodnim? Czyżby Oladah wrócił do miasta inną drogą? Jeśli tak, to dlaczego nie odpowiadał na jego wołanie?

Gdzieś w zakamarkach podświadomości zrodziło się nagle przerażenie, mimo to Hawkmoon nadal nie dopuszczał myśli, że miasto mogłoby kryć w sobie jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Skierował konia z powrotem w dół zbocza i wkrótce przeskoczył przez wyłom w murach obronnych.

Odgłos kopyt końskich, tłumiony przez zalegający kurz, rozległ się głuchym echem wzdłuż ulicy. Hawkmoon popędził w stronę placyku, wykrzykując wciąż imię Oladahna. Lecz znowu odpowiadało mu tylko echo. Na placyku nie było nawet śladu małego człowieczka z gór.

Hawkmoon zmarszczył brwi; upewniony wreszcie, że on i Oladah nie są jedynymi ludźmi w mieście, chociaż wciąż nie mógł nigdzie dostrzec żadnych śladów mieszkańców.

Ruszył w stronę jednej z ulic, lecz w tym samym momencie do jego uszu dotarł dobiegający z góry przytłumiony odgłos. Zadarł głowę, pewien, że zna ten dźwięk, i zaczął obserwować niebo. W końcu dostrzegł go – odległy czarny kształt zawieszony w powietrzu. Nagle promienie słoneczne odbiły się od metalowej powierzchni. Dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy – furkot i chrzęst gigantycznych skrzydeł z brązu. Hawkmoonowi serce podeszło do gardła.

Bez wątpienia był to ozdobny skrzydłolot, wykuty w kształty gigantycznego kondora i pomalowany na niebiesko, szkarłatno i zielono. Żadna inna nacja na Ziemi nie dysponowała podobnymi statkami. Była to latająca maszyna Mrocznego Imperium Granbretanu.

Teraz zniknięcie Oladahna dawało się prosto wytłumaczyć. W Soryandum obecni byli żołnierze Mrocznego Imperium. Należało przypuszczać, że rozpoznali Oladahna, wiedzieli zatem, że Hawkmoon znajduje się gdzieś w pobliżu. A był przecież najbardziej znienawidzonym przeciwnikiem Mrocznego Imperium.

ROZDZIAŁ II

HUILLAM d'AVERC

Hawkmoon skrył się w cieniu ulicy, żywiąc nadzieję, że nie został zauważony ze skrzydłolotu. Czyżby Granbretańczycy podążali jego śladem przez pustynię? Było to mało prawdopodobne. Cóż więc mogło stanowić przyczynę ich obecności na tym odludziu?

Hawkmoon wy dobył wielki bitewny miecz z pochwy i zsiadł z konia. Pobiegł wzdłuż ulicy szukając należytego schronienia, czując się w miękkim stroju z jedwabiu i bawełny wystawiony na ataki o wiele bardziej niż poprzednio.

Skrzydłolot leciał już zaledwie kilka metrów ponad najwyższymi wieżami Soryandum, pewnie szukał właśnie jego – człowieka, któremu Król-Imperator Huon poprzysiągł zemstę za „zradę” Mrocznego Imperium. Prawdopodobnie zabił barona Meliadusa w bitwie o Hamadan ale też Król-Imperator bez wątpienia wyznaczył już nowego emisariusza, polecając mu ścigać znenawidzonego Hawkmoona.

Młody książę Kln nie spodziewał się, że jego podróż będzie bezpieczna, nie przypuszczał jednak, że zostanie wytropiony tak szybko.

Znalazł się w pobliżu ciemnej budowli, na poły w ruinie; chłód sieni obiecywał bezpieczne schronienie. Wszedł do środka i znalazł się w przestronnym holu o ścianach z jasnego łupanego kamienia, częściowo pokrytych miękkim mchem i kwitnącymi porostami. Przy jednej ze ścian wiodła w górę

wstążka schodów. Z wysuniętym przed siebie mieczem pokonał kilka pięter porośniętych dywanem mchu stopni i znalazł się w niewielkim pokoiku, do którego słońce zaglądało poprzez wyrwę, utworzoną przez wykruszony fragment ściany. Przyciskając się do muru Hawkmoon wyjrzał przez dziurę. Widać stąd było większą część miasta. Ujrzał także skrzydłolot, zataczający koła i nurkujący, w miarę jak skryty za sępią maską pilot przeszukiwał ulice.

W niezbyt wielkiej odległości wznosiła się wieża z wyblakłego zielonego granitu. Stała dokładnie w centrum miasta, dominując nad całym Soryandum. Skrzydłolot zatoczył nad nią kilka kół i Hawkmoon pomyślał, iż pilot sądzi, że on ukrył się właśnie tam. Lecz nagle latająca maszyna osiadła na płaskim, obrzeżonym flankami dachu wieży. Skądś z dołu pojawiły się inne postacie, dołączając do pilota.

Z pewnością ci ludzie także byli Granbretańczykami. Wszyscy mieli na sobie ciężkie zbroje i płaszcze, a ich głowy, mimo lejącego się z nieba żaru, skrywały olbrzymie metalowe maski. Taka już była pokrętna natura żołnierzy Mrocznego Imperium; nie pozbywali się swych masek bez względu na okoliczności. Wynikało to chyba z jakichś głęboko zakorzenionych psychicznych uwarunkowań.

Ich rdzawoczerwone i ciemnożółte maski przedstawiały rozwścieczonego dzikiego odyńca z płonącymi klejnotami w miejsce oczu i kościanymi kłami wystającymi z wysuniętego do przodu pyska.

A więc byli to żołdacy Zakonu Odyńca, słynący w całej Europie z okrucieństwa. Sześciu ludzi otaczało kręgiem swego przywódcę, wysokiego, smukłego mężczyznę, którego maska, wykonana ze złota i brązu, była tak precyzyjnie rzeźbiona, że

stanowiła niemalże karykaturę maski zakonnej. Człowiek ten wspierał się na ramionach dwóch swoich ludzi – przysadzistego kolosa i niesamowitego giganta, którego odsłonięte ramiona i nogi odznaczały się nieludzkim wręcz owłosieniem. Hawkmoonowi przemknęło przez myśl, że ich dowódca musi być albo chory, albo ranny. A jednak w sposobie, w jaki się wspierał na ramionach żołnierzy było coś sztucznego, niemal teatralnego. W tej samej chwili dotarło do niego, że wie już, kim jest ów dowódca. Był to z pewnością francuski renegat, Huillam d'Averc, niegdyś wspaniały malarz i architekt, który przyłączył się do Granbretańczyków na długo przedtem, nim podbili Francję. Ów zagadkowy osobnik był niezwykle groźnym przeciwnikiem, zwłaszcza dla tych, których zwiódł swą chorobą.

Dowódca Odyńców przemówił do ukrytego za sępią maską pilota, ten zaś w odpowiedzi pokręcił głową. Nie widział Hawkmoona, wskazywał jednak ręką miejsce, gdzie ten zostawił konia. D'Averc – o ile to był d'Averc apatycznie wydał rozkaz jednemu z żołnierzy, który zniknął gdzieś na dole, niemal natychmiast wyłonił się z powrotem, ciągnąc opierającego się i szamoczącego Oladahna.

Z głębokim uczuciem ulgi Hawkmoon przyglądał się, jak dwóch żołnierzy w maskach dzików ciągnie Oladahna w stronę blanków sterczących na dachu. Wiedział przynajmniej, że jego przyjaciel żyje.

Dowódca Odyńców wykonał kolejny ruch dłonią, po którym zamaskowany pilot pochylił się ku pulpitowi swej latającej maszyny, wyciągnął stamtąd dzwonokształtny megafon i wręczył go gigantowi, na ramieniu którego wspierał się dowódca. Olbrzym przysunął megafon do pyska maski.

W ciszę wypełniającą miasto wdarł się nagle znudzony,

zmęczony życiem głos.

— Wiemy, że znajdujesz się gdzieś w mieście, książę Kln. Schwytaliśmy twego sługę. Za godzinę zajdzie słońce. Jeśli do tego czasu nie oddasz się w nasze ręce, będziemy zmuszeni zabić tego małego człowieczka...

Teraz Hawkmoon miał już pewność, że był to Huillam d'Averc. Skojarzenie brzmienia głosu z wyglądem tego człowieka rozwiało wszelkie wątpliwości. Ujrzał teraz, jak gigant wręcza megafon z powrotem pilotowi, po czym wraz z drugim kolosem pomagają swemu dowódcy podejść do częściowo zrujnowanych blanków, tak by d'Averc mógł się oprzeć i popatrzeć na rozciągające się w dole ulice.

Hawkmoon opanował wściekłość i oszacował wzrokiem odległość dzielącą jego kryjówkę od wieży. Gdyby wyskoczył przez wyrwę w murze, mógłby po płaskich dachach budynków dotrzeć do sterty gruzów, jaka widniała przy jednej ze ścian wieży. Stamtąd z łatwością wdrapałby się na obrzeżony blankami dach. Ale zostałby dostrzeżony natychmiast po opuszczeniu swej kryjówki. Tę drogę można było przebyć jedynie pod osłoną nocy, a tuż po zapadnięciu zmroku tamci z pewnością zaczęłyby torturować Oladahna.

W zakłopotaniu dotknął palcami klejnotu na czole, symbolu swej uprzedniej zależności od Granbretanu. Wiedział, że jeśli się podda, zostanie albo zabity na miejscu, albo przewieziony do Granbretanu, gdzie czeka go straszliwe, powolne konanie ku uciesze perwersyjnych lordów Mrocznego Imperium. Przyszła mu na myśl Yisselda, której obiecał powrócić, oraz hrabia Brass, któremu przysiągł pomoc w walce przeciwko Granbretanowi. Pomyślał także o Oladahnie, z którym połączyła go dozgonna przyjaźń po tym, jak mały zwierzoczek ocalił mu życie.

Czy mógł poświęcić przyjaciela? Czy mógłby usprawiedliwić taki czyn, nawet jeśli logiczne było, że jego życie ma o wiele większą wartość w walce przeciwko Mrocznemu Imperium? Hawkmoon wiedział, że w tym wypadku logika się nie liczy. Ale zdawał sobie także sprawę, że własne poświęcenie może być równie bezcelowe, nie miał bowiem żadnej gwarancji, że dowódca Odyńców uwolni Oladahna, jeśli on sam się podda.

Zagryzł wargi i zacisnął mocno dłoń na rękojeści miecza. Podjął wreszcie decyzję. Wychylił się daleko poprzez wyrwę w ścianie, przytrzymując się jedną ręką kamiennych murów, po czym pomachał błyszczącą głownią w kierunku wieży. D'Averc leniwie skierował wzrok w tę stronę.

— Musicie uwolnić Oladahna, zanim się wam poddam – zawołał Hawkmoon. – Wiem, że wszyscy ludzie z Granbretanu są kłamcami. Ja ze swej strony daję wam słowo, że jeśli wypuścicie Oladahna, oddam się w wasze ręce.

— Może i jesteśmy kłamcami – rozległ się apatyczny, ledwie słyszalny głos – ale nie jesteśmy głupcami. Jak możemy zaufać ci na słowo?

— Jestem księciem Kln – odparł prostolinijnie Hawkmoon. – A my nigdy nie łamiemy słowa.

Za maską dzika rozbrzmiał cichy, ironiczny śmiech.

— Ty możesz być naiwny, książę Kln, ale Huillam d'Averc nie. Czy mogę jednakże zaproponować kompromis? – Jaki? – zapytał podejrzliwie Hawkmoon.

Proponuję, byś przeszedł pół drogi do nas i znalazł się w zasięgu ognistej lancy naszego skrzydłolotu, a wówczas uwolnimy twego sługę. – D'Averc zakasłał ostentacyjnie i oparł się całym ciężarem na blankach. – Co na to powiesz?

— To ma być kompromis? – zawołał Hawkmoon. Wtedy

będziesz mógł z łatwością zabić nas obu, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo.

— Mój drogi księżę, Król-Imperator o wiele bardziej wolałby cię dostać żywego. Czyżbyś o tym nie wiedział?

Idzie tu także o mój własny interes. Jeśli cię zabiję, co najwyżej mogę liczyć na tytuł baroneta, jeśli zaś uraduję Króla-Imperatora przywożąc cię żywego, niemal na pewno czeka mnie tytuł księżęcy. Czyżbyś nie słyszał o mnie, księżę Dorianie? Ja jestem tym ambitnym Huillamem d'Avercem.

Jego argumenty były przekonujące, Hawkmoon wiedział jednakże, iż d'Averc ma reputację krętacza. I chociaż było prawdą, że żywy przedstawia dla Francuza o wiele większą wartość, to ów renegat mógł jednak zdecydować, że korzystniej będzie nie ryzykować i tak oczekującej go nagrody i zabić Hawkmoona, kiedy ten tylko znajdzie się w zasięgu ognistej lancy.

Hawkmoon zastanawiał się przez chwilę, po czym westchnął głośno.

— Zrobię tak, jak pan proponuje, Huillamie – rzekł, szykując się do przeskoczenia wąskiej uliczki, która oddzielała go od ciągu płaskich dachów.

— Nie, księżę Dorianie! – krzyknął Oladah. – Pozwól im zabić mnie! Moje życie jest bez wartości!

Ale Hawkmoon zachowywał się tak, jakby nie słyszał okrzyków przyjaciela. Wskoczył przez wyrwę, lądując ciężko na piętach na dachu sąsiedniego domu. Stara konstrukcja zatrzęsała się w posadach i przez chwilę miał wrażenie, że za chwilę spadnie, jako że dach omal się nie załamał. Budynek wytrzymał jednak i Hawkmoon ruszył ostrożnie w stronę wieży.

Oladah krzyknął jeszcze raz i zaczął szamotać się w uścisku

swoich prześladowców.

Hawkmoon zignorował go i posuwał się nadal do przodu ściskając w dłoni obnażony miecz, pozornie zwieszający się ku ziemi, jak gdyby o nim zapomniał.

Wreszcie Oladahnowi udało się wyrwać z rąk strażników i rzucił się biegiem w poprzek dachu wieży, a dwaj żołnierze, klnąc głośno, pobiegli za nim. Hawkmoon widział, jak przyjaciel dobiegł do krawędzi dachu, zatrzymał się na chwilę, po czym przeskoczył przez blanki.

Na moment Hawkmoon zamarł z przerażenia, nie bardzo mogąc pojąć pobudki, dla których Oladahn poświęcił życie. Zacisnął mocniej dłoń na rękojeści miecza i uniósł głowę, by popatrzeć na d'Averca i jego ludzi. Ogniste działo obracało się już w jego stronę. Schylił się nisko i rzucił ku krawędzi dachu. Nad jego głową z dzikim szumem zapłonął ognisty płomień, jak gdyby próbując dosięgnąć go swymi mackami. Zsunął się z dachu i zawisł na rękach, spoglądając na leżącą daleko w dole ulicę.

W pobliżu, nieco na lewo, zaczynał się ciąg wystających z kamiennej ściany ozdób. Przesunął się w tamtą stronę, tak że mógł oprzeć się na najbliższej z nich. Zbiegały pod kątem w dół ściany, sięgając niemal poziomu ulicy. Ale kamienie były mocno zwietrzałe. Czy było możliwe, by go utrzymały?

Nie mógł się jednak wahać. Zawisł całym ciężarem na pierwszym z nich. Kamień zaczął pękać i kruszyć się, niczym spróchniały ząb. Szybko przesunął się na następny, a potem na kolejny. Ze ściany zaczęły odpadać kamienne odłamki; spadały w dół i rozбивały się na odległej ulicy.

W końcu udało mu się zejść na tyle nisko, że bezpiecznie zeskokczył na bruk, lądując miękko w pokrywającym go grubą warstwą pyle. Ruszył teraz biegiem, ale nie dalej od wieży, lecz

właśnie w jej kierunku. Jego myślami rządziło niepodzielnie pragnienie zemsty na d'Avercu za to, iż przywiódł Oladahna do samobójstwa.

Znalazł wejście do wieży i wskoczył do środka w samą porę, by usłyszeć łomot podkutych żelazem buciorów zbiegających na dół d'Averca i jego żołdaków. Wybrał odpowiednie miejsce na ograniczonych barierką schodach, takie, gdzie Granbretańczycy mogli podchodzić do niego tylko pojedynczo. Pierwszy pojawił się d'Averc, który na widok spoglądającego spode łba Hawkmoona zatrzymał się gwałtownie, po czym sięgnął osłoniętą rękawicą dłonią po swój długi miecz.

— Jesteś głupcem, że nie skorzystałeś ze sposobności ucieczki, jaką stworzyło ci bezsensowne poświęcenie twego przyjaciela – odezwał się lekceważąco najemnik w masce dzika. – Jak sądzę, czy chcę tego czy nie, będziemy musieli cię teraz zabić... – Zaniósł się kaszlem i zgiął wpół, niemalże w agonii, po czym oparł ciężko o ścianę. Skinął słabnącą dłonią na stojącego za nim przysadzistego kolosa, jednego z tych, którzy pomagali mu poruszać się po dachu wieży.

— Och, drogi książę Dorianie. Musisz mi wybaczyć... ta słabość dopada mnie w najbardziej nieodpowiednich momentach. Ecardo, czy mógłbyś...?

Potęźnie zbudowany Ecardo skoczył do przodu, pomrukując i dobywając wielkiego bitewnego topora o krótkim trzonku. Wysunął przed siebie miecz trzymany w drugiej dłoni i aż mlasnął z radości.

— Dziękuję, panie. Przekonamy się teraz, jak ten bez maski potrafi tańczyć – rzekł, szykując się do ataku. Hawkmoon zaparł się nogami, przygotowany do odparcia pierwszego ciosu.

Ecardo skoczył na niego z dzikim wrzaskiem, ostrze topora

przecięło ze świstem powietrze, lecz zostało powstrzymane przez miecz Hawkmoona. Teraz krótki miecz Ecarda wzniósł się w górę, a Hawkmoon, osłabiony silnie przez głód i tułaczkę po pustyni, ledwie zdążył wykonać unik ciałem. Poczuł, że ostrze miecza dosięga jego bawełnianych spodni i przecina mu skórę.

Hawkmoon błyskawicznie wysunął klingę spod topora i jego miecz spadł z hukiem na zdającą się szczyrzyć zęby w uśmiechu maskę odyńca, wybijając z niej jeden kiel i silnie wgniatając wysunięty pysk. Ecardo zakławszy chciał wymierzyć następne pchnięcie, lecz Hawkmoon w porę przycisnął uzbrojone ramię przeciwnika i uwięził je między swym ciałem a ścianą. Szybko zwolnił uścisk na rękojeści miecza, tak że ten zwiśł swobodnie na rzemieniu opasującym jego nadgarstek, po czym chwycił drugą rękę Ecarda, chcąc wykręcić ją i pozbawić wroga zabójczego topora.

Ecardo wymierzył mu cios w krocze osłoniętym zbroją kolanem; Hawkmoon mimo bólu nie puścił jego ręki, ścigał ją dalej w dół, aż wreszcie popchnął kolosa i ten z rumorem spadł ze schodów.

Runął na kamienną posadzkę z hukiem, który wstrząsnął całą konstrukcją wieży i legł tam bez ruchu.

Hawkmoon spojrział w górę na d'Averca. – Cóż, panie. Czy odzyskałeś już siły?

D'Averc zsunął zdobioną maskę na tył głowy, odsłaniając bladą twarz i mętne oczy chronicznie chorego człowieka. Jego wargi wykrzywił niewyraźny uśmiech:

— Zrobię, co będę mógł – rzekł, po czym natarł z szybkością charakterystyczną dla szermierza będącego w co najmniej znakomitej formie.

Tym razem Hawkmoon przejął inicjatywę. Wymierzył w

przeciwnika pchnięcie z takim impetem, że nieomal dosięgnął go przez zaskoczenie; w ostatniej chwili d'Averc zdołał sparować cios z błyskawiczną szybkością. Apatyczny ton głosu kłócił się z jego niebywałym refleksem.

Hawkmoon zrozumiał, że, chociaż pod innym względem, d'Averc jest niemal równie niebezpieczny jak potężny Ecardo. Dotarło do niego także, że jeśli Ecardo jest, tylko ogłuszony, może się wkrótce znaleźć w pułapce – pomiędzy dwoma przeciwnikami.

Ich walka toczyła się z taką szybkością, że dwa poruszające się miecze zdawały się stanowić jeden błysk metalu, obaj też trzymali się mocno. D'Averc, z wielką maską zsuniętą na tył głowy, uśmiechał się, a w jego oczach płonęły ogniki niemej satysfakcji. Wyglądał ni mniej, ni więcej, tylko jak człowiek oddany przyjemności słuchania muzyki czy też innej, równie pasywnej rozrywce.

Zmęczony długotrwałą wędrówką przez pustynię, wygłodniały Hawkmoon zdawał sobie sprawę, że nie będzie w stanie stawiać zbyt długo oporu przy tak szybkiej szermierce. Desperacko wypatrywał jakiegoś momentu odsłonięcia się we wzorowej obronie d'Averca. W pewnym momencie jego przeciwnik zachwiał się nieco na wykruszonym stopniu schodów. Hawkmoon błyskawicznie wymierzył pchnięcie, zostało jednak sparowane, co więcej w zamian miecz wroga drasnął go w przedramię.

Za plecami d'Averca tłoczyli się rozwścieczeni żołnierze z Zakonu Odyńca, z nastawionymi mieczami, gotowi skończyć z księciem z Kln przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Hawkmoon szybko tracił siły. Walczył teraz już wyłącznie w stylu defensywnym, ledwie radząc sobie z odbijaniem

błyskającego ostrza, mierzącego to w jego oko, to w gardło, to w serce czy brzuch. Cofnął się o jeden stopień w dół. Potem jeszcze o jeden.

Kiedy stanął na drugim stopniu, usłyszał za plecami głośny jęk. Domyślił się, że Ecardowi wracają zmysły. Przemknęło mu przez myśl, że już wkrótce opadną go przeciwnicy.

Wobec śmierci Oladahna niewiele to go jednak obeszło. Jego obrona stawała się coraz bardziej nieskładna, d'Averc natomiast uśmiechał się coraz szerzej, sądząc, że chwila jego triumfu jest coraz bliższa.

Nie chcąc mieć olbrzyma za sobą Hawkmoon zeskoczył nagle z pozostałych stopni, nie odwracając się nawet. Plecami zetknął się z tym drugim człowiekiem. Odwrócił się błyskawicznie, przygotowany na stawienie czoła brutalnemu Ecardowi.

Lecz ze zdumienia omal nie wypuścił miecza z dłoni. – Oladah!

Mały zwierzoczkowiek pochylał się właśnie, by podnieść z podłogi miecz – broń żołnierza w masce odyńca, który zaczynał się właśnie poruszać.

— Tak; przeżyłem. Ale nie pytaj, w jaki sposób. Dla mnie samego to tajemnica – mówiąc to spuścił z hukiem głownię miecza płazem na hełm Ecarda. Ten omdlał ponownie.

Nie było czasu na wyjaśnienia. Hawkmoon ledwie zdążył zablokować kolejny cios d'Averca, w którego oczach również pojawiło się zdumienie na widok żywego Oladahna.

Hawkmoon raz jeszcze podjął próbę zaatakowania Franca, chcąc przebić słabo osłonięte ramię tamtego, ale d'Averc znowu sparował cios, przechodząc do szaleńczego ataku. Teraz Hawkmoon stracił już przewagę, jaką dawała mu poprzednia pozycja. Otoczyły go wyszczerzające się dziko maski Zakonu

Odyńca, w miarę jak żołnierze zbiegali ze schodów.

Hawkmoon i Oladahń cofnęli się w kierunku drzwi, mając nadzieję odzyskać przewagę pozycji, jednak ich szanse były niewielkie. Przez następne dziesięć minut trzymali się dzielnie, otoczeni przez przytłaczających ich liczebnie przeciwników. Zabili dwóch Granbretańczyków, zranili trzech dalszych. Jednakże bardzo szybko opadli z sił. Hawkmoon ledwie był w stanie utrzymać miecz w dłoni.

Szklącymi się oczyma z trudem dostrzegał przeciwników, zacieśniających niczym dzikie bestie pierścień, by go zabić. – Brać ich żywcem! – usłyszał jeszcze triumfalny głos d'Averca, po czym padł na posadzkę pod naporem zakutej w żelazo fali.

ROZDZIAŁ III

WIDMOWCY

Owinięci łańcuchami tak, że z ledwością mogli oddychać, Hawkmoon i Oladahm zostali Zniesieni na dół niezliczoną wręcz liczbę pięter, w głąb przepaścistej wieży, zdającej się sięgać poniżej poziomu ziemi na tyle, na ile wznosiła się w górę.

W końcu żołnierze w maskach dzików dotarli do komnaty, w której niegdyś najwyraźniej był magazyn, a teraz miała służyć jako loch dla pojmanych.

Rzucono ich twarzami w dół na chropowate kamienie. Leżeli nieruchomo, potem żołdactwo buciorami odwróciło ich ciała do góry, twarzami w stronę blasku kapiącej pochodni trzymanej przez przysadzistego Ecarda, którego wgnieciona maska jakby wykrzywiała się z radości. D'Averc, wciąż z zsuniętą maską i odsłoniętą twarzą, stał między Ecardem i potężnym, włochatym żołdakiem, którego Hawkmoon widział już poprzednio. Francuz przyciskał do warg szal z brokatu i ociężale wspierał się na ramieniu giganta.

Zakaślał teatralnie, po czym uśmiechnął się do więźniów. – Obawiam się, że będę musiał was wkrótce opuścić, panowie. To śródziemnomorskie powietrze nie jest dla mnie najlepsze. Nie powinno ono jednak wywierać złego wpływu na dwóch tak krzepkich młodzieńców jak wy. Zapewniam, że nie będziecie musieli pozostawać tu dłużej niż jeden dzień. Wysłałem już rozkaz przysłania większego skrzydłolotu, który będzie mógł zabrać was dwóch na Sycylię, gdzie aktualnie obozują moje

główne siły.

— Zajęliście już nawet Sycylię? – zapytał beznamiętnym głosem Hawkmoon.

— Tak. Mroczne Imperium nie traci czasu. Faktycznie to ja – d'Averc z udawaną skromnością zakasłał w szal zostałem bohaterem Sycylii. Tylko dlatego, że to ja dowodziłem, podbój wyspy dokonał się tak szybko. Chociaż mój triumf nie był niczym specjalnym, w armii Mrocznego Imperium jest wielu równie wartościowych dowódców jak ja. W ciągu ostatnich kilku miesięcy podbiliśmy w Europie wiele znaczących terytoriów. Również na Wschodzie.

— Ale Kamarg wciąż się wam opiera – wtrącił Hawkmoon. – To musi być irytujące dla Króla-Imperatora. – Och, Kamarg nie wytrzyma długotrwałego oblężenia – odparł afektownie d'Averc. – Zwracamy naszą szczególną uwagę na tę niewielką prowincję. Cóż, może do tej pory już się poddała...

— Na pewno nie, dopóki żyje hrabia Brass – uśmiechnął się Hawkmoon.

— Właśnie – podjął d'Averc. – Słyszałem, że został ciężko ranny, a jego porucznik, von Villach, zginął w ostatniej bitwie.

Hawkmoon nie był w stanie osądzić, ile prawdy może być w słowach d'Averca. Chociaż nie dał po sobie nic poznać, wiadomości te wstrząsnęły nim do głębi. Czyżby upadek Kamargu rzeczywiście był tak bliski? A jeśli tak, to jaki los czekał Yisseldę?

— Widzę, że te wiadomości cię zaniepokoiły – mruknął d'Averc. – Ale nie martw się, książę, jeśli wszystko pójdzie jak należy, będę osobiście zainteresowany upadkiem Kamargu.

Mam bowiem zamiar zażądać tej prowincji jako nagrody za schwytanie ciebie. A tych moich miłych kompanów wskazał na

usługujących mu osiłków – uczynię zarządcami Kamargu w okresach mojej nieobecności. Dzielą ze mną wszystkie chwile mego życia, znają moje tajemnice i moje dążenia. Nie byłbym w porządku wobec nich, gdyby nie mogli także dzielić mego triumfu. Ecarda uczynię zarządcą moich włości. Myślę także, że temu tu Peterowi należy się tytuł hrabiowski.

Spod maski giganta rozległ się zwierzęcy pomruk, d'Averc zaś uśmiechnął się.

— Peter nie jest nazbyt bystry, lecz jego siła i lojalność nie budzą najmniejszych wątpliwości. Być może zastąpię hrabiego Brassę właśnie nim.

Hawkmoon z wściekłością szarpnął się w łańcuchach. – Jesteś chytrą bestią, d'Averc, nie uda ci się jednak doprowadzić mnie do wybuchu, jeśli taki jest twój cel. Uzbroję się w cierpliwość. Może nawet uda mi się uciec. A jeśli tak, do końca swoich dni będziesz żyć w strachu, że role odwrócą się i to ty znajdziesz się w moich rękach.

— Obawiam się, że jesteś zbyt wielkim optymistą, książę. Odpocznij tutaj, naciesz się spokojem, nie zaznasz go bowiem, kiedy znajdziesz się w Granbretanie.

D'Averc skłonił się ironicznie, po czym wyszedł z komnaty, a jego ludzie podążyli za nim. Blask pochodni zniknął w oddali i Hawkmoon wraz z Oladahnem zostali w całkowitej ciemności.

— Ach – rozbrzmiał po chwili głos Oladahna. – Jest mi niezmiernie trudno traktować moje obecne położenie poważnie po tym wszystkim, co stało się dzisiejszego dnia. Nadal nie jestem pewien, czy to wszystko jest snem, czy jawą, czy też może umarłem.

— Co ci się przydarzyło, Oladahnie? – zapytał Hawkmoon. – Jak udało ci się przeżyć skok z tak wysoka?

Wyobrażałem sobie siebie martwego, rozplaszczzonego u stóp wieży.

— Według wszelkich praw tak też powinno być – przyznał Oladah. – Gdybym w trakcie spadania nie został pochwycony przez duchy.

— Duchy? Żartujesz chyba?

— Nie. Te istoty niczym duchy wychynęły z okien wieży i opuściły mnie ostrożnie na ziemię. Kształtem i rozmiarami przypominały ludzi, ale były niemal nierzeczywiste...

— Musiałeś podczas upadku urazić się w głowę i uroiłeś sobie to wszystko!

— Może i masz rację... – zaczął Oladah, lecz urwał gwałtownie. – A jeśli tak, to mającę nadal. Obejrzyj się w lewo.

Hawkmoon odwrócił głowę i aż sapnął głośno z wrażenia. Wyraźnie ujrzał tam zarys sylwetki człowieka. Jednocześnie, tak jak poprzez rozwodnione mleko, mógł widzieć wszystko, co znajdowało się za człowiekiem, dostrzegał nawet kamienie ściany.

— Klasyczny duch – mruknął Hawkmoon. – To dziwne, żebyśmy obaj śnili ten sam sen...

Od strony stojącej nad nimi postaci dobiegł cichy, dźwięczny śmiech.

— Wcale nie śnicie, wędrowcy. Jesteśmy ludźmi, podobnie jak wy. Tyle że masa naszych ciał różni się od waszej, i to wszystko. Egzystujemy w trochę innym wymiarze niż wy. Ale jesteśmy nie mniej realni. Jesteśmy mieszkańcami Soryandum.

— A więc nie opuściliście tego miasta – odezwał się Oladah. – Ale w jaki sposób udało się wam osiągnąć ten... szczególny stan egzystencji?

Widmowiec zaśmiał się ponownie.

— Poprzez kontrolę umysłów, na drodze eksperymentów naukowych, przez odpowiednie przekształcanie czasu i przestrzeni. Żałuję, ale dokładne opisanie sposobu uzyskania takich wartości jest po prostu niemożliwe. Osiągnęliśmy je między innymi także poprzez stworzenie całkowicie nowego słownika, a tym samym języka, który dla was byłby absolutnie niezrozumiały. Jednej rzeczy możecie być jednak zupełnie pewni. Nadal potrafimy oceniać ludzkie charaktery, i to w takim stopniu, że rozpoznaliśmy w was potencjalnych przyjaciół, a w tamtych naszych wrogów.

— Są waszymi wrogami? W jaki sposób? – zapytał Hawkmoon.

— Wyjaśnię to później. – Widmowiec ruszył do przodu i pochylił się nad Hawkmoonem. Młody książę Kln poczuł nagle dziwny ucisk na całym swoim ciele, a po chwili został uniesiony w górę. Tamten człowiek mógł wyglądać na zjawę częściowo tylko stworzoną z materii, zdawał się jednak dysponować siłą większą od przeciętnego śmiertelnika. Z cieni wychynęło dwóch innych widmowców. Jeden z nich uniósł w górę Oladahna, drugi natomiast podniósł obie dłonie i jakimś sposobem wytworzył słaby blask, wystarczający jednak, żeby oświetlić całe pomieszczenie. Teraz Hawkmoon dostrzegł, że widmowcy są wysocy i szczupli, mają pociągłe twarze o przyjemnych rysach i jakby nie widzących oczach.

Początkowo Hawkmoon sądził, że mieszkańcy Soryandum zdolni są przenikać przez ściany budynków, teraz jednak zauważył, że pojawili się z góry szerokim tunelem, którego wylot widniał w połowie wysokości jednej ze ścian. Prawdopodobnie w odległej przeszłości tunel ten stanowił rodzaj pochylni, po której zsuwano na dół paki z towarami.

Widmowcy unieśli się w powietrzu, wkroczyli do tunelu i

pożeglowali w górę, gdzie po jakimś czasie ukazało się w oddali słabe światło – blask księżyca i gwiazd.

— Dokąd nas zabieracie? – spytał szeptem Hawkmoon.

— Do bezpieczniejszego miejsca, gdzie będziemy mogli uwolnić was z tych łańcuchów – odparł niosący go człowiek.

Gdy dotarli do wylotu tunelu i owiało ich chłodne nocne powietrze, zatrzymali się na chwilę, a ten, który miał wolne ręce, poszedł na zwiady, by przekonać się, czy w pobliżu nie kręcą się granbretańscy żołnierze. Kiedy dał znak ręką swoim towarzyszom, wysunęli się na zewnątrz i popłynęli ponad zrujnowanymi ulicami cichego miasta, aż dotarli do niepozornego budynku o frontonie zdobionym motywami roślinnymi, który zdawał się być w lepszej kondycji od pozostałych, jednakże nie widać było żadnego wejścia na poziomie ziemi.

Widmowcy niosący Hawkmoona i Oladahna znów wzlecieli w górę, a na poziomie drugiego piętra wpłynęli do wnętrza przez szerokie okno.

Zatrzymali się w surowym pokoju, pozbawionym jakichkolwiek ornamentów, gdzie złożyli dwóch więźniów na podłodze.

— Cóż to za miejsce? – zapytał Hawkmoon; ciągle jeszcze nie do końca wierząc własnym zmysłom.

— Tutaj mieszkamy – odpowiedział widmowiec. – Niewielu nas jest, bo chociaż żyjemy po wiele wieków, to nie jesteśmy w stanie się rozmnażać. Taką zapłaciliśmy cenę za uzyskanie naszych obecnych postaci.

Przez drzwi pokoju wsunęły się inne sylwetki, a było wśród nich także kilka kobiet. Wszyscy mieli równie zgrabne kształty, poruszali się z gracją, a ich ciała były tak samo mleczne i na wpół

przezroczyste. Nie nosili żadnych ubrań. Na podstawie rysów ich ledwie ludzkich twarzy i ciał nie można było określić wieku, ale emanowało od nich tak silnie spokojem, że Hawkmoon natychmiast odprężył się i poczuł bezpieczny.

Jeden z nowo przybyłych trzymał w dłoniach niewielki aparat, tylko odrobinę większy od wskazującego palca Hawkmoona. Widmowiec przytykał urządzenie do kłódek spinających łańcuchy, a te jedna po drugiej otwierały się ze stukiem, aż w końcu Hawkmoon i Oladahń byli wolni.

Hawkmoon usiadł, rozcierając zdrętwiałe mięśnie.

— Dziękuję wam – powiedział. – Uratowaliście mnie przed bardzo przykrym losem.

— Cieszymy się, że mogliśmy wam pomóc – odpowiedział jeden z nich, nieco niższy od pozostałych. – Jestem Rinal, niegdyś Naczelný Konsul Soryandum. – Wystąpił do przodu, uśmiechając się. – Ciekawi mnie, czy zainteresuje was to, że także możecie służyć nam pomocą?

— Będę szczęśliwy, mogąc się wam odwdzięczyć za to, co uczyniliście dla mnie – rzekł z zapalem Hawkmoon. O co chodzi?

— Nam również grozi wielkie niebezpieczeństwo ze strony tych dziwnych żołnierzy w groteskowych zwierzęcych maskach – powiedział Rinal. – Planują oni bowiem zrównać Soryandum z ziemią.

— Zburzyć miasto? Po co? Przecież nie może im zagrażać opuszczone miasto, nie jest też ono na tyle znaczące, by warto było je anektować.

— Właśnie że nie – odparł Rinal. – Podśluchaliśmy ich rozmowy i wiemy, że Soryandum przedstawia dla nich wielką wartość. Mają zamiar wznieść na tym miejscu jakąś ogromną budowlę, w której będą przechowywać setki swoich latających

maszyn. Będą je stąd wysyłać do wszystkich okolicznych krajów w celu dokonywania kolejnych podbojów.

— Rozumiem – mruknął Hawkmoon. – To do nich podobne. Dlatego też do tej konkretnej misji wybrany został d'Averc, były architekt. Dysponują tu wielką ilością materiałów budowlanych, z których łatwo mogliby zbudować następną wielką bazę skrzydłolotów, a chodzi głównie o to, by nikt, albo prawie nikt, nie zauważył ich aktywności na tym terenie. Mroczne Imperium dysponowałoby tu wówczas potęgą, o której nic by nie wiedziano aż do chwili rozpoczęcia ataku. Trzeba ich powstrzymać!

— Trzeba, chociażby tylko ze względu na nasz los kontynuował Rinal. – Otóż jesteśmy nieodłącznie związani z tym miastem, może nawet w większym stopniu, niż bylibyście w stanie to pojąć. Miasto i my egzystujemy jako jedność. Jeśli ono zostanie zburzone, my także przestaniemy istnieć.

— Ale w jaki sposób możemy ich powstrzymać? spytał Hawkmoon. – W jaki sposób ja mogę się do tego przyczynić? Wy na pewno dysponujecie urządzeniami będącymi wytworem wysoko rozwiniętej nauki. Ja mam tylko miecz, a i on znajduje się obecnie w rękach d'Averca!

— Mówiłem już, że jesteśmy nierozzerwalnie złączeni z miastem – wyjaśnił spokojnie Rinal. – Dlatego właśnie potrzebna nam jest pomoc. Dawno temu pozbyliśmy się wszelkich ziemskich urzędzeń mechanicznych. Zostały one zakopane pod jednym ze wzgórz, kilka kilometrów poza granicami Soryandum. Teraz potrzebna nam jest jedna szczególna maszyna, ale nie możemy sami się po nią wyprawić. Wy jednakże, mogący się dowolnie poruszać śmiertelnicy, bylibyście w stanie nam ją dostarczyć.

— Z wielką chęcią – odparł Hawkmoon: – Jeśli tylko wyjaśnicie

nam dokładnie, gdzie się znajduje, przyniesiemy ją wam. Najlepiej będzie, jeżeli wyruszymy natychmiast, nim jeszcze d'Averc zorientuje się, że uciekliśmy.

— Zgadzam się, że maszyna powinna być dostarczona tak szybko, jak tylko to możliwe – przyznał Rinal. – Ale muszę wam powiedzieć jeszcze jedno. Urządzenia zostały tam zgromadzone przez nas wtedy, kiedy jeszcze mogliśmy oddalać się, choć już w ograniczonym zakresie, od Soryandum. Aby mieć pewność, że będą tam bezpieczne, skonstruowaliśmy mechaniczną bestię, przerażającego strażnika, mającego odstraszać wszystkich, którzy odkryliby nasz magazyn. Ów metalowy stwór może także zabijać i zabije wszystkich nie z naszej rasy, którzy odważą się wejść do jaskini.

— W jaki więc sposób możemy unieszkodliwić tę bestię? – zapytał Oladahn.

— Jest tylko jeden sposób – odparł Rinal, wzdychając głośno. – Musicie walczyć i zniszczyć ją.

— Ach tak – uśmiechnął się Hawkmoon. – Wygląda na to, że uniknąłem jednych tarapatów, by wpaść w nowe, i to niewiele mniej groźne.

Rinal uniósł w górę obie dłonie.

— Nie. Nie żądamy od was niczego. Jeżeli uważacie, że będziecie o wiele bardziej użyteczni w służbie jakiemuś innemu celowi, zapomnijcie o nas i idźcie swoją drogą.

— Zawdzięczam wam ocalenie życia – powiedział Hawkmoon. – Do śmierci dręczyłyby mnie wyrzuty sumienia, gdybym odjechał z Soryandum mając świadomość, że miasto zostanie zniszczone, wasza rasa zgubiona, a Mroczne Imperium zyska możliwość siania jeszcze większego spustoszenia na Wschodzie, niż czyni to obecnie. Nie. Zrobię dla was wszystko, co w mojej

mocy, ale nie dysponując żadną bronią staje przed niezwykle trudnym zadaniem.

Rinal skinął dłonią na jednego z widmowców, który wypłynął z pokoju, by po dłuższej chwili powrócić z wyszczerbionym wielkim mieczem Hawkmoona oraz łukiem, strzałami i mieczem Oladahna.

— Zdobycie tych rzeczy było dla nas raczej prostą sprawą – uśmiechnął się Rinal. – Mamy dla was jeszcze inny, specyficzny rodzaj broni – rzekł, wręczając Hawkmoonowi niewielkie urządzenie, którym otwierano kłódki. – Zostawiliśmy to przy sobie, kiedy umieszczaliśmy większość pozostałych naszych urządzeń w magazynie. Ta maszyna zdolna jest otworzyć każdy zamek, wystarczy tylko skierować ją w odpowiednie miejsce. Z jej pomocą dostaniecie się do głównej sali magazynu, gdzie mechaniczna bestia strzeże starych urządzeń z Soryandum.

— A jak wygląda maszyna, którą mamy dla was znaleźć? – zapytał Oladahna.

— To niewielkie urządzenie, mniej więcej rozmiaru głowy człowieka. Jego powierzchnia błyszczy wszystkimi kolorami tęczy. Z wyglądu przypomina kryształ, ale w dotyku jest jak z metalu. Ma podstawę z onyksu, z której wyłania się oktagonalny obiekt. W magazynie mogą być dwa takie urządzenia. Jeśli będziecie mogli, przynieście oba.

— Do czego to służy? – zainteresował się Hawkmoon. – Będziecie mogli zobaczyć, kiedy wrócicie.

— O ile wrócimy – wtrącił Oladahna filozoficznie zasepiony.

ROZDZIAŁ 10

MECHANICZNA BESTIA

Pokrzepiwszy się nieco żywnością i winem wykradzionymi ludziom d'Averca przez widmowców, Hawkmoon i Oladah przytroczyli broń i przygotowali się do opuszczenia budynku.

Podtrzymywani przez dwóch mieszkańców Soryandum zostali opuszczeni łagodnie na ziemię.

— Niechże Magiczna Laska cię ochroni – szepnął jeden z widmowców, spoglądając na plecy mężczyzny wyruszającego w kierunku murów miasta. – Słyszeliśmy bowiem, że jej służysz.

Hawkmoon odwrócił się, aby zapytać, skąd to wiadomo. Po raz drugi już dowiadywał się, że służy Magicznej Lasce, chociaż on sam nic nie wiedział na ten temat. Ale zanim zdążył otworzyć usta, widmowcy zniknęli.

Z zasepionym czołem ruszył w drogę poza miasto.

Kiedy znaleźli się pośród wzgórz, kilka kilometrów za Soryandum, Hawkmoon zatrzymał się, by sprawdzić ich położenie. Rinal powiedział im, żeby wypatrywali niewielkiej piramidki z ciosanych kostek granitowych, usypanej wieki temu przez przodków Soryandyjczyków. Dojrzeli ją wreszcie, gdy na powierzchni wiekowych kamieni zagrały srebrzyste odblaski światła księżyca.

— Teraz musimy skręcić na północ – stwierdził książę Kln – i odnaleźć wzgórze, z którego wycinano granit. Po upływie następnej pół godziny natrafili na nie.

Wyglądało tak, jakby w odległej przeszłości jakiś gigantyczny

miecz przerąbał je na pół. Od tamtej pory porosła je ponownie trawa i właściwie sprawiało wrażenie tworu natury.

Hawkmoon i Oladahń podbiegli szybko pokrytym darnią zboczem w stronę gęstej kępy krzaków, rosnącej tuż pod skalną ścianą. Rozgarnęli gałęzie, odkrywając wąską szczelinę w granitowym masywie. Było to ukryte wejście do magazynu maszyn mieszkańców Soryandum.

Przykucnąwszy precyzyjnie się przez szczelinę i znaleźli w przestronnej jaskini. Oladahń zapalił przygotowaną specjalnie na tę chwilę pochodnię i oczom ich ukazała się wielka, prostokątna grota, najwyraźniej wykuta w skale przez ludzi.

Pamiętając otrzymane instrukcje, Hawkmoon zbliżył się do przeciwległej ściany i zaczął szukać niepozornego znaku na wysokości ramienia. W końcu znalazł go – wykonany nie znanym mu pismem napis, poniżej którego widniało niewielkie zagłębienie. Wyjął z kieszeni spodni urządzenie do otwierania zamków i wsunął je we wgłębienie.

Poczuł dziwne mrowienie w całym ramieniu, kiedy delikatnie docisnął przedmiot. Skalna ściana przed nim poczęła drżeć. Silny strumień powietrza zachwiały płomieniem pochodni i niewiele brakowało, by zdmuchnął go całkowicie. Ściana zaczęła rozjaśniać się, stawała się coraz bardziej przejrzysta, aż w końcu zniknęła do reszty.

„Skala będzie się tam znajdować nadal – tak powiedział im Rinal. – Zostanie jedynie na jakiś czas przeniesiona do innego wymiaru”.

Ostrożnie, z wysuniętymi mieczami, wkroczyli do przestronnego tunelu, rozjaśnionego zimnym zielonym światłem, bijącym od skał przypominających wytopione szkło.

Przed nimi wznosiła się kolejna ściana. Na jej powierzchni

płonęła samotna czerwona kropka; Hawkmoon skierował urządzenie w jej stronę.

Znowu omiótł ich silny strumień powietrza, tym razem omal nie zwalając z nóg. Skała zapłonęła bielą, potem przygasła do mlecznego błękitu, by wreszcie zniknąć całkowicie.

Tę część tunelu wypełniało mleczno błękitne światło, a zamykająca go ściana była matowo czarna. Kiedy i ta zniknęła przed nimi, wkroczyli do tunelu z żółtego kamienia, wiedząc jednocześnie, że główne pomieszczenie magazynu wraz z jego strażnikiem znajduje się bezpośrednio przed nimi.

Hawkmoon zatrzymał się na chwilę, zanim skierował urządzenie w stronę wznoszącej się przed nimi białej przegrody.

— Musimy działać chytrze i poruszać się bardzo szybko – odezwał się do Oladahna. – Bestia znajdująca się za tą ścianą podejmie akcję w tej samej chwili, kiedy rozpozna nasze kształty...

Urwał, ponieważ do ich uszu dobiegł przytłumiony dźwięk – nienaturalny grzechot i brzęczenie. Biała przegroda zadrżała, jak gdyby coś potężnego całym ciężarem huknęło w nią z drugiej strony.

Oladahna popatrzył wzrokiem pełnym wątpliwości.

— Może powinniśmy jeszcze raz wszystko rozważyć? Z całą pewnością, jeżeli bezsensownie poświęcimy nasze życia...

Ale Hawkmoon już uruchomił urządzenie otwierające i ściana zaczęła zmieniać kolor, a w ich twarze uderzył lodowaty powiew. Za przegrodą rozległo się budzące lęk zawrodożenie, wyrażające ból i oszołomienie. Ściana stała się różowa, przyblakła... po czym odsłoniła mechaniczną bestię.

Zniknięcie przegrody najwyraźniej zdumiało strażnika, ponieważ zamarł na kilka chwil i nie uczynił żadnego ruchu w

ich kierunku. Stał na krzywych metalowych nogach, górując nad nimi, a jego wielobarwny pancerz wręcz oślepił. Na całej długości korpusu, za wyjątkiem szyi, wystawały ostre niczym noże rogi. Sylwetką przypominał nieco gigantyczną małpę o krótkich, wygiętych nogach oraz długich ramionach, kończących się dłońmi z metalowymi szponami. Jego oczy były wielokomórkowe, jak oczy muchy, i błyszczały zmieniającymi się kolorami, natomiast z pyska wystawały ostre jak brzytwy metalowe zębiska.

Za plecami mechanicznej bestii dostrzegli mnóstwo najróżniejszych maszyn, ułożonych w równiutkich rzędkach wzdłuż ścian. Sala była przepaścista. Mniej więcej w połowie jej długości, po lewej stronie, Hawkmoon zauważył dwa krystaliczne urządzenia, które opisał im Rinal. W milczeniu wskazał je Oladahnowi, po czym pognał, by wyminąć potwora i znaleźć się w magazynie.

Przy pierwszym ich poruszeniu bestia jak gdyby obudziła się z transu. Wydała z siebie okrzyk i rzuciła się w pogoń, roztaczając dookoła dziwny odrażający metaliczny smród.

Kątem oka Hawkmoon dostrzegł gigantyczną, uzbrojoną w szpony łapę wyciągającą się w jego kierunku. Uskoczył w bok, potrącając przy tym jedno z delikatnych urządzeń, które stoczyło się ze stosu innych i rozbiło na podłodze, rozsiewając odłamki szkła i drobniutkie metalowe części. Łapa przecięła powietrze zaledwie o kilka centymetrów od jego twarzy, po czym zamierzyła się ponownie, ale Hawkmoon zdążył już uskoczyć.

Niespodziewanie strzała z łuku ugodziła w pysk strażnika, z głośnym brzękiem metalu uderzającego w metal, ale nie zadrapała nawet czarno-żółtego pancerza.

Bestia z rykiem odwróciła się w stronę drugiego ze swych

wrogów, dojrzała Oladahna, po czym rzuciła się w jego kierunku.

Ten odskoczył do tyłu, nie był jednak wystarczająco szybki, strażnik pochwycił bowiem go swą łapą i zaczął przyciągać w stronę rozwierającej się paszczy. Hawkmoon krzyknął i wymierzył cios mieczem w złączenie nóg potwora. Bestia parsknęła, po czym odrzuciła ofiarę na bok. Oladahna legł skulony w kącie przy wejściu, nieprzytomny albo martwy.

Hawkmoon cofnął się, kiedy stwór natarł na niego, lecz nagle zdecydował się na zmianę taktyki, pochylił i przemknął między nogami zdziwionego potwora. Bestia zaczęła się obracać, ale Hawkmoon prześlizgnął się między jej nogami ponownie.

Metalowy strażnik parsknął z wściekłości, bijąc łapami o swój pancerz. Wyskoczył wysoko w powietrze, po czym opadł na podłogę z hukiem, który odbił się głośnym echem w całym pomieszczeniu, i zaczął przeczesywać magazyn w poszukiwaniu człowieka, który przykucnął w cieniu dwóch większych maszyn i za ich osłoną posuwał się ostrożnie w kierunku urządzeń, będących celem wyprawy.

Stwór zaczął rozrzucać spiętrzone maszyny w bezrozumnym pościgu za intruzem. Hawkmoon zatrzymał się przy urządzeniu z dzwonowato rozszerzającym się wylotem. U podstawy tej dyszy znajdowała się dźwignia. Osądził, że może to być jakiś rodzaj broni. Nie zastanawiając się ani chwili przesunął dźwignię. We wnętrzu maszyny dał się słyszeć dziwny dźwięk, lecz nie wydarzyło się nic więcej. Znowu bestia wznosiła się wprost nad nim.

Chciał już poderwać się na nogi, zdecydowany w jakiś sposób dosięgnąć mieczem oczu strażnika, ponieważ wydawały mu się one najczulszymi punktami stworu. Rinal ostrzegał ich, że mechanicznej bestii nie można zabić w żaden konwencjonalny

sposób. Gdyby jednak udało się ją oślepić, wówczas pojawiłaby się szansa ucieczki.

Nagle, kiedy bestia znalazła się na wprost wylotu dyszy uruchomionego przez Hawkmoona urządzenia, zachwiała się i zamruczała. Z pewnością musiała się natknąć na jakieś niewidzialne promieniowanie, które być może zakłócało działanie jej precyzyjnych mechanizmów. Chwiała się, a Hawkmoona przez chwilę opanowało odczucie wielkiego triumfu, ponieważ sądził, że udało mu się ją pokonać. Ale stwór tylko wstrząsnął swym korpusem, po czym znów zaczął się przybliżać powolnym, jak gdyby sprawiającym mu ból krokiem.

Książę Kln zrozumiał, że strażnik powoli odzyskuje siły. Musiał uderzyć teraz, by mieć jakąkolwiek szansę wypełnienia misji. Pobiegł w kierunku bestii. Ta zaczęła powoli odwracać głowę. Udało mu się wskoczyć na jej kwadratowy tułów i zaczął szybko wspinać się po pancerzu, aż wreszcie usadowił się na jej ramionach. Z dzikim rykiem potwór zaczął unosić łapy, by strącić człowieka.

Hawkmoon wychylił się desperacko do przodu i gałką rękojeści swego miecza wymierzył silny cios najpierw w jedno, a potem w drugie oko. Z głośnym trzaskiem i brzękiem jedno po drugim rozprysły się na kawałki.

Bestia wrzasnęła, a jej ramiona sięgające po Hawkmoona skierowały się ku rozbitym oczom, co dało księciu czas na zeskoczenie z karku potwora i sięgnięcie po urządzenia, po które tutaj przybył.

Wydobył zza pasa przygotowany wcześniej worek i w pośpiechu wrzucił oba wielościany do środka.

Mechaniczny stwór na ślepo wymachiwał ramionami dookoła siebie. Gdziekolwiek uderzył, rozlegało się dzwonienie i chrzęst

metal. Był co prawda oślepiiony, ale nie stracił nic ze swej pierwotnej siły.

Prześliznąwszy się obok pokrzykującej bestii Hawkmoon podbiegł ku nieruchomemu Oladahnowi, przerzucił małego człowieka przez ramię i ruszył biegiem w stronę wyjścia.

Za jego plecami bestia, widocznie kierowana odgłosem kroków, rzuciła się w pogoń. Hawkmoon wyciągał nogi na ile mógł, serce waliło mu tak, jakby za chwilę chciało wyskoczyć z klatki piersiowej.

Przemierzył wszystkie odcinki korytarzy, aż wreszcie dotarł do wielkiej groty, z której wąska szczelina prowadziła do świata zewnętrznego. Metalowy potwór nie był w stanie prześlizgnąć się przez tak wąski przesmyk.

Kiedy tylko wyskoczył na zewnątrz i poczuł w płucach nocne powietrze, odprężył się i zaczął oglądać twarz Oladahna. Drobnego zwierzoc człowieka oddychał rytmicznie, wydawało się, że nie ma złamanej żadnej kości. Jedynie wielki siniak na głowie wyglądał dosyć poważnie, wyjaśniając jednocześnie przyczynę tak głębokiej utraty zmysłów. Hawkmoon nie skończył nawet oględzin jego ciała w poszukiwaniu poważniejszych urazów, kiedy przyjaciel zamrugał oczami. Spomiędzy jego warg wydobył się jakiś niewyraźny dźwięk.

— Czy nic ci nie jest, Oladahnie? – zapytał Hawkmoon z troską w głosie.

— Uch... głowa mi pęka – jęknął Oladah. – Gdzie jesteśmy?

— Bezpieczni. Spróbuj się teraz podnieść. Świt już blisko, a musimy wrócić do Soryandum przed nastaniem dnia, żeby ludzie d'Averca nas nie zobaczyli.

Krzywiąc się z bólu Oladah dzwignął się na nogi. Ze środka jaskini dobiegło ich dzikie zawodzenie i odgłos ciosów

mechanicznej bestii, usiłującej ich dosięgnąć.

— Bezpieczni? – zapytał Oladah, wskazując dłonią na skały za plecami Hawkmoona. – Może i tak, ale na jak długo?

Hawkmoon odwrócił się. W granitowej ścianie pojawiło się groźne pęknięcie, świadczące o tym, że mechaniczny potwór usilnie starał się wydostać na zewnątrz i podążyć za intruzami. '

— To jeszcze jeden powód, dla którego musimy się śpieszyć – rzekł Hawkmoon, unosząc z ziemi tobolek i ruszając biegiem w kierunku Soryandum.

Nie zdołali przebiec nawet kilometra, kiedy usłyszeli za sobą głośny huk. Obejrzeli się i ujrzeli, że skaliste zbocze wzgórza rozwarło się szeroką jamą, z której wychynęła metalowa bestia. Jej zawrodoenie odbijało się echem od stoków wzgórz, jak gdyby grożąc, iż będą ścigani aż do samego Soryandum.

— Strażnik jest ślepy – wyjaśnił Hawkmoon. – Może nie uda mu się od razu trafić na nasz trop. Poza tym, może będziemy bezpieczni, kiedy już znajdziemy się między murami miasta.

Przyspieszyli kroku na ile tylko mogli i wkrótce znaleźli się u granic miasta. Wstawał już świt, kiedy przemierzali ulice w poszukiwaniu domu zamieszkanego przez widmowców.

ROZDZIAŁ V

MASZYNA

Rinal wraz z dwoma innymi mężczyznami czekali już na nich koło domu i pośpiesznie dźwignęli ich w górę ku wejściu. Teraz, kiedy wstało słońce i światło wpadało do środka przez okna, widmowcy sprawiali wrażenie jeszcze mniej namacalnych niż poprzednio.

Rinal szybko wydobył urządzenia z worka Hawkmoona. – Są takie, jak je pamiętam – mruknął, podpływając w stronę światła, by lepiej przyjrzeć się przedmiotom. Jego widmowa dłoń spoczęła na oktagonalnej części wystającej z onyksowej podstawy. – Teraz nie musimy się już bać zamaskowanych najeźdźców. Możemy im uciec w każdej chwili.

— Sądziłem, że nie ma dla was sposobu na opuszczenie miasta – rzekł Oladahn.

— To prawda, nie ma. Ale dzięki tym urządzeniom, możemy zabrać ze sobą całe miasto, o ile nam się poszczęści.

Hawkmoon miał zamiar zadać Rinalowi jeszcze kilka pytań, ale usłyszał jakiś hałas dobiegający z ulicy, podszedł więc do okna i ostrożnie wyjrzał na dół. Ujrzał d'Averca, jego dwóch olbrzymich pomocników oraz około dwudziestu żołnierzy. Jeden z nich wskazywał ręką w stronę okna.

— Musieli nas widzieć – wysapał Hawkmoon. Uciekajmy stąd. Nie możemy walczyć z tak licznym przeciwnikiem.

Rinal zmarszczył czoło.

— My nie możemy uciekać. A jeśli użyjemy naszego

urządzenia, zostawimy was na lasce d'Averca. To jest dylemat...

— Użyjcie więc maszyny – wtrącił Hawkmoon. – My sami będziemy się martwić o d'Averca.

— Nie możemy was tu zostawić na pewną śmierć! Nie po tym wszystkim, co dla nas zrobiliście.

— Użyjcie maszyny!

Lecz Rinal ciągle się wahał.

Hawkmoona znów zaalarmowały jakieś glosy na zewnątrz i ponownie wyjrzał ostrożnie przez okno.

— Przynieśli drabiny. Zaraz dostaną się do środka. Użyj maszyny, Rinalu.

— Użyj maszyny, Rinalu – powtórzyła miękkim głosem kobieta-widmowiec. – Jeżeli prawdą jest to, o czym słyszeliśmy, to nasi przyjaciele raczej nie powinni ucierpieć z rąk d'Averca, a w każdym razie nie w tej chwili.

— Co masz na myśli? – zapytał Hawkmoon. – Skąd możesz to wiedzieć?

— Mamy przyjaciela nie z naszej rasy – wyjaśniła kobieta. – Czasami odwiedza nas i przywozi wieści z zewnętrznego świata. On także służy Magicznej Lasce...

— Czyżby to był Rycerz w Czerni i Złocie? – przerwał jej Hawkmoon.

— Tak. To on nam powiedział...

— Książę Dorianie! – krzyknął Oladah, wskazując na okno. Pojawił się w nim już pierwszy żołnierz w masce odyńca.

Hawkmoon wyciągnął miecz z pochwy, skoczył do przodu i zagłębił ostrze w gardle tamtego, tuż poniżej nasady hełmu. Człowiek rzucił się do tyłu, po czym runął w dół z chrapliwym wrzaskiem. Hawkmoon schwycił szczyt drabiny, chcąc ją odepchnąć, ale widocznie mocno trzymano ją na dole. Na

poziomie okna pojawiła się głowa drugiego żołnierza. Oladah zamierzył się w nią, chcąc zepchnąć przeciwnika w bok, lecz tamten utrzymał się. Hawkmoon przestał napierać na drabinę i ciął po osłoniętych rękawicami palcach żołnierza, który z wrzaskiem spadł na dół.

— Maszyna! – krzyknął zdesperowany Hawkmoon. Użyj jej, Rinalu! Nie będziemy w stanie ich długo powstrzymać!

Za jego plecami rozległo się dźwięczne, rytmiczne bębnienie, on zaś, czując lekki zawrót głowy, musiał skupić się na odparciu ataku kolejnego żołnierza:

Nagle wszystko dokoła ogarnęły gwałtowne wibracje, a ściany domów rozpały się intensywną czerwienią. Na zewnątrz rozległy się krzyki Granbretańczyków: nie były to okrzyki zdumienia, lecz wrzaski przerażenia. Hawkmoon nie potrafił zrozumieć, dlaczego czerwień ścian miałyby aż do tego stopnia tamtych przestraszyć.

Zauważył, że szkarłatne wibracje ogarnęły już całe miasto, które trzęsło się aż w posadach w rytm bębniącego urządzenia. Nagle, zupełnie niespodziewanie, dźwięk ustał, a miasto zniknęło, on sam natomiast opadał powoli w kierunku ziemi.

Usłyszał jeszcze zanikający, przytłumiony głos Rinala. – Zostawiamy wam bliźniaka tej maszyny. To dar od nas, by wspomóc was w walce przeciwko wspólnemu wrogowi. Maszyna ma zdolność przenoszenia dużego obszaru ziemi w nieco odmienny wymiar czasoprzestrzeni. Teraz nasi wrogowie nie dostaną już Soryandum...

Hawkmoon wylądował na skalistym podłożu, tuż obok Oladahna, i ze zdumieniem zauważył, że po mieście nie zostało nawet śladu: Wszędzie dokoła widać było jedynie wzruszoną, jak gdyby świeżo zaoraną powierzchnię ziemi.

W pewnej odległości znajdowała się grupa Granbretańczyków, a wśród nich także d'Averc. Hawkmoon zrozumiał teraz przyczynę ich przeraźliwych wrzasków.

Mechaniczna bestia dotarła w końcu do miasta i zaatakowała żołnierzy w maskach odyńców. Na ziemi leżały zmiażdżone, okrwawione szczątki Granbretańczyków. Popędzani przez d'Averca, który także dobył miecza i wspomagał w walce swoich ludzi, żołnierze próbowali zniszczyć potwora.

Jego metalowe kolce podskakiwały jak gdyby z wściekłości, w pysku podzwaniały metalowe zęby, a stalowe szpony szarpały i rozrywały na równi zbroje, jak i ciała.

— Bestia zajmie się już nimi – rzekł Hawkmoon. Popatrz, nasze konie!

Okolo stu metrów dalej stały dwa oszołomione rumaki. Hawkmoon i Oladahn podbiegli do nich, dosiedli i wkrótce zostawili za sobą miejsce, w którym wznosiło się miasto Soryandum, a gdzie w tej chwili mechaniczna bestia dokonywała rzezi wśród skrytych za maskami odyńców ludzi d'Averca.

Z owiniętym starannie i ukrytym w jednej z toreb przy siodle Hawkmoona dziwnym podarunkiem od widmówców obaj podróżnicy kontynuowali swą wędrówkę w kierunku wybrzeża.

Konie poruszały się teraz znacznie lżej, kiedy pod kopytami czuły grubą warstwę darni, stąd też udało im się dość szybko przebyć pasmo wzgórz i w końcu stanęli na skraju szerokiej doliny, którą płynął Eufkrat.

Rozbili obóz nad brzegiem szerokiej rzeki i zaczęli dyskutować, w jaki sposób najlepiej można byłoby ją przebyć. Woda w tym miejscu płynęła bystro, a zgodnie z mapą Hawkmoona musieliby posuwać się wiele kilometrów na południe, by dotrzeć do najbliższego brodu.

Hawkmoon zapatrzył się na drugi brzeg rzeki, gdzie zachodzące ' słońce przybrało kolor krwi. Z jego piersi wydobyło się przeciągłe, niemal bezgłośnie westchnienie. Rozniecający ognisko Oladahń popatrzył na niego zdumiony.

— Cóż cię trapi, książę Dorianie? Należałoby się spodziewać, że po udanej ucieczce będzie ci dopisywać dobry humor.

— Martwi mnie przyszłość, Oladahńie. Jeśli d'Averc mówi prawdę, jeśli hrabia Brass jest ciężko ranny, von Villach nie żyje, a Kamarg musi wytrzymać nieustanne oblężenie, to obawiam się, że po powrocie zastaniemy tam jedynie popioły i mokradła, w jakie baron Meliadus obiecał zmienić cały kraj.

— Zaczekajmy, dopóki się tam nie znajdziemy – rzekł Oladahń, usiłując nadać swemu głosowi nieco radośniejsze brzmienie. – Ja uważam, że d'Averc po prostu szukał sposobu wyprowadzenia cię z równowagi. Jestem prawie pewien, że twój Kamarg ciągle się trzyma. Sądząc po tym, co opowiadałeś mi o potężnych liniach obronnych i o męstwie żołnierzy tej prowincji, nie wątpię, iż nadal wytrzymują napór Mrocznego Imperium. Przekonasz się sam...

— Czy na pewno? – Hawkmoon spojrzał na pociemniałą ziemię. – Czy będę miał okazję, Oladahńie? D'Averc niemal na pewno mówił prawdę, wspominając o kolejnych podbojach Granbretanu. Jeśli już nawet Sycylia do nich należy, to musieli zająć także częściowo Italię i Hiszpanię. Czy nie rozumiesz, co to oznacza?

— Moja znajomość geografii nie wykracza poza granice Gór Bułgarskich – przyznał Oladahń z zakłopotaniem. – Oznacza to, że wszystkie drogi wiodące do Kamargu, zarówno lądem, jak i morzem, są już zablokowane przez hordy Granbretańczyków. Nawet jeśli dotrzemy do morza i uda nam się wynająć statek,

jakież mamy szanse, by przedostać się cało przez Cieśninę Sycylijską? Tamte wody roją się pewnie od statków Mrocznego Imperium.

— Czy na pewno musimy poruszać się tą drogą? Co z trasą, którą pokonałeś, by dostać się na Wschód? Hawkmoon zmarszczył brwi.

— Większość tamtych terytoriów przeleciałem, a przebycie ich konno zajęłoby co najmniej dwukrotnie tyle czasu. Poza tym od tamtego dnia Granbretan podbił kolejne prowincje.

— Ale terytoria znajdujące się pod ich kontrolą możemy okrążyć – stwierdził Oladah. – Zauważ także, że na lądzie zawsze mamy pewne szanse, natomiast na morzu, co sam powiedziałeś, nie mamy ich w ogóle.

— Owszem – mruknął Hawkmoon w zamyśleniu. Ale to oznaczałoby wędrowkę przez całą Turcję, kilkutygodniową podróż. Zaczekaj, może dałoby się przepłynąć przez Morze Czarne. Jak słyszałem, tam jeszcze stosunkowo rzadko pojawiają się statki Mrocznego Imperium – zaczął studiować mapę. – Tak, przez Morze Czarne do Romami. Ale dalej, w miarę jak będziemy zbliżali się do Francji, czyhać będzie coraz więcej niebezpieczeństw. Wszędzie tam znajdują się armie Granbretanu. Ale masz rację, ta trasa daje nam o wiele więcej możliwości. Może nawet uda nam się zabić kilku Granbretańczyków i posłużyć ich maskami. Wielką niedogodnością dla nich jest fakt, że z powodu noszonych masek nie są w stanie rozpoznać twarzy, odróżnić przyjaciół od wrogów. Gdyby nie istniały tajne żargony różnych zakonów, moglibyśmy podróżować spokojnie, wystarczająco zabezpieczeni przez zwierzęce maski i odpowiednie zbroje.

— Zmieńmy więc nasze plany – rzekł Oladah. – Zgoda. Rano

wyruszymy na północ.

Przez kilka długich dni posuwali się na północ wzdłuż brzegów Eufratu, przekroczyli granicę pomiędzy Syrią i Turcją, aż wreszcie dotarli do cichego, świecącego bielą miasta Birecik, gdzie Eufrat zmieniał swą nazwę na Firat. W Bireciku rozważny właściciel zajazdu, który wziął ich początkowo za sługusów Mrocznego Imperium, oznajmił im, że nie ma wolnych pokoi. Hawkmoon wskazał wówczas na klejnot i powiedział:

— Nazywam się Dorian, jestem ostatnim księciem Kln, zaciekłym wrogiem Granbretanu.

Gospodarz otworzył przed nimi drzwi, ponieważ nawet do tego zagubionego miasteczka dotarła sława księcia. Wieczorem tego samego dnia siedzieli w głównej sali gospody, popijali słodkie wino i rozmawiali z uczestnikami karawany handlowej, która przybyła do Bireciku na krótko przed nimi.

Handlarze byli śniadoskórymi ludźmi o granatowoczarnych włosach i brodach, błyszczących od oliwy. Ich ubranie składało się ze skórzanych kamizelek oraz wełnianych szarawarów w jaskrawych barwach. Na to narzucali wełniane płaszcze tkane w geometryczne wzory w odcieniach purpury, czerwieni i żółci. Płaszcze te, jak twierdzili wędrowcy, stanowiły znak rozpoznawczy, iż są ludźmi Yenahana, kupca z Ankary. U pasów zwieszały się im zakrzywione szable o bogato zdobionych rękojeściach i grawerowanych ostrzach, noszone bez pochew. Widać było, że kupcy są równie oswojeni z walką, co z handlem wymiennym.

Ich przywódca, Saleem, o haczykowatym nosie i przenikliwych niebieskich oczach, oparł się na blacie stołu i prowadził niespieszną rozmowę z księciem Kln i Oladahnem.

— Czy słyszeliście, że emisariusze Mrocznego Imperium

nadskakują kalifowi Istambułu i płacą temu rozrzutnemu monarsze za to, by zezwolił na stacjonowanie wielkiej armii rycerstwa, w maskach byków wewnątrz murów miasta?

Hawkmoon pokręcił głową.

— Niewiele docierało do nas wieści ze świata. Ale wierzę ci. To bardzo podobne do Granbretanu, żeby zdobywać władzę raczej za pomocą złota niż siłą. Tylko wtedy, kiedy na nic zdają się przekupstwa, posługują się orężem i armiami.

Saleem skinął głową.

— I ja tak uważam. Myślicie zatem, że Turcja nie jest bezpieczna przed tymi wilkami z Zachodu?

— Tak jak i wszystkie inne zakątki świata, nawet Amarek nie jest bezpieczny przed ich zakusami. Śnią o podbijaniu bajkowych ziem, które nie istnieją w rzeczywistości. Planują chociażby zajęcie Azjokomuny, tyle że muszą ją najpierw znaleźć. Arabia i cały Wschód są dla nich właściwie jakby obozem przejściowym.

— Ale czy są aż tak potężni? – zapytał zdumiony Saleem.

— Owszem, tak – odparł z przekonaniem Hawkmoon. – Są szaleni, a to szaleństwo czyni z nich ludzi zaciekłych, przebiegłych i pomysłowych. Widziałem Londrę, stolicę Granbretanu, której rozmach architektoniczny szokuje wspaniałością, będąc jednocześnie urzeczywistnieniem koszmarów sennych. Widziałem Króla Imperatora we własnej osobie, nieśmiertelnego starca o dźwięcznym głosie młodzieńca, nurzającego się w białym fluidzie swej kuli tronowej. Widziałem laboratoria naukowców-magików, niezliczone hale wypełnione cudacznymi maszynami, przy czym sami Granbretañczycy muszą jeszcze na nowo odkryć sposób działania wielu z nich.

Rozmawiałem z ich szlachetnie urodzonymi, poznałem ich aspiracje i wiem, że są bardziej obłąkani niż ty, ja, czy

jakikolwiek inny normalny człowiek mógłby to sobie wyobrazić. Są pozbawieni człowieczeństwa, nie żywią prawie żadnych uczuć dla siebie nawzajem, a już zupełnie żadnych dla wszystkich tych, których uważają za istoty niższe, to znaczy dla wszystkich, którzy nie są Granbretańczykami. Wieszają na krzyżach mężczyzn, kobiety, dzieci, a nawet zwierzęta, i tymi krzyżami ozdabiają i wyznaczają drogi swych podbojów...

Saleem odchylił się do tyłu i machnął lekceważąco dłonią. – Och proszę, książę Dorianie. Chyba wyolbrzymiasz... Ale Hawkmoon popatrzył mu prosto w oczy i wycedził z niezwykłą intensywnością:

— Powtarzam ci, kupcze z Turcji, że nie da się wyolbrzymić zła, jakie niesie ze sobą Granbretan!

Saleem zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

— Dobrze... Wierzę ci – rzekł. – Chociaż przychodzi mi to z trudem. A więc w jaki sposób nieliczny naród Turcji mógłby się przeciwstawić takiej potędze i okrucieństwu?

Hawkmoon westchnął.

— Nie potrafię zaproponować tu żadnego rozwiązania. Rzekłbym, że powinniście się zjednoczyć, nie pozwolić osłabiać się przez przekupstwa i stopniowe wdzieranie się na wasze terytoria, ale zdaję sobie sprawę, że byłaby to jedynie strata czasu, ponieważ ludzka chciwość nie zna granic, a blask pieniędzy zawsze zdoła przesłonić prawdę. Powiedziałbym, abyście się im przeciwstawili, kierując się honorem, rzetelną odwagą, mądrością i swoimi ideałami. Ale ci, którzy się im przeciwstawiają, są bezlitośnie zwalczani i torturowani, ich żony gwałcone i rozrywane na ich oczach na strzepy, a dzieci stają się zabawkami żołdactwa i płoną na stosach, których ogień pochłania potem całe miasta. Lecz jeśli się nie przeciwstawicie,

jeśli stchórzycie przed śmiercią w otwartej walce, i tak stanie się z wami to samo albo też wraz z całymi rodzinami zostaniecie przemienieni w płaszczące się stwory, pozbawione człowieczeństwa, gotowe wziąć udział w każdej niegodziwości, w każdym akcie zła, byle tylko ocalić własną skórę. Mówiłem o uczciwości, ale to właśnie uczciwość nie pozwalała mi zachęcać was do walki przemowami o szlachetnych ideałach i męskiej śmierci. Sam szukam sposobu zniszczenia ich, jestem ich zaciekle wrogiem, ale mam potężnych sprzymierzeńców i dopisuje mi wyjątkowe szczęście. Zdaję sobie sprawę, że nie mogę wiecznie wymykać się ich zemście, mimo to wielokrotnie udawało mi się jej uniknąć. Mogę doradzać tylko tym ludziom, którzy będą w stanie ocalić coś ze swego człowieczeństwa i nie staną się sługusami Króla-Imperatora Huona. Wykorzystajcie swój spryt. Nauczcie się przebiegłości, mój przyjacielu, ponieważ jest to jedyna broń, jaką my wszyscy dysponujemy przeciwko Mrocznemu Imperium.

— Masz na myśli pozorowane słuźenie im? – zapytał w zamyśleniu Saleem.

— Właśnie tak. Wciāż jeszcze żyję i jestem stosunkowo wolnym człowiekiem...

— Będę pamiętał twoje słowa, ksiāżę z Zachodu.

— Zapamiętajcie je wszyscy – rzekł ostrzegawczo Hawkmoon.
– Najtrudniejszym kompromisem dla człowieka jest podjęcie decyzji o konieczności kompromisu. Często ułuda staje się rzeczywistością na długo przedtem, zanim możemy to sobie uświadomić.

Saleem zanurzył palce w brodzie.

— Rozumiem cię – rzekł, rozglądając się po sali. Migotliwe blaski pochodni zdały się nagle rzucać złowróźbne cienie. –

Zastanawiam się, jak długo to potrwa... Należy do nich już niemal cała Europa...

— Czy słyszałeś cokolwiek o prowincji zwanej Kamargiem? – zapytał Hawkmoon.

— Kamarg. Kraina rogatych Wilkołaków i na wpół ludzkich potworów, dysponujących niezwykłą mocą, którym udało się jakimś sposobem obronić przed Mrocznym Imperium. Rządzi tam Brass Hrabia, metalowy gigant... Hawkmoon uśmiechnął się.

— Wiele z tego, co słyszałeś, to bajki. Hrabia Brass jest człowiekiem z krwi i kości, a w Kamargu jest zaledwie kilka potworów. Jedyne żyjące tam rogate stworzenia to byki i konie z trzęsawisk. Ale czy nadal opierają się Mrocznemu Imperium? Czy słyszałeś coś o losach hrabiego Brass, jego porucznika, von Villacha, albo córki hrabiego, Yisseldy?

— Słyszałem, że hrabia Brass nie żyje, jego porucznik także. O dziewczynie nic nie wiem. Poza tym, jak na razie, Kamarg wciąż trzyma się mocno.

Hawkmoon potarł dłonią czarny klejnot na czole.

— Twoje informacje nie są zbyt pewne. Trudno mi uwierzyć, że jeśli hrabia Brass nie żyje, Kamarg nadal się opiera. Kiedy zabraknie hrabiego Brass, będzie to także koniec Kamargu.

— No cóż; powtarzam tylko plotki, które docierają wraz z innymi plotkami – rzekł Saleem. – My, kupcy, możemy być pewni tylko lokalnych wieści. Wszystko, co słyszemy o Zachodzie, jest niejasne i mętne. Czyżbyś ty pochodził z Kamargu?

— To moja przybrana ojczyzna – przyznał Hawkmoon. – O ile jeszcze istnieje.

Oladah n położył dłoń na ramieniu Hawkmoona.

— Nie wpadaj w depresję, książę Dorianie – powiedział. – Sam stwierdziłeś, że informacje kupca Saleema nie mogą być w pełni

wiarygodne. Poczekaj z traceniem nadziei, aż znajdziemy się bliżej celu naszej wędrówki.

Hawkmoon chciał za wszelką cenę uniknąć ogarniającego go przygnębia. Poprosił gospodarza o przyniesienie więcej wina, talerzy z kawałkami pieczonej baraniny oraz gorącego, bezdrożdżowego chleba. I chociaż sprawiał wrażenie nieco bardziej rozpogodzonego, to jednak myśli jego bez reszty opanował strach, iż wszyscy mu bliscy naprawdę nie żyją, a dzikie piękno kamarskich mokradeł zniszczono bezpowrotnie.

ROZDZIAŁ VI

OKRĘT SZALONEGO BOGA

Hawkmoon i Oladahń odbyli wraz z Saleemem i jego kupcami podróż do Ankary, a następnie do portu Zonguldak nad Morzem Czarnym, gdzie dzięki dokumentom wystawionym przez właściciela karawany, Saleema, udało się im dostać na pokład „Uśmiechniętej Dziewczyny”, jedyne statku, który gotów był zabrać ich do Simferopola, miasta leżącego w kraju zwanym Krymią. „Uśmiechnięta Dziewczyna” nie była ładnym statkiem, nie dawała też poczucia bezpieczeństwa. Kapitan i cała załoga byli brudni, a z ładowni pod pokładem wydobywał się smród najprzeróżniejszych rodzajów zgnilizny. Poza tym musieli słono zapłacić za przywilej podróżowania tą balią, a kabiny, jakie im przydzielono, wypełniało niewiele zdrowsze powietrze od tego, jakie wisiało nad zęzą, nad którą zresztą były usytuowane. Kapitan Mouso, z długimi, zatłuszczonymi wąsiskami i rozbieganymi oczkami, nie wzbudzał najmniejszego zaufania, podobnie jak mat, z którego owłosionej łapy nigdy nie zniknęła butelka mocnego wina. Hawkmoon filozoficznie stwierdził, że taki statek przynajmniej nie będzie zwracał na siebie uwagi piratów, a także, z tych samych powodów, uwagi okrętów Mrocznego Imperium, w związku z czym wkroczył wraz z Oladahńem na pokład na krótko przed wypłynięciem z portu.

„Uśmiechnięta Dziewczyna” odbiła od nabrzeża wczesnym rankiem na fali przyływu. Kiedy tylko połatanie żagle złapały wiatr, wszystkie belki konstrukcji zaczęły trzaskać i skrzypieć.

Dziób zwrócił się w kierunku północno-wschodnim, niebo pociemniało, zapowiadając deszcz. Szary i zimny poranek stanowił szczególne tło dla owych trzasków wydawanych przy odbijaniu.

Hawkmoon, owinięty w płaszcz, stał na pokładzie dziobowym, przyglądając się, jak Zonguldak znika za nimi na horyzoncie.

Kiedy zaczęły spadać wielkie krople deszczu, port na dobre zniknął z pola widzenia. Spod pokładu wychynął Oladah i podreptał po mokrych deskach w stronę Hawkmoona. – Wyczyściłem nasze kajuty najlepiej, jak potrafiłem, książę Dorianie, ale i tak nie uwolnimy się od smrodu zalatującego z całego statku. Przypuszczam też, że niczym nie uda się odstraszyć tych tłustych szcurów, które widziałem.

— Zniesiemy to – odparł Hawkmoon ze stoickim spokojem. – Bywało już gorzej, a poza tym podróż potrwa tylko dwa dni. – Popatrzył na mata, który zataczał się w pobliżu sterówki. – Czułbym się jednak lepiej, gdyby oficerowie i załoga tego statku byli nieco bardziej odpowiedzialni – uśmiechnął się. – Jeśli mat będzie pił dalej, a kapitan chrapał bez przerwy, być może zostaniemy zmuszeni do objęcia dowództwa na statku!

Dwaj mężczyźni, miast wrócić pod pokład, stali na deszczu, spoglądając na północ i zastanawiając się, co może ich jeszcze spotkać w trakcie długiej podróży do Kamargu.

Marny statek pokonywał marny dzień, przewalając się przez spienione fale, popychany zdradliwym wiatrem, w każdej chwili grożącym sztormem. Kapitan od czasu do czasu wychylał nos na mostek, pokrzykiwał wówczas na swoich ludzi, przeklinał ich i zaganiał do lin, by zrefowali ten żagiel czy poluzowali tamten. Hawkmoonowi i Oladahowi rozkazy kapitana Mouso wydawały się całkowicie dowolne.

Pod wieczór Hawkmoon poszedł na mostek, żeby dołączyć do kapitana. Mouso popatrzył na niego chytrym wzrokiem.

— Dobry wieczór, panie – powiedział, pociągając nosem i wycierając go rękawem. – Mam nadzieję, że podróż was satysfakcjonuje.

— Owszem, dosyć. Dziękuję. Jak tam z czasem, dobrze czy źle?
"

— Dość dobrze, panie – odparł szyper, odwracając się tak, by nie spoglądać wprost na Hawkmoona. – Dość dobrze. Czy mam rozkazać kucharzowi, żeby przygotował wam jakąś kolację?

— Tak – Hawkmoon skinął głową.

Gdzieś z dołu wysunął się mat, podśpiewując coś sobie, najwyraźniej nieprzytomnie pijany.

Nagle szkwał uderzył w burtę, a statek silnie pochylił się na bok. Hawkmoon chwycił się relingu; miał wrażenie, że drewno w każdej chwili może mu się rozkruszyć w rękę. Kapitan Mouso jakby nie dostrzegał żadnego niebezpieczeństwa, natomiast mat leżał twarzą do pokładu, butelka wysunęła mu się z dłoni, a bezwładne ciało zsuwało się coraz bliżej krawędzi pokładu.

— Chyba trzeba mu pomóc – odezwał się Hawkmoon. Kapitan Mouso zaśmiał się tylko.

— Nic mu nie będzie. Ma pijackie szczęście.

Ale ciało pijaka przesunęło się już do relingu sterburty, przy czym głowa i jedno ramię wysunęły się na zewnątrz. Hawkmoon przeskoczył schodki, chwycił tamtego i odciągnął go do tyłu, a w tym samym momencie statek zwałił się na przeciwną burtę i słone fale wdarły się na pokład.

Książę popatrzył w dół na człowieka, któremu ocalił życie. Mat leżał na plecach z zamkniętymi oczyma, a jego wargi poruszały się w rytm słów piosenki, którą wciąż śpiewał.

Hawkmoon zaśmiał się, pokręcił głową, po czym zawołał do szypra:

— Miałeś rację! On ma pijackie szczęście!

Kiedy odwracał się z powrotem w stronę mostka, wydało mu się, że dostrzega coś na wodzie. Ściemniało się szybko, był jednak pewien, że widział tam, w niezbyt wielkiej odległości od statku, jakiś rodzaj łodzi.

— Czy nie widzi pan tam czegoś, kapitanie? – zawołał, zbliżając się do relingu i wbijając wzrok w masy spienionej wody.

— To wygląda jak tratwa – odkrzyknął Mouso.

Po chwili, kiedy fale zepchnęły ją trochę bliżej, Hawkmoon również dostrzegł ją wyraźnie. Była to tratwa, na której czepiało się belek troje ludzi.

— Na moje oko to rozbitkowie – zawołał Mouso obojętnym tonem. – Biedni głupcy – wzruszył ramionami. – Cóż, to nie nasza sprawa...

— Musimy ich uratować, kapitanie – rzekł Hawkmoon. – Nie uda nam się to w ciemnościach. A poza tym, stracimy czas. Nie mam żadnego ładunku na pokładzie, oprócz was, muszę więc zdążyć na czas do Simferopola. żeby załadować towar, zanim zrobi to ktoś inny.

— Musimy ich uratować – rzekł Hawkmoon z naciskiem. – Oladahnie; lina!

Zwierzoczłowieczek znalazł zwój liny w budce sternika i szybko zbiegł z nią na pokład. Tratwa wciąż była w zasięgu wzroku i można było dostrzec ludzi, leżących płasko na belkach i trzymających się ich kurczowo, by ocalić życie. Nędzna łupina zniknęła w wielkiej niecce między falami, by po kilku sekundach pojawić się znowu, już znacznie dalej od statku. Odległość

między nimi powiększała się bez przerwy i Hawkmoon zdawał sobie sprawę, że zostało już niewiele czasu, za chwilę tratwa znajdzie się zbyt daleko od nich, by mogli pomóc znajdującym się na niej ludziom. Przywiązał jeden koniec liny do relingu, drugim owinął się dokoła w pasie, po czym zrzucił płaszcz i pas z mieczem i skoczył w spienione fale oceanu.

Szybko pojął, jakie grozi mu niebezpieczeństwo. Wysokie fale niemal całkowicie uniemożliwiały pływanie i w każdej chwili mogły rzucić nim o burtę statku, ogłuszyć i wciągnąć nieprzytomnego w głębiny. Za wszelką cenę starał się poruszać pod fale, usiłując utrzymać twarz nad powierzchnią wody i wypatrywać dryfującej tratwy.

Dostrzegł ją wreszcie. Ludzie, którzy zauważyli statek w pobliżu, podnieśli się teraz na nogi, wymachiwali rękoma i krzyczeli. Nie widzieli płynącego w ich kierunku człowieka.

Poprzez fale Hawkmoon tylko od czasu do czasu dostrzegał sylwetki rozbitków i nie był w stanie rozróżnić szczegółów. Zdawało mu się jednak, że tylko dwóch z nich stara się zasygnalizować swą obecność załodze statku, podczas gdy trzeci siedzi sztywno i przygląda się.

— Trzymajcie się! – zawołał, starając się przekrzyczeć huk fal i wycie wiatru. Wyteżył wszystkie siły, przepłynął jeszcze kawałek i wkrótce znalazł się w pobliżu tratwy, miotanej przez oszalały chaos spienionej czarnej wody.

Złapał za krawędź belki i wówczas dostrzegł, że ci dwaj ludzie w rzeczywistości zmagają się ze sobą. Zauważył również, że wszyscy mieli na sobie charakterystyczne maski Zakonu Odyńca, z wysuniętymi pyskami. Byli to żołnierze Granbretanu.

Przez chwilę Hawkmoon zastanawiał się, czy nie zostawić ich własnemu losowi. Ale wytłumaczył sobie, że gdyby to uczynił, nie

byłby wiele lepszy od nich. Musiał uczynić wszystko, by ich uratować, a dopiero potem zdecydować, co z nimi począć.

Zawołał na walczącą parę, ale zdawali się go nie słyszeć. Pojękiwali i przeklinali, mocując się ze sobą, a Hawkmoonowi przemknęło przez myśl, czy ciężkie przejścia nie doprowadziły ich do obłędu.

Spróbował wciągnąć się na tratwę, lecz fale i owiązana w pasie lina ściągały go z powrotem. Zauważył, że siedzący człowiek spostrzegł go i jakby od niechcienia kiwnął w jego stronę ręką.

— Pomóż mi, bo w przeciwnym razie ja nie będę mógł wam pomóc – wysapał Hawkmoon.

Tamten podniósł się, chwiejnym krokiem ruszył wzdłuż belek, lecz na jego drodze stanęło dwóch walczących ludzi. Z obojętnym wzruszeniem ramion mężczyzna objął ich za szyje, przytrzymał chwilę, aż tratwa zwała się w dół z kolejnej fali, po czym zepchnął obu do morza.

— Hawkmoon, mój drogi przyjacielu! – rozległ się głos zza maski odyńca. – Jakże jestem szczęśliwy, że mogę cię widzieć. Zgodnie z twoim życzeniem pomogłem ci. Odciążyłem tratwę.

Hawkmoon próbował pochwycić jednego z pływających ludzi, który nadal starał się walczyć ze swym towarzyszem. W ciężkich maskach i zbrojach obaj musieli w ciągu kilku sekund utonąć. Nie był jednak w stanie dosięgnąć człowieka. Patrzył tylko zafascynowany, jak z zadziwiającą powolnością obie maski znikają w głębinach fal.

Podniósł wzrok na trzeciego rozbitka, który pochylał się, wyciągając w jego kierunku dłoń.

— Zamordowałeś swoich przyjaciół, d'Averc! Nie przychodzi mi nic innego na myśl, niż pozwolić ci pójść na dno razem z nimi.

— Przyjaciół? Oni nie byli przyjaciółmi, mój drogi

Hawkmoonie. Sługami, tak, ale nie przyjaciółmi. – D'Averc uchwycił się mocno belek, kiedy następna fala cisnęła tratwę, omal nie odrywając czepiającego się jej Hawkmoona. – Nie byli przyjaciółmi. Byli wystarczająco lojalni, ale potwornie nudni. A poza tym robili z siebie głupców. Nie mogłem tego tolerować. Chodź, pomogę ci dostać się na pokład mojego małego stateczku. To tylko łupina, ale...

Hawkmoon pozwolił, by d'Averc pomógł mu wsunąć się na tratwę, po czym odwrócił się i pomachał ręką w stronę ledwie już widocznego w zapadających ciemnościach statku. Poczul, że lina zaczyna naprężać się w miarę, jak Oladahń ją zwija.

— Cóż za szczęście, że przepływaliście właśnie w pobliżu – rzekł beznamiętnie d'Averc; kiedy powoli zbliżali się do statku. – Uważałem już siebie za topielca, a całą moją świetlaną przyszłość za straconą. Ale któż to pojawia się na swym wspaniałym statku, jeśli nie szlachetny książę Kln. Przeznaczenie zetknęło nas ze sobą raz jeszcze, książę.

— Zaiste, ale wrzucę cię do morza natychmiast, podobnie jak ty uczyniłeś ze swoimi przyjaciółmi, jeśli nie będziesz trzymał na wodzy języka i nie pomożesz mi ciągnąć tej liny – warknął Hawkmoon.

Tratwa prześlizgnęła się po falach i w końcu uderzyła w na wpół przegniłą burtę „Uśmiechniętej Dziewczyny”. Z góry zsunęła się sznurowa drabinka i Hawkmoon zaczął się wspinać na górę, aż w końcu ociężale przerzucił ciało przez reling, dysząc z wysiłku.

Kiedy Oladahń ujrzał głowę drugiego człowieka wychylającą się zza krawędzi pokładu, zaklął głośno i sięgnął po miecz, ale Hawkmoon powstrzymał go.

— Jest naszym więźniem i możemy równie dobrze zachować

go przy życiu, żeby później wykorzystać jako argument przetargowy, gdybyśmy znaleźli się w kłopotach.

— Cóż za dalekowzroczność! – stwierdził z podziwem d'Averc, po czym zaniósł się kaszlem. – Wybaczcie mi. Boję się; że ciężkie przeżycia krańcowo mnie wyczerpały. Zmiana ubrania, nieco gorącego grogu, dobry sen, a znów będę sobą.

— Będziesz miał szczęście, jeśli pozwolimy ci zgnić w ładowni – rzekł Hawkmoon. – Oladahnie, zaprowadź go na dół do naszej kajuty.

Stłoczeni w niewielkiej kajucie, słabo oświetlonej przez małą lampę zwieszającą się z sufitu, Hawkmoon i Oladahn przyglądali się, jak d'Averc ściąga z siebie maskę, zbroję, przemoczoną bieliznę.

— W jaki sposób znalazłeś się na tej tratwie, d'Averc? zapytał Hawkmoon starannie wycierającego się Francuza. Nawet on był nieco zakłopotany wyjątkowym spokojem tamtego. Wzbudzał tą postawą szacunek i książę zastanawiał się, czy jakimś dziwnym sposobem nie zaczyna nawet lubić d'Averca. Możliwe, że powodowała to szczerłość, z jaką d'Averc przyznawał się do swoich dążeń oraz jego niechęć do usprawiedliwiania własnych postępów, nawet jeśli – jak miało to miejsce ostatnio – w grę wchodziło popełnione z zimną krwią morderstwo.

— To długa historia, drodzy przyjaciele. Trzech z nas, Ecardo, Peter i ja, zostawiliśmy resztę zmagającą się ze ślepym potworem, którego na nas wypuściliście, i postanowiliśmy znaleźć bezpieczne schronienie wśród wzgórz. Niedługo później zjawiał się skrzydłolot, po który posłaliśmy, żeby was zabrał, a pilot zaczął krążyć nad nami, z pewnością zdumiony zniknięciem całego miasta. Muszę przyznać, że my również przeżyliśmy szok. Musicie mi to później wyjaśnić. Tak więc daliśmy znak pilotowi i

ten wylądował. Zdawaliśmy sobie już wówczas sprawę, w jak trudnym jesteśmy położeniu... – d'Averc przerwał. – Czy nie macie tu czegoś do jedzenia?

— Szyper zamówił już dla nas kolację w kuchni – rzekł Oladah. – Mów dalej.

— Znaleźliśmy się w trójkę, bez koni, w bezludnej części wiata. Poza tym nie udało nam się was zatrzymać, kiedy mieliśmy was już w ręku, a wszystko wskazywało na to, że pilot zostanie jedynym żywym człowiekiem, który będzie znał prawdę...

— Zabiliście pilota? – wtrącił Hawkmoon.

— Właśnie. Nie było innego wyjścia. Potem zabraliśmy jego maszynę, mając zamiar dostać się nią do najbliższej bazy.

— I co dalej? – zapytał Hawkmoon. – Czy ktoś z was wiedział, jak kieruje się skrzydłolotem?

D'Averc uśmiechnął się.

— Zgadłeś. Moja wiedza dotycząca urządzeń technicznych jest raczej skąpa. Udało nam się wznieść w powietrze, lecz okazało się, że tym diabelstwem nie da się sterować. Zanim się zorientowaliśmy, unosiło nas już, jedna Magiczna Laska wie dokąd. Muszę przyznać, że obawiałem się nieco o nasze bezpieczeństwo. Ten potwór zachowywał się coraz bardziej nieobliczalnie, aż w końcu zaczął spadać. Udało mi się opanować go na tyle, że wylądowaliśmy na błotnistym brzegu rzeki, wychodząc z opałów tylko z kilkoma siniakami. Ecardo i Peter zaczęli histerycznie kłócić się między sobą, zachowywali się prawie jak zwierzęta i ledwie udało mi się ich poskromić. Potem prostym sposobem zbudowaliśmy tratwę, chcąc popłynąć z prądem rzeki do najbliższego miasta...

— Tę właśnie tratwę?"- zapytał Hawkmoon.

— Tak, tę samą.

— A więc w jaki sposób znaleźliście się na pełnym morzu?

— Odpływ, mój drogi przyjacielu – wyjaśnił d'Averc, wykonując jednocześnie afektowany ruch dłonią. – Prądy morskie. Nie zdawałem sobie sprawy, iż byliśmy tak blisko ujścia rzeki. Zostaliśmy porwani przez nurt i z przerażającą wręcz szybkością rzućeni daleko od brzegu. Na tratwie, na tej przeklętej tratwie, przyszło nam spędzić kilka następnych dni. Peter i Ecardo wciąż wrzeszczeli na siebie, obwiniali się nawzajem o doprowadzenie do takiej sytuacji, chociaż powinni byli obciążać winą mnie. Och, nie jestem w stanie opowiedzieć wam, książę Dorianie, cóż to było za piekło.

— Ale uniknąłeś najgorszego – odezwał się Hawkmoon. Rozległo się pukanie do drzwi kajuty. Oladahn otworzył je i wpuścił pryszczatego chłopca okrętowego, który dźwigał tacę z trzema miskami wypełnionymi jakąś szarawą mieszanką.

Hawkmoon przejął tacę, a następnie wręczył d'Avercowi miskę i łyżkę. Ten zawahał się przez moment, po czym nabrał pełną łyżkę potrawy. Wydawało się, że z największym trudem hamuje łapczywość. Szybko zjadł wszystko, po czym odstawił pustą miskę na tacę.

— Delicje – stwierdził. – Niemal bez zarzutu, jak na kucharza okrętowego.

Hawkmoon, który na wspomnienie brudu na statku dostawał nudności, wyciągnął w jego kierunku swoją miskę, Oladahn zaś zaproponował swoją.

— Dziękuję – rzekł d'Averc. – Jestem zwolennikiem umiaru. Dla mnie dostatecznie znaczy to samo, co do syta.

Hawkmoon uśmiechnął się lekko, po raz kolejny podziwiając opanowanie Francuza. Prawdopodobnie jedzenie było paskudne i podobnie jak oni nie miał na nie ochoty, lecz głód dokuczał mu

do tego stopnia; że pochłoniął całą porcję, zachowując się do tego buńczucznie.

Teraz d'Averc przeciągnął się; a jego naprężone mięśnie jeszcze raz zadały kłam udawanemu inwalidztwu.

— Ach – ziewnął. – Jeśli mi wybaczycie, panowie, położyłbym się teraz spać. Mam za sobą kilka ciężkich i męczących dni.

— Zajmij moje łóżko – rzekł Hawkmoon, wskazując krótką koję. Nie wspomniał nawet słowem, że wcześniej odkrył w niej coś, co nie wyglądało na nic innego jak całe plemię pluskiew. – Zobaczą, czy szyper nie dysponuje jakimś hamakiem.

— Jestem wdzięczny – odparł d'Averc, a w jego głosie zabrzmiała tak niezwykła powaga, że Hawkmoon, stojąc już przy drzwiach, odwrócił się.

— Za co?

D'Averc zaczął ostentacyjnie kasłać, po czym uniósł w górę oczy.

— Cóż, mój drogi książę – rzekł zwykłym już dla niego, drwiącym tonem. – Za uratowanie mi życia, rzecz jasna.

Rankiem sztorm ucichł; morze nadal było wzburzone, jednak o wiele mniej niż poprzedniego dnia. Hawkmoon spotkał d'Averca na pokładzie. Stał owinięty w płaszcz i miał na sobie spodnie z zielonego jedwabiu, ale był bez broni. Na widok księcia skłonił się nisko.

— Czy dobrze spałeś? – zapytał Hawkmoon.

— Wyśmienicie – odparł, patrząc pełnym drwiny wzrokiem i Hawkmoon domyślił się, że pluskwy miały na nim niezłe używanie.

— Dziś wieczorem zawiniemy do portu – powiedział książę Kln. – Będziesz moim więźniem. Albo zakładnikiem, jeśli wolisz.

— Zakładnikiem? Czy naprawdę uważasz, że Mroczne

Imperium obchodzi to, czy ja żyję, czy nie, kiedy już przestałem być dla nich użyteczny?

— Zobaczmy – odparł Hawkmoon, przesuwając dłonią po klejnocie na czole. – Jeśli będziesz próbował uciec, zabiję cię z zimną krwią, tak jak ty zabiłeś swoich ludzi.

D'Averc odkaszczał w trzymaną w dłoni chusteczkę.

— Tobie zawdzięczam życie – powiedział. – Ono należy do ciebie i zabierzesz je, jeśli taka twoja wola. Hawkmoon zachmurzył się. Tok myślenia d'Averca był zbyt pokrętny, by można było za nim nadążyć. Zaczynał teraz żałować swojej decyzji. Francuz mógł się okazać o wiele bardziej niebezpieczny, niż należało się tego spodziewać.

Oladah n wyskoczył na pokład i podbiegł w ich kierunku. – Księżę Dorianie – zawołał, wskazując ręką. – Żagiel. Płyną prosto na nas.

— Chyba nie mamy się czego obawiać – uśmiechnął się Hawkmoon. – Nie przedstawiamy żadnej wartości dla piratów.

Ale w chwilę później zaobserwował oznaki paniki wśród załogi, toteż gdy kapitan przebiegał obok nich, chwycił go za ramię.

— Co się dzieje, kapitanie Mouso?

— Niebezpieczeństwo, panie – wyrzucił z siebie szyper. – Wielkie niebezpieczeństwo. Czyżbyście nie rozpoznali tego żagla?

Hawkmoon wbił wzrok w linię horyzontu i dojrzał pojedynczy czarny żagiel. Był na nim wymalowany jakiś emblemat, lecz z tej odległości trudno było dostrzec szczegóły.

— Z pewnością nie ma się czym martwić – powiedział. – Nie przypuszczam, żeby podejmowali walkę dla takiej balii jak ta. A poza tym sam mówiłeś, że nie mamy na pokładzie żadnego

towaru.

— Ich nie obchodzi, czy my coś wieziemy, czy nie, panie. Oni atakują wszystko, co znajdzie się na morzu w zasięgu ich wzroku. Przypominają rekiny ludojady, księżę Dorianie. A przyjemność czerpią nie ze zdobytych łupów, ale ze niszczenia!

— Któż to jest? Z wyglądu nie przypomina okrętu Granbretańskiego – odezwał się d'Averc.

— Tamci pewnie by sobie nawet nie zawracali nami;łowy – wyjąkał kapitan Mouso. – Nie, to jest okręt obsadzony przez ludzi wyznających kult Szalonego Boga. Pochodzą z Moskovii i w ostatnich miesiącach zaczęli;oraz częściej nawiedzać te wody.

— Wszystko wskazuje na to, że mają zamiar zaatakować – rzekł spokojnie d'Averc. – Jeśli pozwolisz, księżę Dorianie, zejść na dół i przywdzieję zbroję oraz wezmę miecz.

— Ja także przygotowuję broń – dodał Oladah. – I przyniosę twój miecz, księżę.

— Nie ma sensu walczyć! – zawołał mat, wymachując butelką. – Już lepiej skoczyć do morza.

— Tak – przyznał kapitan Mouso, oglądając się za d'Avercem i Oladahem, oddalającymi się po broń. – On ma rację. Jest nas tylko kilku i tamci rozszarpiają nas na kawałki. A jeśli schwytają żywcem, będą torturować przez wiele dni.

Hawkmoon chciał już coś odpowiedzieć kapitanowi, ale odwrócił się, kiedy usłyszał głośny plusk. Mat zniknął jakby chciał w ten sposób potwierdzić daną im radę. Hawkmoon wychylił się za burtę, lecz nie był w stanie nic dostrzec.

— Nie myśl o tym, żeby mu pomóc, ale idź w jego ślady – rzekł szyper. – On jest najmądrzejszy z nas wszystkich.

Obcy okręt teraz już wyraźnie pędził w ich kierunku. Na czarnym żaglu widniały wymalowane wielkie czerwone

skrzydła, a pomiędzy nimi wykrzywiała się olbrzymia twarz o zezwierzęciałych rysach, jak gdyby zanosząca się szaleńczym śmiechem. Na pokładzie tłoczyło się dziesiątki nagich wojowników, nie mających na sobie nic oprócz pasów z szablami i nabijanych ćwiekami obroży. Ponad powierzchnią morza niosło się dziwne echo, którego w pierwszej chwili Hawkmoon nie rozpoznał. Lecz kiedy jeszcze raz popatrzył na żagiel, domyślił się co to za odgłos.

Był to dziki, obłądny śmiech – taki, jaki mógłby wydobywać się z samego dna piekieł, gdyby przeklęte dusze wprowadzić w stan niepohamowanej radości.

— Okręt Szalonego Boga – wymamrotał kapitan Mouso, a w jego oczach pojawiły się łzy. – Teraz umrzemy.

ROZDZIAŁ VII

PIERSCIEN NA PALCU

Hawkmoon, Oladah i d'Averc stanęli ramię przy ramieniu w pobliżu relingu bakburty obserwując, jak z każdą chwilą przybliża się do nich straszliwy okręt. Cała załoga skupiła się wokół kapitana, starając się znaleźć jak najdalej od napastników.

Patrząc na rozbiegane oczy i okryte pianą wargi szaleńców z obcego okrętu, Hawkmoon doszedł do wniosku, że praktycznie nie mają szansy. Z okrętu Szalonego Boga wystrzeliła naraz chmura żelaznych haków, zagłębiając się w miękkie drewno relingów „Uśmiechniętej Dziewczyny”. Natychmiast wszyscy trzej rzucili się do cięcia lin i udało się im zerwać większość z nich.

— Popchnij swoich ludzi na reje i spróbujcie odwrócić statek! — zawołał Hawkmoon do kapitana. Ale przestraszona załoga nie poruszyła się nawet. — Będziecie bezpieczniejsi na górze! — krzyknął książę. Tamci jakby się zawahali, pozostali jednak na miejscu.

Kiedy zwrócił uwagę z powrotem ku atakującemu okrętowi, przeraził go widok górujących nad nimi burt, szalonej załogi zgromadzonej przy relingach, na które część ludzi zaczynała się już wspinać, szykując się do przeskoczenia z kordami na pokład „Uśmiechniętej Dziewczyny”. Powietrze wypełniał ich dziki śmiech, a twarze wykrzywiała żądza krwi.

Pierwszy z nich skoczył w dół na Hawkmoona. Błysnęło nagie ciało i uniesiona w górę szabla. Hawkmoon pchnął mieczem w

górze, by przebić spadającego człowieka. Jeszcze jedno pchnięcie i ciało runęło w dół, w zwężającą się szczelinę między statkami, i zniknęło w morzu. Za chwilę zaroilo się od nagich postaci, ześlizgujących się po linach, skaczących na oślep i wspinających się po sznurach abordażowych. Trzej mężczyźni stanęli naprzeciw pierwszej fali napastników, tnąc na lewo i prawo, aż wszystko dokoła spłynęło krwią, spychano ich jednak stopniowo od relingu, a pokład „Uśmiechniętej Dziewczyny” zaroił się od szaleńców, którzy walczyli wprawdzie nieumiejętnie, cechowała ich za to wstrząsająca pogarda dla własnego życia.

Hawkmoon został rozdzielony z przyjaciółmi i nie wiedział, czy walczą nadal, czy też zostali zabici. Zadziorni napastnicy rzucali się wprost na niego, lecz on ujął ciężki miecz w obie dłonie i wywijał nim dokoła, zataczając to tu, to tam wielkie półkola, roztaczając wirujący wachlarz błyskającej stali. Od stóp do głowy cały pokryty był krwią, jedynie w szczelinach hełmu błyszczały ciągle jego spokojne niebieskie oczy.

Przez cały czas rozbrzmiewał śmiech ludzi Szalonego Boga – rozbrzmiewał nawet wtedy, kiedy głowy spadały z karków czy też ramiona były odrąbywane od ciał.

Hawkmoon zdawał sobie sprawę, że w końcu musi paść z wyczerpania. Już teraz miecz nadzwyczajnie ciążył mu w rękach, a kolana poczynały drżeć. Z plecami wspartymi o gródz ciał i rąbał zdające się napływać bez końca fale chichoczących szaleńców, którzy bez przerwy usiłowali pozbawić go życia.

Coraz padał martwy człowiek, coraz kogoś pozbawiał członków, ale z każdym ciosem ubywało energii Hawkmoonowi.

Nagle, kiedy blokował dwie naraz zmierzające ku niemu szable, pośliznął się i upadł na jedno kolano. Śmiech nasilił się, rozbrzmiał triumfem, a wyznawcy Szalonego Boga ruszyli do

przodu, by go zabić.

W desperacji sięgnął ręką w górę, pochwycił dłoń jednego z napastników, po czym wyłuskał szablę z jej uchwytu, stając się w ten sposób posiadaczem dwóch głów. Używając szabli szaleńca do zadawania ciosów, zaś swego miecza do osłony, podniósł się z powrotem na nogi, odepchnął kopniakiem jeszcze jednego człowieka, po czym skoczył w bok, by wbiec po schodkach na mostek. Na szczycie schodów odwrócił się, by znów stawić czoło wrogowi, tym razem mając przewagę pozycji nad wyjącmi szaleńcami, którzy tłoczyli się u wejścia na schody. Dostrzegł teraz, że zarówno d'Averc jak i Oladahń wspięli się na wanty i udaje im się trzymać napastników w szachu. Spojrzał w stronę okrętu Szalonego Boga. Wciąż utrzymywał się na linach abordażowych, lecz były całkowicie opustoszały. Cała jego załoga przeszła na pokład „Uśmiechniętej Dziewczyny”. Hawkmoonowi natychmiast przyszedł do głowy pewien pomysł.

Odwrócił się, niby uciekając przed napastnikami, po czym wskoczył na reling, chwycił linę zwieszającą się z salingu i skoczył między okręty.

Lecąc w powietrzu modlił się, by lina okazała się wystarczająco długa. Puścił ją, kiedy był już przy burcie okrętu. Spadając, ledwie zdołał palcami uchwycić się relingu. Szybko podciągnął się na pokład i zaczął odcinać liny abordażowe, jednocześnie nawołując:

— Oladahń! D'Averc! Szybko, do mnie!

Obaj, tkwiący wciąż na wantach, dostrzegli go i zaczęli wspinać się jeszcze wyżej, żeby w końcu z niezwykłą ostrożnością przejść po rei grotmasztu; za nimi cisnęli się napastnicy.

Okręt Szalonego Boga zaczynał już się oddalać, a szczelina

między nim a „Uśmiechniętą Dziewczyną” szybko poszerzała się.

D'Averc skoczył pierwszy, mierząc w wanty umykającego pod czarnym żaglem okrętu, udało mu się jedną ręką chwycić linę, zsunął się nieco w dół, lecz zapobiegł upadkowi, który mógł zakończyć się śmiercią.

Oladahń poszedł w jego ślady. Odciął jedną z lin, przeleciał na niej ponad przepaścią, zsuwając się jednocześnie w dół, aż wreszcie wylądował na pokładzie z rozrzuconymi ramionami i legł twarzą do dołu.

Grupa szaleńczych napastników próbowała ich naśladować i kilku udało się nawet przedostać na pokład swojego okrętu. Śmiejąc się nieustannie natarli hurmą na Hawkmoona, bez wątpienia uznając Oladahna za martwego.

Książę ledwie był zdolny do tego, żeby się bronić. Jeden cios dosięgnął jego ramienia, drugi twarzy tuż pod otworami hełmu. Nagle, gdzieś z góry, w sam środek grupy nagich napastników spadła jakaś postać i zaczęła ciąć na lewo i prawo, niemal z takim samym szaleństwem.

Był to d'Averc w zbroi i masce odyńca, ociekający krwią zarzynanych wrogów. Za chwilę na karki atakujących spadł także Oladahń, widocznie tylko ogłuszony upadkiem, z dzikim górskim okrzykiem bitewnym na ustach.

Wkrótce wszyscy szaleńcy, którym udało się przedostać na okręt, leżeli martwi. Ci z pokładu „Uśmiechniętej Dziewczyny” skakali do wody, ciągle śmiejąc się dziko, i próbowali płynąć za okrętem.

Spoglądając w tył, na „Uśmiechniętą Dziewczynę”, Hawkmoon zauważył, że cudownym sposobem większości załogi udało się przeżyć napad, gdyż w ostatniej chwili marynarze zaczęli wspinać się na bezanmaszt.

D'Averc skoczył do przodu, ujął koło sterowe okrętu Szalonego Boga, przeciął unieruchamiające je liny i zaczął sterować aby dalej od pływających nadaremnie ludzi.

— Cóż – wysapał Oladah, chowając miecz do pochwy i oglądając własne rany. – Wydaje się, że zdołaliśmy im umknąć, w dodatku na lepszym żaglowcu.

— Jeśli dopisze nam szczęście, zawiniemy do portu jeszcze przed „Uśmiechniętą Dziewczyną” – Hawkmoon wyszczerzył zęby. – Mam nadzieję, że poześlą jednak w stronę Krymii, ponieważ na ich pokładzie zostały wszystkie nasze dobra.

Z wielką wprawą d'Averc wykręcał okręt, kierując się na północ. Pojedynczy żagiel napiął się, kiedy pochwycił pełny wiatr i szybko zaczęli zostawiać za sobą pływających szaleńców. Nawet idąc na dno nie przestawali się głośno śmiać.

Kiedy pomogli już d'Avercowi unieruchomić ster tak, by okręt trzymał się prosto obranego kursu, zaczęli przeszukiwać ładownie. Były zapchane skarbami pochodzącymi z pewnością z rabunku wielu statków, ale poniewierały się w nich także wszelkiego rodzaju niepotrzebne rzeczy, jak połamana broń, zniszczone instrumenty nawigacyjne czy sterty ubrań. Tu i tam, zrzucone bezładnie do ładowni, leżały również ciała w stanie rozkładu, a także części ciał ludzkich.

Trzej mężczyźni postanowili na początku pozbyć się ciał i ludzkich szczątków; owijali je w płaszcze, zawiązywali w łańchmany i wyrzucali za burtę. Była to nieprzyjemna praca i zajęła im sporo czasu.

W pewnej chwili Oladah nagle zmarł w bezruchu i wbił oczy w odciętą ludzką rękę, która jakimś sposobem uległa zmumifikowaniu. Z ociąganiem uniósł ją w górę, by obejrzeć pierścień znajdujący się na małym palcu. Podniósł wzrok na

Hawkmoona.

— Książę Dorianie...

— O co chodzi? Nie zawracaj sobie głowy pierścieniem. Po prostu pozbądź się całej ręki.

— Nie, chodzi mi o sam pierścień. Jest bardzo szczególny...

Hawkmoon zniecierpliwiony przeszedł na drugi koniec słabo oświetlonej ładowni, popatrzył na pierścień i aż jęknął, kiedy go rozpoznał.

— Nie! To niemożliwe!

Był to pierścień Yisseldy. Ten sam, który hrabia Brass wsunął jej na palec na znak zaręczyn z Dorianem Hawkmoonem.

Odrętwiały z przerażenia książę ujął zmumifikowaną rękę, a na jego twarzy odmalowało się niedowierzenie.

— O co chodzi? – szepnął Oladahn. – Cóż tak bardzo cię zaniepokoiło?

— To jej. To pierścień Yisseldy.

— W jakim sposób ona mogłaby pływać po tym morzu, o setki kilometrów od Kamargu? To niemożliwe, książę Dorianie.

— To jej pierścień. – Hawkmoon wpatrywał się w rękę, dokonując szczegółowych oględzin, aż wreszcie dotarła do niego prawda. – Ale to nie jej ręka. Spójrz, pierścień ledwo wchodzi na mały palec. Hrabia Brass włożył go na jej środkowy palec, a i wówczas był nieco za luźny. To jest ręka jakiegoś rozbójnika. – Ściągnął drogocenny pierścień z palca i odrzucił rękę. – Możliwe, że kogoś, kto był w Kamargu i ukradł pierścień... – pokręcił głową. – To mało prawdopodobne. Ale jak inaczej to wytłumaczyć?

— Może podróżowała przez tę część świata? Może szukała ciebie? – podsunął Oladahn.

— To byłoby głupie z jej strony. Ale nie można tego wykluczyć.

Z drugiej strony, jeśli tak było, to gdzież teraz może się znajdować Yisselda?

Oladahń otworzył już usta do odpowiedzi, kiedy nagle, gdzieś nad ich głowami, rozległ się przerażający basowy chichot. Spojrzeli w górę, w kierunku wejścia do ładowni. Spoglądała na nich obłąkana, szczerząca zęby twarz. Jakimś sposobem jednemu z oszalałych bandytów udało się dogonić statek. I oto szykował się, by skoczyć im na głowy.

Hawkmoon ledwie zdążył dobyć miecza, kiedy tamten zaatakował, szeroko zamierzając się szablą. Metal uderzył o metal.

Oladahń sięgnął po swój miecz, nadbiegł też d'Averc szybkim krokiem, ale Hawkmoon powstrzymał ich.

— Bierzcie go żywcem! Musimy wziąć go żywcem! Podczas gdy Hawkmoon walczył, Oladahń i d'Averc pochowali miecze i skoczyli na plecy napastnika, chwytając go za ręce. Dwukrotnie udało mu się ich zrzucić, ale w końcu padł podcięty i został związany mocno długim kawałkiem liny. Leżał nieruchomo; z nie widzącymi oczyma i wargami pokrytymi pianą, chichocząc im prosto w twarz.

— Cóż za pożytek z niego żywego? – zapytał d'Averc z pełnym politowania zaciekawieniem. – Czemu nie poderżnąć mu gardła i nie pozbyć się go?

— To jest pierścień, który przed chwilą znalazłem odparł Hawkmoon, pokazując klejnot. – Należy do Yisseldy, córki hrabiego Brass. Chciałbym się dowiedzieć, jak ci ludzie go zdobyli.

— Dziwne – rzekł d'Averc, marszcząc brwi. – Przypuszczam, że dziewczyna znajduje się nadal w Kamargu i dogląda ojca.

— A więc hrabia Brass jest ranny? D'Averc uśmiechnął się.

— Tak, ale Kamarg ciągle się nie poddał. Chciałem cię zdenerwować, książę Dorianie. Nie wiem, jak ciężko hrabia Brass jest ranny, ale na pewno żyje. Poza tym ten jego mędrzec, Bowgentle, pomaga mu dowodzić oddziałami.

Ostatnie wiadomości, jakie do mnie doszły, dotyczyły patowej sytuacji między Mrocznym Imperium i Kamargiem.

— I nie słyszałeś nic o Yisseldzie? A zwłaszcza o tym, żeby wyjeżdżała z Kamargu?

— Nie – odparł d'Averc, marszcząc brwi w zamyśleniu. – Chociaż wydaje mi się, że przypominam sobie... Tak, chodziło o człowieka służącego w armii hrabiego Brass. Zdaje się, że został przekupiony i nakłoniony do próby porwania dziewczyny, ale ten spisek nie powiódł się. – Skąd wiesz?

— Ten człowiek, Juan Zhinaga, zniknął. Prawdopodobnie hrabia Brass zdemaskował go i zabił.

— Trudno mi uwierzyć, żeby Zhinaga okazał się zdrajcą. Znałem nieco tego człowieka, był kapitanem kawalerii.

— Pojmany przez nas w drugiej bitwie o Kamarg uśmiechnął się d'Averc. – Wydaje mi się, że był Niemcem, a w naszych lochach znajdowała się część jego rodziny...

— Szantażowaliście go!

— Był szantażowany, ale nie przypisuj niczego mnie. Ja tylko słyszałem o tym wszystkim podczas jednej z konferencji w Londrze, kiedy to Król-Imperator Huon zebrał różnych dowódców, by poinformowali go o postępach kampanii prowadzonych w Europie.

Czoło Hawkmoona przecięły liczne bruzdy.

— Załóżmy jednak, że Zhinadze udało się... W jakiś sposób ominął z Yisseldą wasze armie i na jego drodze stanęli dopiero ludzie Szalonego Boga...

D'Averc pokręcił głową.

— Nigdy nie przedostaliby się aż tak daleko od południowej Francji. Na pewno słyszelibyśmy o nich, gdyby podjęli taką próbę.

— W takim razie jak to wytłumaczyć?

— Spróbujmy zapytać tego dżentelmena – zaproponował d'Averc, szturchając szaleńca, którego chichot przycichł do tego stopnia, że był prawie niesłyszalny.

— Miejmy nadzieję, że uda się z niego wyciągnąć cokolwiek sensownego – rzekł z powątpiewaniem Oladah. – A może ból przywróci mu rozsądek, jak uważacie? zapytał d'Averc.

— Wątpię – powiedział Hawkmoon. – Oni nie znają strachu. Musimy spróbować czegoś innego. – Popatrzył na więźnia z obrzydzeniem. – Zostawmy go na jakiś czas, może opanuje się choć trochę.

Wspięli się na pokład, zamykając luk wiodący do ładowni. Słońce chyliło się już ku zachodowi i przed nimi wyłoniła się linia brzegowa Krymii – czarne urwiska ostro odcinające się od zalanego purpurą nieba. Morze było spokojne, odbijało blaski gasnących promieni słonecznych, wiał lekki, południowy wiatr.

— Lepiej będzie, jeśli dokonam korekty kursu – stwierdził d'Averc. – Zdaje się, że płyniemy trochę za bardzo na północ.

To rzekłszy przemierzył pokład, odwiązał koło sterowe i obrócił je o kilka stopni w kierunku południowym. Hawkmoon na wpół świadomie kiwał głową, spoglądając na d'Averca, który zsunął swą wielką maskę na tył głowy i ze znużeniem ustawiał statek na kursie.

— Musimy na noc rzucić kotwicę przy brzegu – wtrącił Oladah. – A rano popłyniemy dalej.

Hawkmoon nie odpowiedział. W jego głowie kotłowały się

pytania bez odpowiedzi. Wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin przywiodły go niemal do krańcowego wyczerpania, a strach, jaki go opanował, groził wręcz utratą zmysłów, obłędem nie mniej straszliwym od tego, jaki władał człowiekiem leżącym w ładowni.

Późnym wieczorem tego dnia, przy świetle latarni zwieszających się z belki, zaczęli badać twarz pojmanego szaleńca. Lampy kiwały się na boki w miarę przechyłów zakotwiczonego okrętu, rzucając refleksy światła na burty statku i stosy rzuconych bezładnie rzeczy. Gdzieś w kącie pisnął szczur, ale ludzie zignorowali ten głos. Wszyscy trzej przespali się nieco i teraz czuli się bardziej wypoczęci.

Hawkmoon przyklęknął obok związanego człowieka i dotknął dłonią jego twarzy. Więzień natychmiast rozwarł powieki, apatycznie rozejrzał się dokoła, ale w jego oczach nie była już szaleństwa. Sprawiały wrażenie co najwyżej zdumionych.

— Jak się nazywasz? – zapytał Hawkmoon.

— Coryanthum z Kerczu. A kim wy jesteście? Gdzie ja jestem?

— Powinieneś to wiedzieć – odparł Oladahn. – Na pokładzie twojego okrętu. Czy nic nie pamiętasz? Ty i twoi kompani zaatakowaliście nasz statek. Miała miejsce bitwa. Nam udało się uciec przed wami, a ty popłynąłeś za okrętem i próbowałeś nas zabić.

— Pamiętam, jak stawialiśmy żagiel – odrzekł Coryanthum głosem pełnym zdumienia. – Ale nic więcej – dodał, próbując się podnieść. – Dlaczego jestem związany?

— Ponieważ jesteś niebezpieczny – wtrącił spokojnie d'Averc. – Jesteś szalony.

Coryanthum zaśmiał się prawie całkiem naturalnie. – Ja? Szalony? Nonsens!

Trzech mężczyzn popatrzyło na siebie w zmieszaniu. Istotnie, w tej chwili człowiek ten nie przejawiał żadnych objawów szaleństwa.

Na twarzy Hawkmoona pojawił się wyraz zrozumienia. – Jakie jest ostatnie twoje wspomnienie?

— Kapitan przemawiał do nas.

— Co mówił?

— Że musimy wziąć udział w ceremonii... wypić specjalny napój... Nic więcej nie pamiętam... – Coryanthum zmarszczył brwi. – Wznieśliśmy toast...

— Opisz wasz żagiel – odezwał się Hawkmoon. – Nasz żagiel? Po co?

— Czy było w nim coś specjalnego?

— Nic, co bym zapamiętał. Płótno. Jasnobłękitne. To wszystko:

— Czy służyłeś na statkach handlowych? – zapytał Hawkmoon.

— Tak.

— A to był twój pierwszy rejs na tym okręcie? – Tak.

— Kiedy się zaciągnąłeś? Coryanthum popatrzył zdumiony.

— Ostatniego wieczora, przyjaciele. W Dniu Konia, według kalendarza kerczeńskiego.

— A według kalendarza uniwersalnego? Marynarz zmarszczył czoło w zamyśleniu. – Och.: Jedenastego trzeciego miesiąca.

— Trzy miesiące temu – odezwał się d'Averc.

— Co? – Coryanthum wlepił wzrok w stojącego w półmroku Francuza. – Trzy miesiące? Co to ma znaczyć? – Byłeś odurzony – wyjaśnił Hawkmoon. – Odurzony, a następnie wykorzystany do wykonywania aktów najohydniejszego piractwa, o jakim kiedykolwiek słyszano. Czy wiadomo ci coś o kulcie Szalonego Boga?

— Niewiele. Słyszałem, że istnieje coś takiego gdzieś na

Ukrainie. Jego wyznawcy ostatnio zaczęli nawiedzać coraz to inne tereny, pojawiają się nawet na otwartym morzu.

— Czy wiesz, że teraz na żaglu tegoż okrętu widnieje symbol Szalonego Boga? Że kilka godzin temu bredziłeś i chichotałeś oszalały żądzą krwi? Popatrz na swoje ciało... – Hawkmoon przykucnął i przeciął jego więzy. Dotknij szyi.

Coryanthum z Kerczu podniósł się powoli, zdumiony swoją nagością, a jego ręka uniosła się niepewnie w górę i dotknęła obroży tkwiącej na szyi.

— Ja... ja nic nie rozumiem. Co to za sztuczka?

— Diabelska sztuczka, z którą my nie mamy nic wspólnego – powiedział Oladahn. – Narkotyzowano cię, aż stałeś się szaleńcem, po czym rozkazano ci zabijać i rabować wszystko, co wpadnie ci w ręce. Bez wątpienia kapitan, który cię zaciągnął, był jedynym człowiekiem zdającym sobie świetnie sprawę z tego, co cię czeka, i niemal z całą pewnością nie było go z wami na pokładzie. Czy pamiętasz cokolwiek? Jakies instrukcje dotyczące portu przeznaczenia?

— Nic takiego.

— Bez wątpienia kapitan zamierzał później przejąć okręt i wprowadzić go do jakiegoś używanego przez nich portu – zauważył d'Averc. – Możliwe nawet, że kursuje statek będący w stałym kontakcie z pozostałymi, których załogi składają się wyłącznie z takich szaleńców, z jakimi się zetknęliśmy.

— Gdzieś na okręcie musi znajdować się duży zapas narkotyków – dodał Oladahn. – Na pewno ludzie zażywali je regularnie, a tylko dlatego, że go związaliśmy, nie miał szansy na zaaplikowanie sobie kolejnej dawki.

— Jak się czujesz? – zapytał Hawkmoon marynarza. – Słabo. Jakby uciekło ze mnie całe życie.

— To zrozumiałe – powiedział Oladah. – Na pewno narkotyki w końcu zabijały ich wszystkich. Co za koszmarny plan! Oszołomić niewinnych ludzi narkotykami, które zmieniają ich w szaleńców i powoli zabijają, po czym wykorzystać ich do morderstw i grabieży. Sądziłem, że ten kult Szalonego Boga obejmuje jakąś grupę niegroźnych fanatyków, ale wszystko wskazuje, że stoi za nim jakaś bezwzględna inteligencja.

— W każdym razie na morzach – dodał Hawkmoon. – A swoją drogą chciałbym spotkać się z odpowiedzialnym za to wszystko człowiekiem. Może on sam wiedziałby, gdzie znajduje się Yisselda.

— Po pierwsze proponuję zdjąć żagiel – odezwał się d'Averc. – Możemy wpłynąć do portu dryfując na fali przyływu. Podejrzewam, że moglibyśmy spotkać się z niezbyt miłym przyjęciem, gdyby ujrzeli nasz żagiel. Poza tym możemy wykorzystać zgromadzone tu skarby. Można i tak na to popatrzeć: jesteśmy bogatymi ludźmi!

— Pozostajesz nadal moim więźniem, d'Averc – przypomniał mu Hawkmoon. – Ale prawdą jest, że możemy rozdysponować część skarbu, jako że ludzie, do których należały te przedmioty, są teraz martwi. Pozostałą część możemy przekazać do dyspozycji jakiegoś uczciwego człowieka, żeby w ten sposób zrekompensować straty wszystkim ludziom, którzy ucierpieli z rąk szalonych marynarzy.

— A co potem? – zapytał Oladah.

— Potem znowu wciągniemy żagiel i będziemy czekali, aż statek właściciela rozpocznie poszukiwania.

— Czy możemy mieć pewność, że rozpocznie? A jeżeli dowie się o naszym pobycie w Simferopolu? – dopytywał się Oladah.

Hawkmoon uśmiechnął się posępnie.

— Wówczas, bez wątpienia; tym bardziej będzie chciał nas odnaleźć.

ROZDZIAŁ VIII

CZŁOWIEK SZALONEGO BOGA

Tak więc łupy zostały sprzedane w Simferopolu, za część zapłaty kupili nowy oręż oraz konie, resztę oddali na przechowanie kupcowi, którego wszyscy rekomendowali jako najuczciwszego w całej Krymii. Niewiele później zawinęła do portu „Uśmiechnięta Dziewczyna” i Hawkmoon pośpiesznie zapłacił kapitanowi za milczenie w sprawie pochodzenia okrętu pod czarnym żaglem. Odzyskał swoje rzeczy, łącznie z torbą zawierającą podarunek Rinala, po czym wraz z Oladahnem i d'Avercem wrócili na pokład i wypłynęli z portu na fali wieczornego odpływu. Coryanthuma zostawili u kupca, by tam wydobrzał.

Przez ponad tydzień czarny okręt dryfował, a w zasadzie prawie stał na morzu, jako że wiatr ucichł niemal całkowicie. Według szacunków Hawkmoona znajdowali się w pobliżu przesmyku oddzielającego Morze Czarne od Morza Azowskiego, niedaleko Kerczu, gdzie został zwerbowany Coryanthum.

D'Averc spędzał dni w hamaku, który zawiesił na śródokręciu; od czasu do czasu zanosił się teatralnym kaszlem, by przypomnieć o swojej niemocy. Oladahn często wspinał się na bocianie gniazdo i lustrował morze, natomiast Hawkmoon niecierpliwie przemierzał pokłady, zastanawiając się, czy całe to przedsięwzięcie ma jakikolwiek inny cel poza tym, że chciał dowiedzieć się czegokolwiek o Yisseldzie. Był już bliski zwątpienia, czy pierścień rzeczywiście do niej należał, doszedł

bowiem do wniosku, że w minionych latach mogło zostać zrobionych w Kamargu kilka takich samych pierścieni.

Ale któregoś ranka na horyzoncie od strony północno-zachodniej pojawił się żagiel. Oladahń dostrzegł go pierwszy i wywołał na pokład Hawkmoona. Ten przybiegł szybko i zapatrzył się w dal. Mógł to być statek, na który oczekiwali.

— Schodź na dół! – zawołał. – Schowamy się pod pokładem.

Oladahń zaczął zsuwać się w dół po wantach, a d'Averc, odzyskawszy nagle sprawność, zeskoczył ze swego hamaka i ruszył biegiem w kierunku luku. Spotkali się wszyscy w mroku centralnej ładowni – czekali.

Minęła chyba godzina, zanim usłyszeli uderzenia belek o belki i wiedzieli już, że tamten statek dobił do nich burtą do burty. Mógł to być jednak Bogu ducha winny statek, którego kapitan zainteresował się dryfującym i pozbawionym załogi okrętem.

Niewiele później Hawkmoon usłyszał uderzenia butów o pokład nad głową. Wolne, odmierzone kroki słyhać było zrazu tu i tam wzdłuż pokładu. Po chwili nastąpiła cisza: człowiek na górze wszedł do kajuty lub wspiął się na mostek.

Napięcie wzrosło, kiedy kroki rozbrzmiały ponownie, tym razem ktoś zmierzał wprost ku centralnej ładowni. Hawkmoon dostrzegł sylwetkę człowieka w otwartym luku, wbijającego wzrok w skrywające ich ciemności. Obcy zawahał się jakby, po czym zaczął schodzić na dół.

W tej samej chwili Hawkmoon wysunął się do przodu.

Kiedy przybysz stanął na dnie ładowni, Hawkmoon skoczył, otaczając ramieniem szyję tamtego. Był to olbrzym, niemal dwumetrowego wzrostu, z wielką, skręconą, czarną brodą i pozaplatanymi w warkoczyki włosami; miał na sobie spiżowy napierśnik i czarne jedwabne spodnie. Zaskoczony zacharczał,

po czym odwrócił się, ciągnąc Hawkmoona za sobą. Olbrzym był niesamowicie silny. Wielka łapa zacisnęła się na ramieniu księcia i zaczęła powoli rozwierać jego uścisk.

— Szybko! Pomóżcie mi go skrepować! – zawołał Hawkmoon. Przyjaciele wyskoczyli z ukrycia, rzucili się na giganta i powalili go na deski.

D'Averc dobył miecza. W swojej masce odyńca i kunsztownej granbretańskiej zbroi wyglądał naprawdę groźnie i przerażająco, kiedy delikatnie dotykał czubkiem miecza gardła olbrzyma.

— Nazwisko! – ryknął d'Averc, a jego głos zahuczał wewnątrz hełmu.

— Kapitan Szagarow. Gdzie jest moja załoga? – Czarnobrody gigant spozierał na nich beczelnie, ani trochę nie zmieszany napaścią. – Gdzie jest moja załoga?

— Masz na myśli tych szaleńców, których wysłałeś, by dokonywali rzezi? – zapytał Oladah. – Wszyscy oprócz jednego potopili się, a ten zdołał nam opowiedzieć o twym zdradzieckim rzemiośle.

— Głupcy! – zaklął Szagarow. – Jest was tylko trzech. Myślicie, że wpadłem w pułapkę? Na pokładzie mojego statku znajduje się doborowa armia rzezimieszków.

— Jak sam widzisz, rozprawiliśmy się z załogą jednego okrętu – odezwał się d'Averc, chichocząc. – Przywykliśmy już do tej roboty i bez wątpienia poradzimy sobie z jeszcze jedną załogą.

Na moment w oczach Szagarowa pojawił się strach, ale szybko przybrały z powrotem wyraz nieustępliwości.

— Nie wierzę wam. Ci, którzy pływali tym okrętem, żyli tylko po to, by zabijać. W jaki sposób moglibyście...?

— A jednak dokonaliśmy tego – odparł d'Averc. Wielki hełm zwrócił się w stronę Hawkmoona. – Czy mamy zabrać go na

pokład i zacząć wcielać w życie nasz plan?

— Za chwilę – książę pochylił się nisko nad Szagarowem. – Chcę go o coś zapytać. Szagarow, czy twoi ludzie kiedykolwiek pojмали dziewczynę?

— Mieli rozkaz nie zabijać żadnej kobiety, ale dostarczać je mnie.

— Po co?

— Nie wiem. Otrzymałem polecenie wysyłania mu kobiet, więc wysyłałem mu kobiety – Szagarow zaśmiał się. – Nie zatrzymacie mnie tu długo, sami o tym wiecie. Wszyscy trzej w ciągu godziny będziecie martwi. Moi ludzie zaczną coś podejrzewać.

— Dlaczego nikt z załogi nie przeszedł z tobą na pokład tego okrętu? Może dlatego, że oni nie są szaleni? Dlatego, że nawet oni nie byliby zachwyceni tym, co mogli tutaj zobaczyć?

Szagarow wzdrygnął się.

— Przyjdą, kiedy tylko zawołam.

— Możliwe – rzekł d'Averc. – Wstań, proszę.

— Te kobiety – ciągnął dalej Hawkmoon. – Dokąd je wysyłałeś? Do kogo?

— W głąb łądu, rzecz jasna. Do mojego pana, Szalonego Boga.

— Ach, więc ty tylko służysz Szalonemu Bogu. I nie skłaniasz ludzi, żeby uwierzyli, że owe akty piractwa są dziełem jego wyznawców.

— Tak, służę mu, chociaż nie należę do wyznawców kultu. Jego agenci dobrze mi płacą za rabowanie statków i wysyłanie im wszystkich łupów.

— Dlaczego w ten sposób? Szagarow uśmiechnął się szyderczo.

— Wśród wyznawców nie ma marynarzy. Obmyślili więc ten plan, żeby zdobyć pieniądze i zaangażowali mnie, chociaż ja sam nie znam przeznaczenia łupów. – Powstał na nogi, górując nad

całą trójką. – Chodźcie, wyjdziemy na pokład. Czeka mnie niezła zabawa na widok tego, co was spotka.

D'Averc skinął na dwóch przyjaciół i ci zniknęli w ciemnościach, by zaraz wrócić z trzema długimi, nie zapalonymi pochodniami. D'Averc wskazał teraz Szagarowowi, by ruszył za Oladahnem w górę schodków.

Powoli wyszli na pokład, wynurzając się na światło słoneczne, i ujrzeli wielki, zgrabny trójmasztowiec, zakotwiczony przy burcie ich okrętu.

Ludzie na pokładzie tamtego statku zrozumieli od razu, co się stało i rzucili się naprzód, ale Hawkmoon wymierzył ostrze miecza w żebra Szagarowa i zawołał do nich:

— Nie ruszajcie się, bo inaczej zabijemy waszego kapitana!

— Zabijcie mnie, a oni zabiją was – zagrmiał Szagarow. – Kto na tym zyska?

— Zamilcz – rzekł Hawkmoon. – Oladahnie, zapal pochodnie.

Oladahn wyciągnął krzesiwo i hubkę i uderzył w nie przy pierwszej pochodni. Zajęła się niemal natychmiast. Rozpalił od niej pozostałe, po czym wręczył po jednej każdemu ze swych towarzyszy.

— Posłuchajcie – odezwał się Hawkmoon. – Ten okręt przesycony jest ropą. Kiedy tylko dotknie go pochodnia, stanie w płomieniach, a wasz statek zajmie się również. Ostrzegamy więc, żebyście nie robili nic, by uratować waszego kapitana.

— A więc wszyscy spłoniemy – powiedział Szagarow. – Jesteście nie mniej szaleni niż ci, których zabiliście. Hawkmoon pokręcił tylko głową.

— Oladahnie, przygotuj łódź.

Oladahn pobiegł na rufę, przekręcił dźwig obrotowy nad luk ostatniej ładowni, odsunął pokrywy luku, po czym wskoczył pod

pokład, ciągnąc za sobą drucianą linę.

Hawkmoon dostrzegł niespokojne poruszenie wśród załogi statku, pomachał więc groźnie pochodnią. Jar bijący od niej zamienił jego twarz w ciemnoczerwoną maskę, a płomienie odbijały się w jego oczach posępnymi refleksami.

Oladahń pojawił się znów na pokładzie i zaczął jedną ręką obracać specjalnie przygotowany kołowrót, w drugiej wciąż ściskając pochodnię. Powoli z ładowni coś zaczęło się wysuwać – coś ledwie mieszczącego się w wielkim luku.

Szagarow aż chrząknął ze zdumienia, kiedy dostrzegł, że jest to wielka łódź, w której stoją trzy spętane konie, silnie przestraszone i oszołomione nagłym wydzwignięciem na pokład i obracaniem łodzi.

Oladahń zakończył pracę i oparł się na kołowrocie, dysząc ciężko i ocierając pot, przez cały czas uważał jednak bacznie, by nie zbliżyć płonącej pochodni do desek okrętu.

— Plan dopracowany w szczegółach – zawył Szagarow. – Ale nadal jest was tylko trzech. Co macie zamiar teraz zrobić?

— Powiesić cię – odparł Hawkmoon. – Na oczach twojej załogi. Były dwa powody zastawienia tej pułapki na ciebie. Po pierwsze, potrzebne mi były informacje. Po drugie, postanowiłem wymierzyć ci sprawiedliwość.

— Jaką sprawiedliwość? – ryknął Szagarow, w którego oczach zaczynało tlić się przerażenie. – Dlaczego angażujecie się w sprawy innych ludzi? Nie zrobiliśmy wam nic złego. Co to ma być za sprawiedliwość?

— Sprawiedliwość Hawkmoona – odparł poblady na twarzy książę Kln. Oświetlony promieniami słońca ponury czarny klejnot na jego czole zdawał się płonąć wewnętrznym życiem.

— Ludzie! – wrzasnął Szagarow poprzez fale. – Ludzie!

Uratujcie mnie! Atakujcie ich!

— Jeśli zrobicie choć krok, zabijemy go i podpalimy okręt! – zawołał d'Averc. – Nic nie wskóracie. Jeśli chcecie ocalić waszą skórę i wasz statek, odpływajcie i zostawcie nas. Mamy porachunki tylko z Szagarowem.

Tak, jak się spodziewali, ludzie dowodzeni przez pirata nie odznaczali się zbytnią lojalnością w stosunku do niego, toteż w zagrożeniu nie wykazywali zbytnej ochoty do przyjścia mu z pomocą. Ale nie zrzucili także haków łączących burty obu statków – czekali, co uczynią trzej mężczyźni.

Hawkmoon skierował się ku rei, trzymając w garści przygotowaną już linę z pętlą. Gdy dotarł do krawędzi, przerzucił ją przez reję tak, żeby zwisała nad wodą, przywiązał ją dokładnie, po czym zszedł z powrotem na pokład.

Panowała martwa cisza. Szagarow widocznie zrozumiał, że nie ma co oczekiwać pomocy od swojej załogi.

W pobliżu rufy belki wyciągu trzeszczały w rytm powolnego kołysania się w nieruchomym powietrzu łodzi dźwigającej konie i torby z bagażami. Płomienie strzelające z pochodni trzymany przez trójkę przyjaciół syczały cicho.

Szagarow wrzasnął i próbował się wyrwać, ale powstrzymały go trzy miecze, wymierzone w jego gardło, pierś i brzuch.

— Nie możecie... – zaczął, ale szybko umilkł, dostrzegłszy determinację malującą się na twarzach całej trójki. Oladahn wychylił się, sięgnął mieczem po dyndającą linę i przyciągnął ją do relingu. D'Averc pchnął Szagarowa do przodu, natomiast Hawkmoon sięgnął po pętlę i założył ją na szyję Szagarowa. Ten, kiedy poczuł na karku dotknięcie powrozu, ryknął i rzucił się na Oladahna, ciągle przykucniętego na relingu. Z okrzykiem zdumienia mały człowieczek zsunął się i spadł do wody.

Hawkmoon stęknął i podbiegł do krawędzi pokładu, żeby wyrzucić, co się stało Oladahnowi. Szagarow zwrócił się przeciwko d'Avercowi, kopniakiem wytrącił pochodnię z jego dłoni, ale d'Averc zdołał uskoczyć w tył i podetknął pod nos Szagarowa miecz.

Ten splunął mu w twarz, odwrócił się i skoczył na reling, odpychając Hawkmoona, który chciał go powstrzymać, po czym poleciał w dół.

Pętla zacisnęła się, koniec rei wygiął do dołu, następnie wyprostował z powrotem, a martwe ciało kapitana Szagarowa zatańczyło na linie w górę i w dół.

D'Averc rzucił się w stronę wytrąconej pochodni, ale ogień przeniósł się już na nasączone ropą deski pokładu. Zaczął butami gasić płomienie.

Hawkmoon podbiegł, żeby rzucić linę Oladahnowi, który ociekając wodą zaczął się wdrapywać na burtę statku. Nie wyglądało na to, żeby cokolwiek mu się stało.

Wśród załogi drugiego statku rozległy się pomruki i zaczęło jakieś poruszenie. Hawkmoon zdziwił się, dlaczego jeszcze nie odpływają.

— Odcinajcie liny! – zawołał, pomagając Oladahnowi wspiąć się na pokład. – Nie pomożecie już swemu kapitanowi, a grozi wam ogień!

Ale tamci nadal się nie ruszali.

— Ogień, głupcy! – wrzasnął Oladah, wskazując na d'Averca cofającego się przed płomieniami, które teraz strzelały już wysoko, zaczynając lizać maszt i olinowanie. D'Averc zaśmiał się.

— Chodźcie do naszej łodzi.

Hawkmoon cisnął swoją pochodnię w szalejące płomienie i odwrócił się.

— Dlaczego oni nie odpływają?

— Skarby – odparł krótko d'Averc, kiedy spuszczała na wodę łódź z parszającymi końmi, które wyczuły ogień. – Sądzą, że skarby wciąż jeszcze znajdują się na pokładzie.

Kiedy tylko łódź opadła na powierzchnię morza, zsunęli się w ślad za nią po linach i odcięli cumy. Teraz czarny statek był jednym wielkim kłębowiskiem ognia i smolistego dymu. Rysujące się ostro na tle płomieni ciało Szagarowa bujało się to w jedną, to w drugą stronę, jak gdyby usiłowało się odsunąć od piekielnego żaru.

Rozwinęli żagiel łodzi, a ten napiął się pod wpływem leciutkiej bryzy i zaczął unosić ich coraz dalej od płonącego okrętu. Dostrzegli teraz statek piratów, którego żagle zaczynały się tlić, ponieważ dosięgły ich iskry z płonącego okrętu. Część załogi usilnie starała się tłumić zarodki ognia, podczas gdy inni energicznie ciął liny spinające oba statki. Lecz teraz już tylko sekundy dzieliły ich od momentu, kiedy ich własny statek zajmie się pełnym płomieniem.

Wkrótce łódź znalazła się już zbyt daleko, by mogli dostrzec, czy piratom udało się ująć cało z pożogi. Za ich plecami wyłonił się na horyzoncie ląd. Były to brzegi Krymii, za którą leżała Ukraina.

A gdzieś na Ukrainie mogli znaleźć Szalonego Boga, jego wyznawców, a może także i Yisseldę...

KSIĘGA DRUGA

*O*to, kiedy Dorian Hawkmoon i jego towarzysze dopływali do górzystego wybrzeża Krymii, armie Granbretanu napierały na niewielki Kamarg, otrzyma wszy od Huona, Króla-imperatora, rozkaz nieszczerzenia życia, energii i pomysłowości w celu złamania oporu i całkowitego zniszczenia parweniuszy, którzy odważyli się przeciwstawić Granbretanowi. Poprzez Srebrny Most, przerzucony ponad pięćdziesięciokilometrowej szerokości cieśniną, płynęły hordy Mrocznego imperium, Zakony Świni i Wilka, Sępa i Psa, Modliszki i Żaby, zakute w dziwacznie zdobione zbroje i dźwigające oręż z błyszczącego metalu. A król Huon w swojej kuli tronowej, zwinięty niczym embrion we fluidzie zapewniającym mu nieśmiertelność, płonął nienawiścią do Hawkmoona, hrabiego Brassa oraz wszystkich tych, którymi żadnym sposobem nie był w stanie manipulować, tak jak manipulował resztą świata. Zaczynał domyślać się, że wspiera ich jakaś przeciwna mu potęga i być może czyni to, co jemu się nie udawało, to znaczy władza nimi – a podobnych myśli Król imperator nie mógł znieść...

Wiele, bardzo wiele zależało od tych kilku ludzi, od tych kilku wolnych dusz, znajdujących się poza wpływami króla Huona – od Hawkmoona, Oladahna, może także i d'Averca, od tajemniczego Rycerza w Czerni i Zlocie, Yisseldy, hrabiego Brassa oraz garstki innych. Na ich barki bowiem Magiczna Laska nałożyła brzemię wcielenia w życie jej własnego wzorca

przeznaczenia...

Wielka Historia Magicznej Laski

ROZDZIAŁ I

OCZEKUJĄCY RYCERZ

Kiedy zbliżyli się do poszarpanych urwisk linii brzegowej, Hawkmoon popatrzył uważnie na d'Averca, który zsunął na tył głowy wielki hełm z maską odyńca i z niewyraźnym uśmiechem błędzącym na wargach zapatrzył się w morze. D'Averc, jakby wyczuwając na sobie spojrzenie Hawkmoona, odwrócił głowę w jego stronę. – Wyglądasz na zmieszanego, książę Dorianie rzekł. – Czy nie jesteś choć trochę zadowolony z realizacji swoich planów?

— Owszem – odpowiedział Hawkmoon. – Ale zastanawia mnie twoja osoba, d'Averc. Przyłączyłeś się do naszej wyprawy spontanicznie, a przecież nie masz w tym żadnego celu. Jestem przekonany, że nie widziałeś dla siebie żadnego interesu w tym, by sprawić Szagarowowi kaźnię, na jaką zasłużył, z pewnością nie podzielasz także mojego pragnienia poznania losów Yisseldy. Z drugiej strony, przynajmniej o ile mi wiadomo, nie przedsięwziąłeś najmniejszej próby ucieczki.

Uśmiech d'Averca stał się jakby wyraźniejszy.

— Dlaczego miałbym uciekać? Nie nastajesz na moje życie. Wprost przeciwnie, ocaliłeś je. Od tego momentu moje szczęście wydaje się być o wiele bardziej związane z twoją osobą niż z Mrocznym Imperium.

— Przecież nie możesz być lojalny wobec mnie i respektować motywów mojego postępowania.

— Mój drogi książę, jak próbowałem ci to już wyjaśnić, jestem

lojalny tylko w stosunku do tego, kto pozwala mi zaspokajać moje ambicje. Muszę przyznać, że zmieniłem zdanie co do beznadziejności twoich pobudek. Wydaje mi się, że jesteś dzieckiem szczęścia, czasami wręcz nachodzą mnie myśli, że mógłbyś sam pokonać Mroczne Imperium. Jeśli coś takiego jest możliwe, nie widzę powodów, dla których nie miałbym dołączyć do ciebie, a w dodatku nie uczynić tego z wielkim entuzjazmem.

— A czy przypadkiem nie czekasz na właściwy moment, mając nadzieję, że uda ci się ponownie odwrócić role i pojmać mnie dla swoich panów?

— Nie przekona cię żadne zaprzeczenie – uśmiechnął się d'Averc. – A więc nie będę tego czynił.

Usłyszawszy tę enigmatyczną odpowiedź Hawkmoon znowu się nachmurzył.

D'Averc natomiast, jak gdyby chcąc odwrócić jego uwagę od tematu rozmowy, nagle ze zdwojoną siłą zaniósł się kaszlem, po czym dysząc ciężko ułożył się na dnie łodzi.

Oladah, tkwiący na dziobie, wykrzyknął:

— Książę Dorianie! Proszę spojrzeć, tam, na brzeg! Hawkmoon popatrzył we wskazanym kierunku. W cieniu groźnych urwisk skalnych można było dostrzec wąski pasek kamienistej plaży. Stał tam nieruchomo jeździec na koniu, spoglądając w ich kierunku, jak gdyby oczekiwał na nich z jakąś szczególną wiadomością.

Kil łódki zazgrzytał o kamienie w płytkiej wodzie i teraz Hawkmoon był już w stanie rozpoznać jeźdźca, czekającego na nich w cieniu skał.

Wyskoczył z łodzi i pobiegł w jego kierunku. Rycerz od stóp do głów osłonięty był kutą zbroją, skryta pod hełmem głowa skłoniła się lekko, jak gdyby jeździec pogrążył się głęboko we

własnych myślach.

— Czyżbyś wiedział, że wyląduję właśnie tutaj? – zapytał Hawkmoon.

— Sądziłem, że twoja łódź dobije do brzegu w tym szczególnym miejscu – odparł Rycerz w Czerni i Złocie. A więc czekałem.

— Rozumiem – Hawkmoon spoglądał w górę wprost na niego, nie bardzo wiedząc, co ma robić ani co powiedzieć. – Rozumiem...

Usłyszeli chrzęst żwiru, to podeszli do nich d'Averc i Oladah.

— Znasz tego dżentelmena? – zapytał beztrąsko d'Averc.

— To stara znajomość – odparł Hawkmoon.

— Jesteś Huillam d'Averc – rzekł dźwięcznym głosem Rycerz w Czerni i Złocie. – Widzę, że ciągle jeszcze nosisz granbretańską zbroję.

— Jest w moim guście – stwierdził d'Averc. – Nie słyszałem natomiast, żebyś ty się przedstawiał.

Ale Rycerz w Czerni i Złocie zignorował d'Averca, uniósł dłoń w ciężkiej zbrojonej rękawicy i wskazał na Hawkmoona.

— Z nim chcę rozmawiać. Szukasz swojej narzeczonej, Yisseldy, księżę Dorianie, i chcesz dotrzeć do Szalonego Boga.

— Czy Yisselda jest więźniem Szalonego Boga?

— W pewnym sensie tak. Ale ty musisz odnaleźć Szalonego Boga z innego powodu.

— Yisselda żyje? Czy ona żyje? – dopytywał się niecierpliwie Hawkmoon.

— Żyje – Rycerz w Czerni i Złocie poruszył się w siodle. – Ale musisz zniszczyć Szalonego Boga, zanim znów będzie mogła być twoja. Musisz zniszczyć Szalonego Boga i zerwać z jego szyi Czerwony Amulet, prawnie bowiem należy się on tobie. Szalony

Bóg wykradł dwie rzeczy, a obie należą do ciebie: dziewczyna oraz amulet.

— Yisselda należy do mnie, z pewnością. Ale nic mi nie wiadomo o amulecie. Nigdy nie posiadałem czegoś podobnego.

— To jest Czerwony Amulet i należy do ciebie. Szalony Bóg nie ma żadnego prawa go nosić. To właśnie z jego powodu stał się szalony.

Hawkmoon uśmiechnął się.

— Jeśli takie są właściwości Czerwonego Amuletu, to niech Szalony Bóg korzysta sobie z niego do woli.

— To nie jest przedmiot do żartów, książę Dorianie. Czerwony Amulet przyprawił Szalonego Boga o obłąd, ponieważ został skradziony słudze Magicznej Laski. Lecz jeśli sługa Magicznej Laski założy na siebie Czerwony Amulet, wówczas będzie mógł czerpać wielką moc, transmitowaną z Magicznej Laski właśnie za pośrednictwem Czerwonego Amuletu. Tylko niewłaściwy użytkownik popada w szaleństwo. Lecz także tylko prawowity właściciel może odzyskać amulet. Dlatego też ja nie mogę odebrać amuletu. Nie może tego również uczynić nikt inny, jedynie Dorian Hawkmoon z Kln, sługa Magicznej Laski.

— Znowu nazywasz mnie sługą Magicznej Laski. A ja nic nie wiem o zadaniach, jakie mam wykonać. Nie wiem także, czy wszystko to nie jest jedynie wytworem wyobraźni i czy ty sam nie jesteś szaleńcem.

— Myśl sobie, co chcesz. Nie ulega jednak wątpliwości, że poszukujesz Szalonego Boga i że w chwili obecnej niczego bardziej nie pragniesz, niż go odnaleźć.

— Odnaleźć Yisseldę, więzioną przez niego...

— Niech będzie i tak. Nie potrzebuję więc przekonywać cię przynajmniej co do tego.

Hawkmoon zmarszczył brwi.

— Od czasu, kiedy wyruszyłem w drogę powrotną z Hamadanu, spotkała mnie cała seria dziwnych przypadków. Wręcz niewiarygodna seria.

— Tam, gdzie mamy do czynienia z Magiczną Laską, nie istnieją przypadki. Czasem tylko dostrzega się zbieżność wydarzeń, a czasem nie... – Rycerz w Czerni i Złocie obrócił się w siodle i wskazał na krętą ścieżkę, wijącą się w górę wśród skał. – Możemy się wspiąć tędy. Rozbijemy obóz i odpoczniemy na górze. A rano ruszymy na wyprawę do zamku Szalonego Boga.

— Ty wiesz, gdzie on się znajduje? – zapytał skwapliwie Hawkmoon, zapominając o swych poprzednich wątpliwościach.

— Tak.

Nagle jeszcze inna myśl przemknęła przez głowę Hawkmoona.

— Czy ty nie... nie zaaranżowałaś porwania Yisseldy? Po to, żeby nakłonić mnie do poszukiwania Szalonego Boga?

— Yisselda została porwana przez zdrajcę z armii jej ojca, Juana Zhinagę, który miał zamiar zawieźć ją do Granbretanu. Ale po drodze zostali napadnięci przez żołnierzy granbretańskich, pragnących zagarnąć nagrodę za jej porwanie. W trakcie walki, jaka się wywiązała, Yisseldzie udało się zbiec; po długiej tułaczce dołączyła do karawany uciekinierów z Italii, a nieco później dostała się na pokład statku wypływającego na Morze Adriatyckie, który zmierzał, jak jej powiedziano, do Prowansji. W rzeczywistości był to statek wywożący dziewczyny do Arabii. W Zatoce Sidra został zaatakowany przez okręt piracki z Karpathos.

— Aż trudno w to wszystko uwierzyć. Co dalej?

— Piraci z Karpathos postanowili wziąć okup za dziewczynę, nie wiedzieli bowiem, że Kamarg jest oblegany. Kiedy jednak

przekonali się, że nie ma sposobu na wydostanie pieniędzy z jej ojczyzny, postanowili zabrać ją do Istambułu i tam sprzedać. W porcie okazało się, że stoi w nim pełno okrętów Mrocznego Imperium, więc piraci, obawiając się ich, popłynęli dalej, na Morze Czarne. Tu zaś zostali napadnięci przez okręt, który właśnie spaliliście...

— Domyślam się reszty. Odnaleziona przez nas ręka musiała należeć do tego, kto ukradł pierścień Yisseldy. Ale cała ta opowieść brzmi ' dziwnie, Rycerzu. Nie sądzę, by można ją uznać za prawdziwą. Zbieg przypadków...

— Mówiłem ci już, że tam, gdzie mamy do czynienia z Magiczną Laską, nie istnieją przypadki. Czasem tylko ścieżka losu jest bardziej kręta, a czasem mniej.

Hawkmoon westchnął.

— Czy nic jej się nie stało? – To względne.

— Co przez to rozumiesz?

— Zaczekaj, aż znajdziemy się na zamku Szalonego Boga.

Hawkmoon próbował zadać kolejne pytania Rycerzowi w Czerni i Złocie, ale ten zagadkowy mężczyzna milczał jak zakłęty. Tkwił na swym rumaku, jakby zatopiony głęboko we własnych myślach, Hawkmoon ruszył więc, by pomóc d'Avercowi i Oladahnowi wyprowadzać zdenerwowane konie na ląd oraz wyładowywać wszystkie rzeczy znajdujące się na pokładzie. Upewnił się, że podniszczona torba z bezcennym darem jest bezpieczna, dziwiąc się jednocześnie, że nie stracił jej jeszcze w tak wielu przygodach.

Kiedy byli gotowi do drogi, Rycerz w Czerni i Złocie w milczeniu zawrócił konia w kierunku stromej skalistej ścieżyny, po czym bez zatrzymywania zaczął wspinać się pod górę.

Trzej jeźdźcy zmuszeni jednak byli zsiąść z koni i podążyć jego

śladem w znacznie wolniejszym tempie. Kilkakrotnie zarówno ludzie, jak i konie potykali się i byli bliscy spadnięcia, kiedy ich stopy nie znajdowały oparcia na ruchomych głazach, osuwających się w stronę leżącej teraz nisko w dole pod nimi kamienistej plaży. W końcu dotarli do szczytu urwiska i z zaciekawieniem spojrzeli na pagórkowatą równinę, zdającą się ciągnąć w nieskończoność.

Rycerz w Czerni i Złocie wskazał na zachód.

— Rankiem wyruszymy w tamtym kierunku, w stronę Wibrującego Mostu, za którym zaczyna się Ukraina i gdzie stoi o wiele dni drogi w głąb lądu zamek Szalonego Boga. Bądźcie ostrożni, ponieważ i tutaj krążą oddziały Mrocznego Imperium.

Z góry przyglądał się, jak rozbijali obóz. W pewnej chwili d'Averc spojrział na niego.

— Czy podzieli pan z nami posiłek? – zapytał tonem wręcz pełnym ironii.

Ale ukryta pod wielkim hełmem głowa wciąż tak samo zwieszała się na piersi, a zarówno Rycerz, jak i koń trwali w całkowitym bezruchu, jak gdyby przemienieni w statuę. Stali tak przez całą noc, jakby strzegąc ich, a możliwe, iż pilnując, by żaden z nich nie ruszył swoją drogą.

Hawkmoon leżał w namiocie i spoglądając na mroczną sylwetkę Rycerza w Czerni i Złocie zastanawiał się, czy istota ta jest w jakimś stopniu człowiekiem i czy jej zainteresowanie jego osobą jest wynikiem przyjaznego stosunku do niego czy też wręcz przeciwnie. Westchnął. Pragnął jedynie odnaleźć Yisseldę, ocalić ją i zabrać z powrotem do Kamargu, gdzie mógłby się cieszyć z faktu, że prowincja nadal nie poddaje się potędze Mrocznego Imperium. Lecz jego życie wyraźnie skomplikowało się znacznie z powodu tajemnicy Magicznej Laski oraz

przyszłości, którą musiał wypracowywać zgodnie ze „schematem” Magicznej Laski. A przecież Magiczna Laska była zaledwie pozbawionym inteligencji przedmiotem. A może posiadała inteligencję? Stanowiła największą moc, na którą można się było powołać składając przysięgi. Wierzono, że kontroluje całą historię ludzkości. Zastanawiał się więc, dlaczego potrzebowała sług, skoro na dobrą sprawę służyła jej cała ludzkość.

A może nie cała? Może od czasu do czasu wymykały się spod jej kontroli pewne siły, jak chociażby Mroczne Imperium – siły, które nie przystawały do realizowanego przez nią schematu przyszłości ludzi. Może właśnie dlatego potrzebni byli słudzy Magicznej Laski?

Hawkmoon pogubił się we własnych myślach. Nie miał głowy do tak głębokich rozważań ani do spekulatywnej filozofii. Zapadł w sen.

ROZDZIAŁ II

ZAMEK SZALONEGO BOGA

Po dwóch dniach jazdy dotarli do Wibrującego Mostu, łączącego wysokie skaliste brzegi ponad kilkukilometrowej szerokości przesmykiem morskim. Wibrujący Most stanowił zdumiewający widok, ponieważ wydawał się wykonany nie z żadnego rodzaju substancji materialnej, ale z niezliczonej ilości krzyżujących się strumieni kolorowego światła, w jakiś dziwny sposób ze sobą posplatanych. Błyszczał wszystkimi odcieniami złota i jaskrawego błękitu, intensywnego, kłującego w oczy szkarłatu, zieleni oraz pulsującej żółci: Cały most drżał, niczym jakiś żywy organizm, a pod nim fale morskie z hukiem rozbijały się o poszarpane skały.

— Cóż to jest? – zapytał Hawkmoon Rycerza w Czerni i Złocie. – Czy na pewno nie jest to jakieś żywe stworzenie? – To starożytna konstrukcja – odparł Rycerz. – Stworzona przez zapomnianą naukę i zapomnianą rasę, która powstała gdzieś pomiędzy spadnięciem Śmiertelnego Deszczu a Narodzinami Księstw. Nie wiemy, kim byli ci ludzie, skąd się tu wzięli i dlaczego wymarli.

— Myślałem, że ty wiesz – odezwał się d'Averc z radością w głosie. – Rozczarowujesz mnie. Sądziłem, że jesteś wszechwiedzący.

Rycerz w Czerni i Złocie nie odpowiedział. Światło bijące od Wibrującego Mostu odbijało się refleksami na ich twarzach i zbrojach, malując je tęczą kolorów. Im bardziej przybliżali się do

światelnego mostu, tym mocniej płoszyły się konie i coraz trudniej było je utrzymać w ryzach.

Rumak Hawkmoona parskając zaczął stawać dęba, lecz jeździec skrócił wodze i popędzał go dalej. W końcu kopyta dotknęły drżącego światła mostu i koń uspokoił się nieco, jakby zrozumiał, że konstrukcja jest w stanie utrzymać jego ciężar.

Rycerz w Czerni i Złocie znajdował się już na środku mostu, a cała jego postać zdawała się emanować różnokolorowym blaskiem. Hawkmoon zauważył, że dziwne światło przywarło także do jego konia, oblewając go niesamowitą poświatą. Obejrzał się za siebie, ale d'Averc i Oladahn także błyszczeli niczym istoty z innego świata, poruszające się majestatycznie wzdłuż pasm drgających światła.

Poniżej, ledwie widoczne poprzez gęstwinę krzyżujących się promieni, leżało szare morze i otoczone koronką pian skały. Do uszu Hawkmoona dobiegał buczący dźwięk, dziwnie dźwięczny i dość przyjemny, który wprawiał całe jego ciało w delikatne wibracje harmonizujące z drganiami samego mostu.

Po dłuższym czasie znaleźli się po drugiej stronie, a Hawkmoon poczuł się dziwnie odprężony, jak gdyby po kilkudniowym wypoczynku. Zwrócił na to uwagę Rycerzowi w Czerni i Złocie.

— Tak, to jeszcze jedna właściwość Wibrującego Mostu, o której mi mówiono – stwierdził tamten.

Wyruszyli w dalszą drogę, a od siedliska Szalonego Boga dzielił ich już teraz tylko stały ląd.

Trzeciego dnia podróży zaczęło padać; drobna mżawka wywoływała nie tylko dreszcze z chłodu, ale także minorowe nastroje. Konie wlokły się przez bezmierne, grząskie pola Ukrainy, a jeźdźcom wydawało się, że owej monotonnej szarości

nie będzie końca.

Szóstego dnia podróży Rycerz w Czerni i Złocie uniósł głowę, zatrzymał konia, po czym dał znak pozostałej trójce do zatrzymania. Nasłuchiwał.

Wkrótce Hawkmoon także usłyszał ten dźwięk – tętent końskich kopyt. Po chwili zza niewielkiej fałdy terenu na lewo od nich wyłoniła się grupa jeźdźców w czapach i kożuchach z owczych skór, z długimi włóczniami i pałaszami przytwierdzonymi na plecach.

Pędzili jakby w panice, nie zwracając uwagi na cztery nieruchome postacie i wyminęli ich z niewiarygodną wprost szybkością, chłoszcząc aż do krwi zady swych koni.

— Co się dzieje? – zawołał Hawkmoon. – Przed czym uciekacie?

Jeden z jeźdźców odwrócił się w siodle, nie wstrzymując nawet konia.

— Armia Mrocznego Imperium – wrzasnął, po czym pogalopował dalej.

Hawkmoon zachmurzył się.

— Czy jedziemy dalej w tamtym kierunku? – zwrócił się do Rycerza. – A może poszukamy innej drogi?

— Żadna drogą nie jest bezpieczna – odparł Rycerz w Czerni i Złocie. – Możemy równie dobrze jechać dalej tą samą trasą.

Po półgodzinie dostrzegli w oddali dym. Był to gęsty, smolisty dym, płożący się nisko po ziemi, który cuchnął. Hawkmoon wiedział; co to oznacza, lecz nie odezwał się. Kiedy po jakimś czasie dotarli do płonącego miasteczka, ujrzeli zgromadzoną na centralnym placu wielką piramidę nagich ciał – mężczyzn, kobiet, dzieci, a także i zwierząt, zrzuconych bez różnicy na jeden stos i podpalonych.

Właśnie z tego stosu płonących ciał unosił się ciężki, przeraźliwie cuchnący obłok dymu. Hawkmoon wiedział, że istniała tylko jedna nacja, która mogła dopuścić się podobnego czynu. Uciekinierzy mówili prawdę. Gdzieś w pobliżu grasowali żołnierze Mrocznego Imperium. Wszystko wskazywało na to, że miasto zostało zajęte i złupione przez jakiś bardzo duży oddział.

Wielkim łukiem ominęli miasteczko, jako że nie mogli już tutaj nic zrobić; w dalszą drogę ruszyli w jeszcze bardziej ponurych nastrojach, bacznie rozglądając się teraz za jakimikolwiek śladami działalności granbretańskich oddziałów.

Oladah, który dotychczas nie zetknął się z tak wielkim okrucieństwem sił Mrocznego Imperium, był najbardziej z nich wszystkich poruszony widokiem miasteczka.

— Jasne – mruknął. – Zwykli śmiertelnicy nie mogli- by... nie mogliby...

— Oni nie uważają siebie za zwykłych śmiertelników – odezwał się d'Averc. – Uważają siebie za półbogów, a swych dowódców za bogów.

— To ma usprawiedliwiać w ich oczach każdy podły czyn – dodał Hawkmoon. – A poza tym lubują się w sianiu destrukcji, w terrorze, torturach i zabójstwach. Jak w przypadku dzikich bestii, chociażby wilcząt, u których instynkt zabijania jest silniejszy od instynktu zachowania życia. Tak samo jest z tymi z Mrocznego Imperium. Na wyspie zrodziła się rasa szaleńców, których każda myśl i każdy czyn jest całkowicie obcy dla kogoś urodzonego poza Granbretanem.

Zostawili za sobą miasteczko z jego potworną płonąca piramidą, jadąc cały czas w przygnębiającym mżeniu deszczu.

— To już niedaleko zamku Szalonego Boga – odezwał się w pewnej chwili Rycerz w Czerni i Złocie.

Następnego ranka stanęli na krawędzi rozległej płytkiej kotliny z niewielkim jeziorem pośrodku, po której wędrowały pasma szarej mgły. Po przeciwległej stronie jeziora ujrzeli czarny zarys ponurej budowli wzniesionej nad samym brzegiem wody z surowych, ciosanych kamieni.

Mniej więcej w połowie drogi między nimi a zamkiem widniała grupa przycupniętych na brzegu baraków oraz kilka przycumowanych w pobliżu łodzi. Między budami wisały rozpięte, suszące się sieci, nigdzie jednak nie było widać nawet śladu rybaków, którzy mogliby ich używać.

Dzień wstał mroczny, zimny i przygnębiający, a w dodatku jakaś złowieszcza atmosfera otaczała jezioro, wioskę i zamek. Trzej mężczyźni z ociąganiem ruszyli śladem Rycerza w Czerni i Złocie, mającego zamiar okrążyć jezioro i dostać się do zamku.

— A co z całym tym kultem Szalonego Boga? – szepnęła Oladahn. – Jak wieloma ludźmi on rozporządza? Czy są równie zaciekli jak ci, z którymi walczyliśmy na okręcie? Czyżby Rycerz nie doceniał ich siły? A może przecenia nasze możliwości?

Hawkmoon wzruszył ramionami, myśląc wyłącznie o Yisseldzie. Spoglądał na wielki, czarny zamek, zastanawiając się, w której jego części może być uwięziona.

Gdy dotarli do rybackiej osady, zrozumieli powód jej wyludnienia. Wszyscy mieszkańcy leżeli pomordowani; pocięci mieczami i toporami. W rozplątanych czaszkach niektórych mężczyzn, jak i kobiet wciąż jeszcze tkwiły zbrodnicze narzędzia.

— Mroczne Imperium! – odezwał się Hawkmoon. Ale Rycerz w Czerni i Złocie pokręcił przecząco głową. – To nie ich dzieło. Nie ich broń. Nie ich sposób mordowania.

— A więc... czyj? – mruknął Oladahn, wzdrygając się. – Wyznawców kultu?

Rycerz nie odpowiedział. Ściągnął wodze rumaka, zsunął się z siodła i ciężkim krokiem podszedł do leżącego najbliżej ciała. Pozostali także zsiadli z koni, uważnie rozglądając się dokoła. Otoczyły ich pasma mgły unoszącej się znad jeziora niczym jakaś złośliwa siła, pragnąca schwytać ich w pułapkę.

Rycerz wskazał na ciało zabitego.

— Oni wszyscy byli wyznawcami kultu. Niektórzy uprawiali rybołówstwo, dostarczając pożywienie dla ludzi mieszkających w zamku. Część z tych tutaj to właśnie ludzie z zamku.

— Czyżby walczyli między sobą? – zasugerował d'Averc.

— Możliwe – odparł Rycerz.

— Jak myślisz... – zaczął Hawkmoon, ale w tej samej chwili rozległ się gdzieś między chałupami mrozący krew w żyłach wrzask. Dobyli mieczy i ustawili się plecami do siebie, przygotowani na atak z każdej strony.

Lecz kiedy ów atak nastąpił, wygląd napastników sprawił, że Hawkmoon, całkowicie zaskoczony, momentalnie opuścił swój miecz ku ziemi.

Spomiędzy baraków wyskoczyła gromada z uniesionymi w górę mieczami i toporami. Napastników okrywały napierśniki i skórzane spódniczki, a w ich oczach płonął dziki ogień. Wargi rozchyłały się niczym u krwiożerczych bestii, obnażając białe błyszczące zęby, a z ust ciekła piana.

Ale to nie to tak bardzo zdumiało Hawkmoona i jego towarzyszy. To płec napastników wprowadziła ich niemalże

w osłupienie, ponieważ wrzeszcząca wniebogłosy i pędząca w ich kierunku banda składała się bez wyjątku z kobiet o uderzającej urodzie.

Kiedy z wolna odzyskali gotowość do walki, Hawkmoon zaczął w desperacji przyglądać się twarzom kobiet w poszukiwaniu

Yisseldy, ale odetchnął z ulgą, gdy jej nie rozpoznał.

— A więc dlatego Szalony Bóg rozkazał przysyłać wszystkie kobiety – syknął d'Averc. – Ale jednak po co...? – Należy wnioskować, że jest to niezwykle perwersyjny bóg – rzekł Rycerz w Czerni i Złocie, unosząc w górę miecz, by sparować cios pierwszej z atakujących go kobiet. Broniąc się zaciekle przed gęstwiną ostrzy nacierających kobiet o wykrzywionych szaleństwem twarzach, Hawkmoon stwierdził, że nie jest w stanie przejść do kontrataku. Napastniczki odkrywały 'się często i wiele z nich mógł już do tej pory zabić, lecz ilekroć miał okazję do wyprowadzenia pchnięcia, jakaś siła powstrzymywała go. Wyglądało na to, że podobnie sprawa przedstawia się z jego towarzyszami. W chwili wytchnienia rozejrzał się szybko dookoła i nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł.

— Wycofujcie się powoli – odezwał się do walczących mężczyzn. – Za mną. Wymyśliłem plan, który przyczyni się do naszego bezkrwawego zwycięstwa.

Cała czwórka zaczęła się stopniowo wycofywać, aż znaleźli się w pobliżu drągów, na których wisiały suszące się mocne sieci rybaków. Hawkmoon okrążył jeden z nich, chwycił wolną ręką koniec rozciągniętej sieci, ciągle broniąc się przed napastniczkami. Oladahń szybko zrozumiał jego zamiar i chwycił drugi koniec sieci. Po chwili Hawkmoon krzyknął:

— Teraz!

Jednocześnie narzucili sieć na głowy kobiet.

Większość została spętana sznurami, ale kilka wymknęło się spod sieci i natarło na nich ponownie.

D'Averc oraz Rycerz w Czerni i Złocie, którzy także pojęli intencje Hawkmoona, narzucili na tę grupkę drugą sieć, natomiast Hawkmoon z Oladahnem naciągali na skrępowane już

przedtem kobiety trzecią sieć. W końcu wszystkie napastniczki zostały unieruchomione pod splotami kilku mocnych sieci, a mężczyźni mogli z wielką ostrożnością zbliżyć się do nich i zacząć wydobywać z kłębowiska broń, stopniowo rozbijając całą grupę.

Hawkmoon sapnął ciężko, unosząc w górę kolejny miecz i ciskając go w wody jeziora.

Może Szalony Bóg wcale nie jest taki szalony rzekł. – Wyćwiczone w szermierce kobiety będą zawsze miały tę chwilę przewagi nad żołnierzami mężczyznami. Bez wątplenia jest to jakiś fragment zakrojonego na większą skalę planu...

— Myślisz, że pieniądze zdobywane przez piratów były przeznaczone na sfinansowanie kobiecej armii mającej służyć do podbojów? – zapytał Oladah, pomagający mu w wyciągnięciu mieczy i rzucaniu ich do wody.

Miotające się w sieciach kobiety powoli się uspokajały. – To dość prawdopodobne – przyznał d'Averc, przyglądając się im. – Ale dlaczego te kobiety wymordowały całą resztę?

— Może dowiemy się tego, kiedy będziemy w zamku – rzekł Rycerz w Czerni i Złocie. – My...

Urwał nagle, gdyż któraś z sieci rozdarła się z jednej strony, wyskoczyła stamtąd kobieta, i rzuciła się na nich z wyciągniętymi przed siebie na kształt szponów palcami. D'Averc pochwycił ją, obejmując ramionami jej kibić, a dziewczyna poczęła go kopać i wrzeszczeć. Zbliżył się do nich Oladah, wyciągnął miecz, po czym uderzył kobietę gałką rękojeści w podstawę czaszki.

— – Ach, jakże to wszystko razi moje rycerskie uczucia odezwał się d'Averc, składając nieprzytomną dziewczynę na ziemi. – - Myślę, Oladahnie, że wskazałeś nam najlepszy sposób

rozprawienia się z tymi uroczymi morderczyniami. – Podszedł do skrępowanej siecią gromady i zaczął równie bezceremonialnie, co systematycznie ogłuszać miotające się walczone kobiety.

— W każdym razie... – dodał po chwili – nie zabiliśmy ich, a one nie zdołały zabić nas. Wspaniała równowaga. – Czy to były wszystkie? – spytał z roztargnieniem Hawkmoon.

— Myślisz o Yisseldzie? – spytał Olan.

— Tak, myślę o Yisseldzie. Chodźmy – Hawkmoon dosiadł swego rumaka. – Ruszajmy do zamku szalonego Boga.

Popędził konia galopem wzdłuż brzegu jeziora w kierunku wielkiej, czarnej bryły zamczyska. Pozostali poszli w jego ślady, chociaż nie byli w stanie go dogonić, rozciągnęli się więc w efekcie w długi szereg. Pierwszy podążał Oladah, za nim Rycerz w Czerni i Złocie, a na samym końcu jechał powoli Huillam d'Averc, przypominający ni mniej, ni więcej tylko beztroskiego młodzieńca, który wybrał się na poranną przejażdżkę.

W pobliżu zamku Hawkmoon zwolnił swój oszalały pęd, ściągnął krótko wodze rumaka i ostatecznie zatrzymał go u wejścia na zwodzony most.

Zamek stał pogrążony w ciszy. Dokoła jego wieżyczek wędrowały porwane pasemka mgły. Most był opuszczony, leżały na nim nieruchome ciała strażników.

Gdzieś między szczytami najwyższych wieżyczek rozległ się okrzyk kruka, a po chwili ptak zatrzepotał skrzydłami ponad powierzchnią jeziora.

Przez zwaliska szarych chmur nie przebijało światło słońca. Wyglądało tak, jakby nigdy dotąd nie zaświeciło tutaj słońce i jakby nigdy już nie miało zabłysnąć. Można było sądzić, że zostawili za sobą znany im świat i znaleźli się w jakimś innym wymiarze, gdzie beznadziejność i śmierć rządziły przez całą

wieczność.

Przed Hawkmoonem otwierała się czarną czeluścią brama wiodąca ku zamkowemu dziedzińcowi.

Mgła formowała groteskowe kształty i wszędzie dookoła panowała przygnębiająca cisza. Hawkmoon zaczerpnął głęboko chłodnego, wilgotnego powietrza, wyciągnął miecz, ścisnął kolanami boki konia i popędził przez zwodzony most, przeskakując nad trupami, by wedrzeć się do jaskini Szalonego Boga.

ROZDZIAŁ III

DYLEMAT HAWKMOONA

Wielki dziedziniec zamkowy usłany był ciałami, częściowo kobiet-wojowniczek, w większości jednak mężczyzn, noszących na szyjach obroże Szalonego Boga: Kamienie dziedzińca, nie zakryte przez rozrzucone w groteskowych śmiertelnych pozach ciała, pokrywały plamy zakrzepłej krwi. Rumak Hawkmoona parsknął strachliwie, gdy do jego nozdrzy doleciał odór rozkładających się ciał. Ale księżę popędził go dalej, ogarnięty panicznym lękiem, że wśród zabitych może rozpoznać twarz Yisseldy.

Zsiadł w końcu z konia, odwrócił się w stronę sztywnych ciał kobiet i przyjrzał się im uważnie; żadna z nich nie była Yisseldą.

Wreszcie na dziedziniec wjechał Rycerz w Czerni i Złocie, a za nim Oladah i d'Averc.

— Nie ma jej tutaj – odezwał się Rycerz. – Jest wewnątrz, żywa: Hawkmoon uniósł ku niemu pobladłą twarz, jego dłoń, zaciśnięta przy uździe konia, wyraźnie drżała.

— Czy... czy on jej nic nie zrobił?

— O tym musisz się już przekonać sam, księżę Dorianie – odparł Rycerz w Czerni i Złocie, wskazując na główne wejście do zamku. – Tędy wiedzie droga do pomieszczeń Szalonego Boga. Krótki korytarz zaprowadzi cię do głównego holu, gdzie on siedzi i czeka na ciebie... – To on wie o mnie?

— Wie, że któregoś dnia musi przybyć prawowity właściciel Czerwonego Amuletu, by odebrać to, co do niego należy...

— Nic mnie nie obchodzi amulet, chodzi mi tylko o Yisseldę. Gdzie ona jest, Rycerzu?

— W środku, wewnątrz zamku. Idź i odbierz co do ciebie należy: twoją kobietę i twój amulet. I jedno, i drugie ma niezwykłą wagę dla planów Magicznej Laski.

Hawkmoon odwrócił się i wbiegł przez drzwi, znikając w mrocznej sieni zamczyska. Wewnątrz zamkowych murów panował straszliwy chłód. Z sufitu korytarza spadały krople zimnej wody, a ściany porastał mech. Hawkmoon posuwał się do przodu z mieczem w dłoni, spodziewając się napaści.

Nikt go jednak nie atakował. Dotarł do wielkich drewnianych drzwi, sięgających sześciu metrów powyżej jego głowy i tu zatrzymał się.

Za drzwi dobiegał dziwny dudniący dźwięk, jakieś basowe mamrotanie, zdające się wypełniać cały hol. Hawkmoon z wielką ostrożnością pchnął delikatnie drzwi, tak że uchyliły się nieco. Wsunął głowę w szczelinę i zapatrzył się na szokującą scenerię.

Pomieszczenie miało dziwnie zróżnicowane proporcje. W niektórych miejscach strop zwisał bardzo nisko, w innych zaś widniał kilkanaście metrów nad podłogą. Nie było tu żadnych okien, a wewnątrz oświetlało kilka pochodni, rozmieszczonych w przypadkowych miejscach na ścianach.

Pośrodku sali, na podłodze, na której leżały jedno czy dwa ciała pomordowanych ludzi, stało wielkie krzesło z ciemnego drewna, zdobione inkrustacjami z brązu. Przed krzesłem zwieszała się ze znajdującego się w tym miejscu stosunkowo nisko stropu olbrzymia klatka, podobna do tej, w jakiej można trzymać oswojone ptaki, tyle że znacznie większa. W jej wnętrzu Hawkmoon dostrzegł skuloną postać.

Poza tym olbrzymi hol był pusty. Księżę wśliznął się do środka

i zaczął skradać się w kierunku klatki.

Zrozumiał, że to właśnie od tej strony dochodzi przepełnione cierpieniem mamrotanie, chociaż zmysły zaprzeczały temu, ponieważ basowe dudnienie było zbyt głośne. Doszedł do przekonania, że dźwięki musiały być niezwykle silnie wzmacniane przez szczególną akustykę wielkiej sali.

Zbliżył się do klatki, ale z powodu słabego oświetlenia nie był w stanie dokładnie przyjrzeć się skulonej postaci. – Kimże jesteś? – zapytał Hawkmoon. – Więźniem Szalonego Boga?

Jęki urwały się, a człowiek drgnął.

— Tak, można by tak powiedzieć – rozległ się głęboki, dudniący, melancholijny głos. – Najnieszczęśliwszym spośród wszystkich więźniów.

Teraz Hawkmoon widział lepiej sylwetkę człowieka. Miał długą, sprężystą szyję i był wysoki oraz niezwykle szczupły. Z jego głowy zwisały długie, poskręcane i pozlepiane z brudu w strąki szare włosy, a nie mniej zatłuszczona spiczasta broda spadała na jakieś trzydzieści centymetrów na piersi. Miał długi orli nos, a w głęboko osadzonych oczach tliły się ogniki melancholijnego obłędu.

— Czy mogę ci pomóc? – odezwał się Hawkmoon. – Czy da się odgiąć pręty klatki?

Tamten wzruszył ramionami.

— Drzwi klatki nie są zamknięte. To nie pręty mnie więżą. Zostałem zniewolony przez to, co znajduje się w mej huczącej głowie. Och, biada mi!

— Kim jesteś?

— Byłem kiedyś znany jako Stalnikow, z wielkiej rodziny Stalnikowów.

— I Szalony Bóg cię uwięził?

— Tak, zawładnął mną. Właśnie, dokładnie tak. – Więzień w otwartej klatce odwrócił swą wielką głowę o smutnych oczach i wbił wzrok w Hawkmoona. – A kim ty jesteś?

— Jestem Dorian Hawkmoon, książę Kln. – Germanin?

— Kln było kiedyś częścią kraju zwanego Germanią. – Boję się Germanów. – Stalnikow przesunął się do tyłu klatki, by znaleźć się jak najdalej od Hawkmoona.

— Mnie nie musisz się obawiać.

— Nie? – Stalnikow zachichotał, a ów odgłos szaleństwa zadudnił echem w całym holu. – Nie? – Sięgnął za kaftan i wyciągnął przed siebie coś, co było przywiązane rzemieniem do jego szyi. Przedmiot ten rozblysnął głębokim czerwonym blaskiem niczym olbrzymi rubin, oświetlony gdzieś od wewnątrz, a Hawkmoon spostrzegł, że jest na nim wyryty symbol Magicznej Laski. – Nie? A więc nie jesteś tym Germaninem, który miał przybyć, by wykraść źródło mojej mocy?

— Czerwony Amulet! – jęknął Hawkmoon. – W jaki sposób go zdobyłeś?

— Cóż – mruknął Stalnikow, powstając i uśmiechając się przerażająco. – Zerwałem go trzydzieści lat temu z ciała rycerza, który tędy przejeżdżał, a potem został osaczony i zabity przez moich ludzi. – Pieścił w palcach amulet, a jego blask poraził oczy Hawkmoona tak silnie, że ledwie mógł widzieć. – Oto jest Szalony Bóg. To jest źródło mojego obłądzenia i mojej mocy. To jest przedmiot, który mnie uwięził.

— To ty jesteś Szalonym Bogiem! Gdzie jest Yisselda? – Yisselda? Dziewczyna? Ta nowa dziewczyna z jasnymi włosami i białą, miękką skórą? Dlaczego pytasz?

— Ona należy do mnie.

— A więc nie chcesz amuletu? – Chcę Yisseldy.

Szalony Bóg wybuchnął śmiechem, który zadudnił echem we wszystkich szczelinach rozsypującej się budowli.

— A więc będziesz ją miał, Germaninie!

Klasnął w szponiaste dłonie, całe jego ciało poruszyło się niezbornie, jakby składało się z oddzielnych, luźno połączonych ze sobą części, niczym u marionetki, a klatka zakołysała się gwałtownie.

— Yisseldo, moja dziewczynko! Yisseldo, chodź tutaj służyć swojemu panu!

Z głębin pomieszczenia, z tej jego części, gdzie strop nieomal dotykał podłogi, wysunęła się dziewczyna. Hawkmoon ujrzał jej sylwetkę, ale nie miał całkowitej pewności, że to Yisselda. Schował miecz do pochwy i ruszył w tamtą stronę. Tak... jej ruchy, jej postawa przypominały Yisseldę.

Na jego wargi wypłynął uśmiech ulgi, kiedy rozłożył ramiona, by objąć ukochaną w uścisku.

Nagle rozległ się dziki zwierzęcy wrzask, a dziewczyna rzuciła się na niego z twarzą wykrzywioną żądzą krwi, mierząc uzbrojonymi w metalowe pazury palcami w jego oczy. Całe jej ciało skrywał kostium nabijany wystającymi zaostrzonymi kolcami.

— Zabij go, piękna Yisseldo – zachichotał Szalony Bóg. – Zabij go, mój kwiatuszku, a w nagrodę otrzymasz resztki z jego ciała.

Hawkmoon wyciągnął obie dłonie, żeby osłonić się przed szponami i poczuł, że głęboko rozcinają mu skórę. Po- śpiesznie odskoczył do tyłu.

— Nie, Yisseldo... To ja, twój narzeczony, Dorian... Ale w przepełnionych szaleństwem oczach nie pojawił się najmniejszy błysk świadomości. Jej wargi pokryły się śliną, gdy znów skoczyła, by ciąć go metalowymi szponami.

Hawkmoon uskoczył w bok, kierując ku dziewczynie spojrzenie pełne nadziei, że w końcu zostanie rozpoznany. – Yisseldo...

Szalony Bóg chichotał, zaciskając palce na prętach klatki i wpatrując się w nich płonącem wzrokiem.

— Zabij go, mój kurczaczku. Rozerwij mu gardło. Hawkmoon był niemal bliski płaczu, kiedy tak uskakiwał to tu, to tam, unikając połyskujących szponów ukochanej.

— Cóż to za moc, której jest posłuszna do tego stopnia, że zapomniała o swych uczuciach do mnie?! – zawołał do Stalnikow.

Tak jak ja, – jest posłuszna mocy Szalonego Boga – odpowiedział Stalnikow. – Czerwony Amulet czyni z nas wszystkich niewolników.

— Tylko jeśli jest w rękach przesiąkniętej złem istoty... – Hawkmoon rzucił się w bok, bo szpony Yisseldy znów wyciągnęły się w jego kierunku. Zerwał się na nogi i podbiegł do klatki.

— On przepęlnia złem wszystkich, którzy go noszą – odparł Stalnikow i zachichotał, gdy stalowe palce Yisseldy rozpruły rękaw Hawkmoona. – Wszystkich...

— Wszystkich, z wyjątkiem sług Magicznej Laski.

To rozbrzmiał dźwięczny i poważny głos od strony wejścia do sali, należący do Rycerza w Czerni i Złocie.

— Pomóż mi! – zawołał Hawkmoon.

— Nie mogę – odparł Rycerz w Czerni i Złocie, stojący nieruchomo z rękoma w ciężkich rękawicach złożonymi na gałce rękojeści miecza opartego czubkiem o podłogę.

Hawkmoon potknął się nagle i poczuł, że szpony Yisseldy wbijają się w jego plecy. Uniósł ręce, by unieruchomić jej nadgarstki i zawył z bólu, gdy ostre ćwieki wbiły mu się głęboko

w dłonie, zdołał jednak oderwać jej palce od siebie i odepchnąć dziewczynę na bok, po czym rzucił się ku klatce, w której Szalony Bóg mamrotał z zachwytu.

Wskoczył na pręty, oddając Stalnikowowi kopniaki, którymi tamten próbował go zrzucić. Klatka zakołysała się gwałtownie i zaczęła się obracać. Yisselda miotała się na dole, próbując dosięgnąć go szponami.

Stalnikow uskoczył w najodleglejszy kąt klatki, a w jego obłąkanych oczach pojawiło się przerażenie. Hawkmoon zdołał jakoś otworzyć drzwi, wskoczył do środka, po czym zatrzasnął je z powrotem za sobą. Na zewnątrz Yisselda zawyła, miotana żądzą krwi, a blask amuletu odbił się w jej źrenicach szkarłatnym ogniem.

Teraz Hawkmoon nie zdołał już powstrzymać łez cisnących się mu do oczu na widok kobiety, którą kochał. Po chwili odwrócił wykrzywioną nienawiścią twarz w kierunku Szalonego Boga.

Głęboki głos Stalnikowa, rozbrzmiewający wciąż żałosnymi tonami, zahuczał w przestronnym holu. Ujął w dłoń amulet; kierując jego blask prosto w oczy Hawkmoona.

— Cofnij się, śmiertelniku. Poddaj się mej woli, poddaj się mocy amuletu...

Książę zamrugał szybko, czując, jak nagle opuszczają go siły. Jego oczy całkowicie poraził blask amuletu. Zamarł, uświadamiając sobie, że przedmiot bierze nad nim władzę.

— A teraz oddasz się sam w ręce twojego kata – rzekł Stalnikow.

Ale Hawkmoon zebrał resztki woli i zrobił krok do przodu. Zarośnięta szczęka Szalonego Boga opadła ze zdumienia. – Rozkazuję ci w imię Czerwonego Amuletu...

— On jest tym jedynym, nad którym amulet nie ma władzy –

rozległ się od strony drzwi poważny głos Rycerza w Czerni i Złocie. – Tym jedynym człowiekiem. Prawowitym właścicielem amuletu.

Stalnikow zadrżał i począł się cofać po obwodzie klatki, a Hawkmoon, silnie osłabiony, nadal podążał powoli w jego kierunku.

— Cofnij się – wrzasnął Szalony Bóg. – Wyłaź z klatki!

Yisseldzie udało się w końcu zacisnąć szponiaste palce na prętach klatki i teraz podciągała się z wysiłkiem w górę, nie spuszczać morderczego spojrzenia z gardła Hawkmoona.

— Cofnij się! – Tym razem głos Stalnikowa nie był już tak silny i tak przepełniony pewnością siebie. Doskoczył do drzwi klatki i otworzył je kopniakiem.

Yisselda, wyszczerzając białe zęby, z piękną twarzą wykrzywioną straszliwym obłędem, wdrapała się już na klatkę i przywarła od zewnątrz do jej prętów. Szalony Bóg stał zwrócony do niej plecami, wciąż próbując blaskiem amuletu oślepić Hawkmoona.

Wyciągające się na chybił trafił szpony Yisseldy dosięgnęły od tyłu głowy Stalnikowa. Ten wrzasnął i zeskoczył z klatki na podłogę. Yisselda, która znowu dostrzegła Hawkmoona, zaczęła gramolić się ku wejściu do klatki.

Hawkmoon, zdając sobie sprawę, że nie ma żadnego sensu próbować przekonywać swą ogarniętą szaleństwem narzeczoną, zebrał wszystkie siły i zanurkował pod mierzącymi w niego szponami. Wylądował na nierównej kamiennej posadzce i leżał przez chwilę ogłuszony.

Krzywiąc się z bólu podnosił się na nogi; Yisselda właśnie zeskoczyła obok niego na podłogę.

Szalony Bóg wlaźł na stojące naprzeciwko klatki wielkie

krzesło, wdrapał się na szczyt oparcia i przycupnął tam z dyndającym mu u szyi Czerwonym Amuletem, którego tańczące dziwne rozbłyski ponownie padły na oblicze Hawkmoona. Z jego ramion, głęboko poranionych przez uzbrojone w szpony dłonie Yisseldy, płynęła obficie krew.

Stalnikow zamamrotał z przerażenia, kiedy Hawkmoon wdrapał się na krzesło i stanął na poręczy.

— Błagam, zostaw mnie... Nie zrobię ci nic złego.

— Już uczyniłeś mi bardzo wiele złego – odparł posępnym głosem Hawkmoon unosząc miecz.

— Bardzo wiele. Tak wiele, że moja zemsta będzie bardzo słodka, Szalony Boże...

Stalnikow wyprostował się na ile było to możliwe.

— Zatrzymaj się, Yisseldo! – zawołał do dziewczyny. – Odzyskaj swój poprzedni charakter. Rozkazuję ci, na moc Czerwonego Amuletu!

Hawkmoon odwrócił się i zobaczył, że Yisselda stanęła w miejscu, sprawiając wrażenie oszołomionej. Jej usta otworzyły się z przerażenia, kiedy ujrzała metalowe szpony na swoich palcach i ostre ćwieki wystające z kostiumu skrywającego jej ciało.

— Co się stało? Co ze mnie zrobiono?

— Byłaś zahipnotyzowana przez tego tu potwora! – krzyknął Hawkmoon, wymachując mieczem w kierunku kulącego się przed ostrzem Stalnikowa. – Ale zaraz pomszczę całe zło, jakie on tobie uczynił.

— Nie! – wrzasnął Stalnikow. – To nie fair! Yisselda zalała się łzami.

Stalnikow rozglądał się na lewo i prawo.

— Gdzie są moi słudzy? Gdzie są moi strażnicy?

— Napuściłeś ich na siebie nawzajem, żeby się pozabijali dla twojej perwersyjnej uciechy – odpowiedział Hawkmoon. – A tych, którzy przeżyli, my uwięziliśmy.

— Moja armia kobiet! Chciałem tylko, żeby piękno podbiło całą Ukrainę. Zabierzcie mnie z powrotem do dziedzictwa Stalnikówów...

— To dziedzictwo jest tutaj – rzekł Hawkmoon unosząc miecz.

Stalnikow zeskoczył z oparcia krzesła i ruszył biegiem w kierunku drzwi, lecz po chwili skręcił w bok, kiedy spostrzegł, że wyjście zablokowane jest przez Rycerza w Czerni i Złocie.

Pobiegł w mroczne głębie holu i zniknął im z oczu w jakiejś szczelinie.

Księżę zszedł z krzesła i odwrócił się, by popatrzeć na Yisseldę, która leżała skulona na podłodze i zanosila się płaczem. Podeszedł do niej i delikatnie zaczął zdejmować zakrwawione szpony z jej smukłych, miękkich palców.

Dziewczyna uniosła w górę oczy.

— Och, Dorianie. Jak mnie odnalazłeś? Och, mój ukochany...

— Dzięki Magicznej Lasce – odpowiedział głos Rycerza w Czerni i Złocie.

Hawkmoon odwrócił się, śmiejąc z ulgą.

— Jesteś co najmniej uparty w swoich twierdzeniach, Rycerzu.

Rycerz w Czerni i Złocie nie odezwał się, lecz nadal tkwił, niczym pozbawiony twarzy olbrzymi posąg, blokując drzwi.

Hawkmoon odnalazł rzemienie mocujące straszliwy, nabijany ćwiekami strój i zaczął ściągać go z dziewczyny. – Znajdź Szalonego Boga – rzekł Rycerz. – Pamiętaj, Czerwony Amulet należy do ciebie. On da ci moc.

Hawkmoon zmarszczył brwi.

— A może także uczyni mnie szalonym? – Nie, głupcze. On ci

się prawnie należy. Księżę znieruchomiał, porażony tonem Rycerza.

— Resztę zrobię sama – powiedziała Yisselda, dotykając jego dłoni.

Zważył w dłoni miecz i wbił wzrok w tonący w mroku kąt, w którym zniknął Stalnikow, Szalony Bóg.

— Stalnikow!

Gdzieś w najdalszym końcu holu zabłysnął drobniutki punkcik czerwonego światła. Hawkmoon pochylił głowę i wkroczył do niszy holu. Usłyszał dźwięk podobny do szlochu, który zdawał się go ogłuszać.

Coraz bliżej i bliżej podchodził do źródła czerwonej poświaty, a z każdym krokiem wciąż głośniejszy stawał się odgłos dziwnego szlochania. Wreszcie czerwony blask rozlał się jasną łuną i w świetle tym dostrzegł nosiciela amuletu, przyciśniętego plecami do ściany z surowych kamieni i ściskającego w dłoni miecz.

— Przez trzydzieści lat czekałem na ciebie, Germaninie – odezwał się nagle Stalnikow opanowanym głosem. – Wiedziałem, że kiedyś przybędziesz, by przekreślić moje plany, by 'zniszczyć moje ideały i zrujnować wszystko to, co stworzyłem. Miałem jednak nadzieję, że potrafię zapobiec tej groźbie. I mam ją nadal.

Z dzikim wrzaskiem uniósł w górę miecz i zamierzył się na Hawkmoona.

Ten bez trudu zablokował cios, po czym wykręcił ostrze tak, że broń wysunęła się z dłoni Szalonego Boga. Wysunął swój miecz do przodu, celując jego czubkiem w serce Stalnikowa.

Przez chwilę mierzył przerażonego szaleńca posępnym, groźnym wzrokiem. Światło bijące z Czerwonego Amuletu zabarwiło szkarłatem twarze ich obu. Stalnikow chrząknął, jakby

chciał błagać o litość, lecz tylko zwiesił bezsilnie ramiona.

Wtedy Hawkmoon zagłębił ostrze miecza w sercu Szalonego Boga. Odwrócił się, zostawiając za sobą zarówno martwe ciało, jak i Czerwony Amulet tam, gdzie upadły.

ROZDZIAŁ 10

MOC AMULETU

Hawkmoon osłonił płaszczem nagie ramiona Yisseldy. Dziewczyna trzęsa się i szlochała z powodu doznanych wstrząsów, a także z radości spotkania narzeczonego. Nie opodal stał niezmiennie nieruchomo Rycerz w Czerni i Złocie.

Kiedy Hawkmoon przytulał do siebie Yisseldę, Rycerz poruszył się w końcu; potężna postać przemierzyła hol i zniknęła w mrocznej niszy, gdzie spoczywało ciało Stalnikowa, Szalonego Boga.

— Och, Dorianie. Nie potrafię ci opowiedzieć o okropnościach, jakich doznałam w czasie tych ostatnich miesięcy. Więziona to przez tych, to przez tamtych, przebyłam setki kilometrów. Nie wiem nawet, gdzie to piekielne miejsce się znajduje. Nie pamiętam nic z ostatnich dni, z wyjątkiem mglistego wspomnienia o jakimś koszmarze, w którym musiałam walczyć z sobą, owładnięta przymusem zabicia ciebie...

Hawkmoon przytulił ją do siebie mocniej.

— To był tylko senny koszmar. Chodź, opuścimy to miejsce. Wrócimy do bezpiecznego Kamargu. Powiedz mi, co stało się z twoim ojcem i z innymi.

Jej oczy rozszerzyły się.

— Ty nic nie wiesz? Sądziłam, że najpierw powróciłeś tam, zanim wyruszyłeś moim śladem.

— Nie słyszałem nic oprócz plotek. Jak się mają Bowgentle, von Villach, hrabia Brass...?

Spuściła oczy.

— Von Villach został zabity promieniem ognistej lancy w bitwie z siłami Mrocznego Imperium na północnej granicy. Hrabia Brass...

— Co z nim?

— Kiedy widziałam go po raz ostatni, leżał w łóżku złożony niemocą i nawet medyczne umiejętności Bowgentle'a nie były w stanie postawić go na nogi. Sprawiał wrażenie, jakby opuściły go wszelkie uczucia, jakby nie miał ochoty dłużej żyć. Mówił, że Kamarg musi wkrótce paść. Sądził, że nie żyjesz, skoro nie wróciłeś w czasie określonym przez niego jako bezpieczny dla ciebie.

Oczy Hawkmoona rozbłysły.

— Muszę wracać do Kamargu jak najszybciej. Choćby tylko po to, by przywrócić hrabiemu Brassowi chęć do życia. Kiedy jeszcze i ty zniknęłaś, pewnie nie zostało już w nim ani trochę energii.

— O ile jeszcze żyje – dodała cicho, jak gdyby sama nie chciała brać pod uwagę tej możliwości.

— Musi żyć. Jeśli Kamarg nie poddał się jeszcze do tej pory, oznacza to, że hrabia Brass żyje.

W korytarzu prowadzącym do holu rozległy się szybkie kroki biegnących ludzi. Hawkmoon, osłaniając Yisseldę plecami, ponownie wyciągnął swój wielki bitewny miecz.

Drzwi otworzyły się z hukiem i stanął w nich dyszący ciężko Oladah, a tuż za nim pojawił się d'Averc.

— Żołnierze Mrocznego Imperium – wysapał Oladah. – Dużo więcej, niż moglibyśmy stawić czoło. Pewnie już penetrują zamek i okolicę w poszukiwaniu ocalałych ludzi i łupów.

D'Averc przecisnął się obok małego zwierzoczęka.

— Próbowałem z nimi rozmawiać. Tłumaczyłem, że z powodu wyższej rangi niż ich dowódca mam prawo przejąć dowodzenie oddziałem, ale... – wzruszył ramionami – wygląda na to, że d'Averc nie ma już żadnej rangi w legionach Granbretanu. Ten przeklęty pilot skrzydłolotu musiał żyć na tyle długo, że zdążył przekazać oddziałom poszukiwawczym wiadomość o mojej porażce i twojej ucieczce. Jestem teraz takim samym banitą jak ty...

Hawkmoon zmarszczył brwi.

— Wejdźcie tu obaj i zabarykadujcie te wielkie drzwi. Powinny powstrzymać ich atak.

— Czy to jedyne drzwi? – zapytał d'Averc, taksując je wzrokiem.

— Tak mi się zdaje – odparł Hawkmoon. – A tamtą bandą będziemy martwić się później.

Z cienia wychynął Rycerz w Czerni i Złocie. Z jego ciężkiej rękawicy zwisał na pokrytym krwią rzemieniu Czerwony Amulet.

Rycerz trzymał go bardzo ostrożnie, nie dotykając kamienia. Wyciągnął go w stronę Hawkmoona. Tymczasem d'Averc z Oladahnem pospiesznie zamykali i ryglowali ciężką sztabą drzwi.

— Proszę – rzekł Rycerz w Czerni i Złocie. – Jest twój. Hawkmoon wzdrygnął się.

— Nie chcę go. Nigdy go nie wezmę. To symbol zła. Wielu ludzi przywiódł do śmierci, innych do szaleństwa. Nawet ta biedna kreatura, Stalnikow, była jego ofiarą. Zatrzymaj go sobie. Znajdź innego głupca, który będzie chciał go nosić!

— Musisz go założyć – zadudnił głos spod hełmu. – Tylko ty możesz go nosić.

— Nie będę go nosił! – Hawkmoon wskazał ręką na Yisseldę. – Ten przedmiot zamienił niewinną dziewczynę w mordującą dziką bestię. Wszyscy ci, których widzieliśmy w wiosce rybackiej, zostali zamordowani pod wpływem mocy Czerwonego Amuletu. To jego moc doprowadziła do obłądu wszystkie te kobiety, które na nas napadły. Wszystkie trupy, jakie leżą na dziedzińcu, są ofiarami Czerwonego Amuletu – rzekł, strącając kamień z ręki Rycerza. – Nie wezmę go. Jeśli takie rzeczy są wynikiem działalności Magicznej Laski, to ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— To właśnie czyny ludzi, podobnych do ciebie głupców, sprawiają, że jej oddziaływanie obraca się w zło – powiedział Rycerz w Czerni i Złocie wciąż tak samo obojętnym i ponurym tonem: – To jest twoje przeznaczenie, los wybranego przez Magiczną Laskę sługi. Musisz wziąć ten dar. Nie uczyni ci nic złego. Nie przyniesie ci nic poza mocą.

— Mocą niszczenia i doprowadzania ludzi do obłądu! – Mocą czynienia dobra, mocą zdolną do pokonania hord Mrocznego Imperium!

Hawkmoon uśmiechnął się szyderczo. Rozległo się potężne uderzenie w drzwi, oznaczające, że żołnierze Mrocznego Imperium odnaleźli ich.

— Jesteśmy w mniejszości – rzekł Hawkmoon. – Czy Czerwony Amulet da nam moc do umknięcia im, kiedy jest tu tylko jedno wyjście, przez te jedyne drzwi?

— Pomoże ci – powiedział Rycerz w Czerni i Złocie, schylając się po zrzucony amulet i ponownie ujmując delikatnie za ramię.

Drzwi zaczęły trzeszczeć pod lawiną uderzeń, jakie sypały się z tamtej strony.

— Jeśli Czerwony Amulet potrafi czynić tak wiele dobra, to dlaczego ty sam go nie chcesz dotknąć?

— Nie jest mój, nie mogę go dotknąć. Zrobiłby ze mnie to samo, co z nieszczęsnego Stalnikowa. – Rycerz uczynił krok do przodu. – Proszę, weź go. On jest powodem, dla którego tu się znalazłeś.

— Znalazłem się tutaj z powodu Yisseldy, przybyłem, by ją uratować. Zrobiłem to już.

— Ona też znalazła się tutaj z powodu amuletu. – A więc było to ukartowane, żeby mnie zwabić...

— Nie. To część twego przeznaczenia. Ale powiedziałeś sam, że przybyłeś tu, by ją uratować, a teraz odrzucasz możliwość bezpiecznego wydostania się z zamku. Kiedy wedrą się tu żołnierze, dziesiątki albo i więcej zażartych szermierzy, wybiją was wszystkich. A los Yisseldy może być znacznie gorszy.

Drewno drzwi zaczynało już pękać. Oladah i d'Averc odsunęli się i naszykowali miecze, a w ich oczach pojawił się niemy wyraz zaciętej desperacji.

— Jeszcze chwila i wedrą się do środka – rzekł d'Averc. – Żegnaj, Oladahnie. I ty także, Hawkmoonie. Byłeś o wiele mniej nudnym towarzyszem niż niektórzy inni...

Hawkmoon popatrzył na amulet. – Sam nie wiem...

— Zaufaj moim słowom – powiedział Rycerz w Czerni i Złocie. – Ocaliłem cię już w przeszłości. Czy robiłbym to wszystko po to, żeby cię teraz zgubić?

— Nie mówię o zgubie, ale ten przedmiot podporządkuje mnie jakimś złym mocom. Skąd mam wiedzieć, że naprawdę jesteś wysłannikiem Magicznej Laski? Mam tylko twoje słowa na dowód, że służę Magicznej Lasce, a nie jakimś ciemnym celom.

— Drzwi już wypadają! – krzyknął Oladah. – Książę Dorianie, będziemy potrzebowali twojej pomocy! Niech Rycerz ucieka z

Yisseldą, jeśli zdoła!

— Szybko – rzekł Rycerz, wyciągając w jego kierunku amulet. – Weź to, ocalisz przynajmniej dziewczynę. Hawkmoon na moment zawahał się, po czym sięgnął po amulet. Zdawać by się mogło, że kamień ułożył się w jego dłoni jak psiak na rękach swego pana. Ale był to wyjątkowo potężny psiak. Jego czerwony blask stawał się coraz intensywniejszy, aż wkrótce zalał całe groteskowo nie- proporcjonalne pomieszczenie. Hawkmoon poczuł, jak ożywia go strumień mocy. Nagle całe jego ciało odzyskało znakomitą kondycję, a każdy ruch wykonywał z niesamowitą szybkością. Nad jego myślami nie ciążyły już wydarzenia minionego dnia. Uśmiechnął się i nałożył zakrwawiony rzemień na szyję, schylił się, by jeszcze raz ucałować Yisseldę i zaczął smakować ogarniające go radosne uniesienie. Odwrócił się z naszykowanym mieczem, żeby ujrzyć wyjąca horde, której właśnie w tej chwili udało się sforsować wielkie drzwi.

Oba skrzydła runęły do wewnątrz i stanęli twarzą w twarz z dyszącymi żołdakami Granbretanu, w połyskujących emalią i półszlachetnymi kamieniami metalowych tygrysiich maskach, z bronią przygotowaną do rzezi nielicznej grupki, jakby specjalnie ustawionych w patetycznych pozach ludzi. Dowódca zrobił krok do przodu.

— Tak wiele zachodu dla tak marnej zdobyczy. Bracia, każemy im słono zapłacić za wszystkie nasze wysiłki!

I tak oto zaczęło się zabijanie.

ROZDZIAŁ V

RZEŹ W HOLU

Och, na Magiczną Laskę – mruknął Hawkmoon O basowym głosem. – Moc jest we mnie! Skoczył do przodu, wielka oburęczna głównia świsnęła w powietrzu, rozcinając osłonięty metalem kark dowódcy oddziału, powracając cięła żołnierza stojącego po lewej stronie, pozbawiła go przytomności, po czym w półbrocie spadła na zbroję człowieka znajdującego się po prawej stronie. Wszędzie dokoła tryskała krew i spadały pogruchothane fragmenty zbroi. Blask amuletu rzucał purpurowe cienie na zamaskowane twarze żołnierzy, Hawkmoon zaś prowadził swoich przyjaciół do szaleńczego ataku – ostatniej rzeczy, jakiej mogli spodziewać się siepacze Mrocznego Imperium.

Światło amuletu oślepiało ich, ociężale unosili opancerzone dłonie, by osłonić oczy, ledwie byli w stanie unieść broń do osłony, oszołomieni szybkością, z jaką Hawkmoon, Oladah i d'Averc na nich natarli. Za tą trójką podążał Rycerz w Czerni i Złocie, a jego gigantycznych rozmiarów obosieczny miecz ze świstem rozcinał powietrze w wielkim okręgu stalowej śmierci, przy czym wydawało się, że Rycerz nie wkłada w to najmniejszego wysiłku.

Pośród okrzyków Granbretańczyków i szczęku żelaza., czwórka szermierzy systematycznie posuwała się do przodu, z Yisseldą cały czas ukrytą za ich plecami.

Hawkmoona zaatakowało naraz sześciu klnących mężczyzn z toporami, chcąc odepchnąć go do tyłu i p«wstrzymać szalony wir

jego śmiercionośnego miecza, lecz młody książę Kln kopniakiem odtrącił jednego, drugiego zepchnął w bok łokciem, po czym cięciem skierowanym na wprost zanurzył miecz w połączonym z maską hełmie kolejnego, rozłupując na części zarówno hełm, jak i czaszkę.; tak że kiedy wyszarpnął głównię, ze szczeliny zaczął się wysączać mózg zabitego. Ostrze broni Hawkmoona błyskawicznie stępiło się od liczby zadawanych ciosów, aż w końcu zaczął jej używać bardziej jako topora niż miecza. Wyszarpnął oręż z dłoni jednego z napastników, nie pozbył się jednak swojego. Nowym mieczem wymierzał pchnięcia. swojego używał wyłącznie, by zadawać cięcia.

— Ach – wyszeptał – Czerwony Amulet wart był wszystkich wysiłków.

Uniósł go z piersi, przemieniając swą spoconą, wykrzywioną pragnieniem zemsty twarz w maskę czerwonego demona.

Ostatni z żołnierzy próbował wycofać się przez drzwi, lecz Rycerz w Czerni i Złocie wraz z d'Avercem zablokowali mu drogę i ścięli bezlitośnie, gdy próbował ich wyminąć.

Kątem oka Hawkmoon dostrzegł Yisseldę. Ukryła twarz w dłoniach, wzdrygając się przed spojrzeniem na krwawą jatkę, jaką urządził książę wraz z przyjaciółmi.

— Och, jak słodko jest ścinać to ścierwo – odezwał się Hawkmoon. – Nie wzbraniaj się, Yisseldo, przed oglądaniem tego. Przecież to nasz triumf!

Ale dziewczyna nie uniosła oczu.

W wielu miejscach podłoga holu pokryta była kilkoma warstwami porąbanych ciał. Hawkmoon dyszał ciężko, rozglądając się za kolejnymi ofiarami, ale napastników już nie było. Odrzucił od siebie zdobyty miecz, własny schował do pochwy, a bitewna gorączka zaczęła powoli go opuszczać. Schylił

głowę ku Czerwonemu Amuletowi, po czym uniósł go do oczu, by przyrzeć mu się dokładnie. Zapatrzył się na skromny motyw pokrytej runicznymi znakami laski, wyryty w kamieniu.

Tak – mruknął. – Na początek pomogłeś mi w zabijaniu. Jestem wdzięczny, lecz zastanawiam się wciąż, czy twa moc nie niesie ze sobą więcej zła niżli dobra... – Blask bijący od Magicznej Laski począł migotać, a następnie blednąć. Hawkmoon popatrzył na Rycerza w Czerni i Złocie. – Amulet przygasł. Cóż to oznacza?

— Nic – odparł Rycerz. – Czerpie moc z bardzo daleka i nie może przekazywać jej bez przerwy. Po jakimś czasie znowu rozbłyśnie jasno... – urwał, zwracając twarz w stronę korytarza. – Słyszę jakieś kroki. Ci tutaj to nie był cały oddział.

— A więc wyjdźmy im na spotkanie – stwierdził d'Averc, skłaniając się nisko i gestem wskazując Hawkmoonowi drogę. – Ty pierwszy, przyjacielu. Wydajesz się tak wyposażony, że musisz nas prowadzić.

— Nie – wtrącił Rycerz. – Ja pójdę. Moc amuletu przygasła na jakiś czas. Ruszajmy.

Ostrożnie przestąpili przez zwalone drzwi i tym razem Hawkmoon szedł na końcu, wraz z Yisseldą. Wreszcie odważyła się spojrzeć na niego, a w jej oczach nie było strachu.

— Cieszę się, że ich zabiliście – powiedziała. – Ale nienawidzę patrzeć na śmierć, która przychodzi w tak bezlitosny sposób.

— Oni nie znali litości – rzekł Hawkmoon łagodnym głosem. – I zasłużyli na bezlitosną śmierć. To jedyny sposób na rozprawienie się z wszystkimi, którzy służą Mrocznemu Imperium. Teraz musimy zmierzyć się z następnymi. Bądź dzielna, moja ukochana, stajemy bowiem przed największym zagrożeniem.

Na przedzie Rycerz w Czerni i Złocie nacierał już na pierwszego żołnierza nadciągających posiłków, spychając

przeciwników całą masą swego ogromnego, zakutego w stal ciała w tył wąskiego korytarza. Tamci, jak się wydawało, całkowicie stracili odwagę, ujrawszy swych nieprzyjaciół nawet nie drażniętych i zrozumiałwszy, że jakichś dwudziestu pięciu ich towarzyszy musiała spotkać śmierć wewnątrz zamku.

Żołnierze Mrocznego Imperium rzucili się w kierunku uślanego trupami dziedzińca, krzycząc i prześcigając się w ucieczce. Cała nacierająca na nich czwórka pokryta była częściowo zakrzepłą krwią i odpryskami mózgow, toteż kiedy wynurzyła się na światło słoneczne, przedstawiała sobą straszliwy widok.

Nadal siąpił ponuro deszcz, a powietrze wciąż było chłodne, orzeźwiło jednak księcia i jego przyjaciół, odniesione zaś przez nich zwycięstwo sprawiło, że poczuli się niepokonani. Hawkmoon, d'Averc i Oladahn uśmiechali się niczym wilki na widok swych ofiar – szczyrzyli zęby z takim samozadowoleniem, że żołnierze Mrocznego Imperium nie zdecydowali się na zmasowany atak, chociaż liczbą znacznie przeważali nad grupką przyjaciół.

Rycerz w Czerni i Złocie uniósł wskazujący palec w stronę zwodzonego mostu.

— Wynoście się – rozkazał posępnym, głębokim głosem. – Albo zniszczymy was tak samo, jak wycięliśmy waszych braci.

Hawkmoon zaczął się zastanawiać, czy Rycerz blefuje, czy też owa tajemnicza istota naprawdę uważa, że będą w stanie pokonać tak licznych nieprzyjaciół, nie dysponując mocą Czerwonego Amuletu.

Lecz zanim doszedł do jakiegokolwiek wniosku, przez zwodzony most wysypała się na dziedziniec kolejna grupa rozwścieczonych wojowników i zaczęła wyrywać broń z rąk i z

ciał trupów.

Była to armia kobiet Szalonego Boga, którym udało się wydostać z sieci.

— Pokaż im amulet – szepnął Rycerz w Czerni i Złocie do Hawkmoona. – Właśnie jemu są winne posłuszeństwo. To właśnie amulet sprawuje nad nimi kontrolę, a nie Szalony Bóg.

— Ale jego blask przygasł – zaprotestował Hawkmoon. – Nie szkodzi. Pokaż im amulet.

Hawkmoon zerwał Czerwony Amulet z szyi i uniósł go wysoko ponad głowy wyjących kobiet.

— Stójcie! W imię Czerwonego Amuletu rozkazuję wam zaatakować nie nas, ale ich... – wskazał falujące szeregi żołnierzy Mrocznego Imperium. – Chodźcie, ja was poprowadzę!

Skoczył do przodu, jego stępiony miecz zatoczył łuk i powalił stojącego najbliżej żołnierza, zanim ten zrozumiał, co się dzieje.

Kobiety, znacznie górujące liczebnością nad siłami Mrocznego Imperium, ruszyły na tamtych z tak silną wolą zniszczenia, że d'Averc zawołał:

— Pozwólcie im dokończyć dzieła! Możemy teraz uciec! Hawkmoon wzruszył ramionami.

— To z pewnością tylko jedna grupa psów Mrocznego Imperium. W pobliżu musi się ich znajdować znacznie więcej, ponieważ nie zwykli oddalać się zbyt daleko od głównych skupisk swoich braci.

— Chodźcie za mną – odezwał się Rycerz w Czerni i Złocie. – Myślę, że najwyższy czas wypuścić bestie Szalonego Boga...

ROZDZIAŁ VI

BESTIE SZALONEGO BOGA

Rycerz w Czerni i Złocie poprowadził ich ku tej części dziedzińca, gdzie widniały olbrzymie żelazne wrota wpuszczone głęboko w kamienie murów. Musieli najpierw odciągnąć na bok martwe ciała, zanim mogli chwycić wielkie mosiężne kółka i odsunąć skrzydła wrót na zewnątrz. Odrzwia zazgrzytały o kamienie i odsłoniły długą kamienną pochylnię, ginącą w ciemnościach na dole.

Ze środka wydobyła się fala ciepłego, smrodliwego powietrza, a odór ten wydał się Hawkmoonowi znajomy i obcy zarazem. Zatrzymał się u szczytu pochylni, przekonany, że owa woń oznacza niebezpieczeństwo.

— Nie bójcie się – odezwał się niewzruszony Rycerz. – Ruszajcie. We wnętrzu odkryjecie sposób na wydostanie się stąd.

Hawkmoon zaczął powoli schodzić w dół, pozostali ruszyli za nim. Odrobina światła, przedostająca się przez otwarte wrota, oświetliła skąpo długie pomieszczenie, na końcu którego majaczył jakiś wielki obiekt. Książę nie był w stanie dostrzec co to takiego, ale kiedy chciał pójść w tamtym kierunku, powstrzymał go rozbrzmiewający za jego plecami głos Rycerza w Czerni i Złocie.

— Nie teraz. Najpierw bestie. Są w klatkach.

Dopiero teraz spostrzegł, że długie pomieszczenie przypomina swojego rodzaju stajnię z zabudowanymi boksami po obu stronach. W tej samej chwili z jednej z klatek dobiegły odgłosy

poruszenia, mruczenie zwierzęcia i niemal równocześnie zadrżały drzwi od uderzenia jakiegoś wielkiego cielska.

— To nie konie – odezwał się Oladahn. – Ani woły. Mnie ten zapach, książę Dorianie, przypomina zapach kotów.

— Tak, rzeczywiście – przytaknął Hawkmoon, opierając dłoń na rękojeści miecza. – To faktycznie przypomina zapach kotów. W jaki sposób koty mogą pomóc nam w ucieczce?

D'Averc zdjął ze ściany pochodnię i zaczął krzesać iskry, by ją rozpałić. Wkrótce zajęła się płomieniem i Hawkmoon dostrzegł, że olbrzymi obiekt przy tylnej ścianie stajni to gigantycznych rozmiarów rydwan, wystarczająco duży, by pomieścić nawet większą liczbę osób. Przy jego podwójnych dyszlach było miejsce dla czterech koni.

— Otwórzcie boksy i zaprzęgnijcie koty do jarzm – rzekł Rycerz w Czerni i Złocie.

Hawkmoon odwrócił się gwałtownie.

— Zaprząc koty do rydwanu? To kaprys w sam raz dla Szalonego Boga, ale my jesteśmy zwykłymi śmiertelnikami, Rycerzu. Poza tym, sądząc po odgłosach, są to dzikie kocury. Jeśli otworzymy klatki, z pewnością rzucą się na nas.

Jakby na potwierdzenie tych słów, z którejś klatki rozległ się głośny ryk, natychmiast podjęły go inne bestie i cała stajnia rozbrzmiała trudnym do zniesienia dla człowieka echem dzikich głosów krwiożerczych zwierząt.

Gdy chóralny ryk zaczął przycichać, Hawkmoon wzruszył ramionami i poszedł w kierunku wiodącej ku wyjściu pochylni.

— Lepiej poszukajmy gdzieś na górze koni i spróbujmy wydostać się z zamku w zaprzęgu normalniejszych zwierząt od tych tutaj.

— Czy nie przekonałeś się jeszcze, że można mi zaufać? –

zapytał Rycerz. – Czyż nie mówiłem prawdy o Czerwonym Amulecie i o całej reszcie?

— Wciąż nie jestem przekonany, iż wszystko to jest prawdą – odrzekł Hawkmoon.

— Oszalałe kobiety poddały się mocy amuletu, czyż nie tak?

— Owszem – przyznał książę.

— Podobnie owe bestie Szalonego Boga są uzależnione od rozkazów tego, kto posiada Czerwony Amulet. Dlaczego miałyby mi zależeć, Dorianie Hawkmoonie, na okłamywaniu ciebie?

Ten ponownie wzruszył ramionami.

— Stałem się podejrzliwy w stosunku do wszystkiego od czasu, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z Mrocznym Imperium. Nie wiem, czy mógłbyś coś zyskać czy nie okłamując mnie, jednakże... – podszedł do najbliższego boksu i położył dłonie na wielkim drewnianym ryglu. Męczą mnie już te sprzeczki, zobaczę zatem, co warte twoje zapewnienia.

Kiedy tylko odsunął rygiel, drzwi boksu odskoczyły do tyłu, pchnięte olbrzymią łapą. Po chwili wysunęła się głowa, większa od łba wołu i jeszcze bardziej przerażająca od tygrysiej – głowa warczącego, obnażającego długie żółte kły kocura o skośnych żółtych oczach. Wyszedł powolnym krokiem na zewnątrz, z głębin jego gardzieli wydobył się głuchy ryk, a błyszczące oczy obrzuciły ich bystrym spojrzeniem. Zauważyli, że grzbiet zwierzęcia miał kształt ostrego, rogowatego grzebienia trzydziesto-centymetrowej wysokości, o takim samym kolorze i kształcie co kły; biegł od karku aż po nasadę ogona, który w odróżnieniu od normalnych kocich ogonów zakończony był haczykowatymi wyrostkami.

— Ożywiona legenda – sapnął d'Averc, zapominając na chwilę o swojej obojętności. – To jest zmutowany jaguar bojowy z

Azjokomuny. Stary zwierzyniec. Widziałem takie na ilustracjach w książce, gdzie twierdzono, że jeśli podobne zwierzęta w ogóle kiedykolwiek istniały w rzeczywistości, to musiało to być tysiące lat temu, ponieważ miały one stanowić produkt jakiegoś wysublimowanego eksperymentu biologicznego i nie były zdolne do rozmnażania się...

— Zgadza się, nie są zdolne – odparł Rycerz w Czerni i Złocie. – Ale długość ich życia jest niemal równa wieczności.

Olbrzymi łeb obrócił się w stronę Hawkmoona, haczykowany ogon zaczął leniwie poruszać się na boki, a ślepie zapatrzyły się na amulet wiszący na szyi człowieka.

— Rozkaż mu, żeby się położył – powiedział Rycerz. – Leżeć! – rozkazał Hawkmoon i niemal w tej samej chwili bestia usiadła na podłodze, zamknęła paszczę, a błyski w jej oczach straciły nieco na dzikości.

Książę uśmiechnął się.

— Przepraszam, Rycerzu. Bardzo dobrze, uwolnijmy zatem pozostałe trzy bestie. Oladahnie, d'Avercu... Przyjaciele zaczęli odryglowywać kolejne klatki, Hawkmoon zaś otoczył ręką ramiona Yisseldy.

— Ten rydwan zanieś nas do domu, ukochana – powiedział, lecz nagle przypomniał sobie o czymś. – Rycerzu, moje sakwy! Powinny być nadal przy siodle konia, chyba że te psy je ukradły!

— Zaczekajcie tutaj – rzekł Rycerz, odwracając się i ruszając w górę pochylni. – Rozejrzę się.

— Pójdę sam – stwierdził Hawkmoon. – Ja wiem, gdzie...

— Nie – uciął Rycerz. – Ja pójdę.

W Hawkmoonie znów zrodził się cień podejrzenia. – Dlaczego?

— Tylko ty, posiadając amulet, masz moc rozkazywania bestiom Szalonego Boga. Jeśli się stąd oddalisz, mogą rzucić się

na ludzi i rozszarpać ich.

Hawkmoon niechętnie cofnął się, obserwując, jak Rycerz w Czerni i Złocie pewnym krokiem wspina się pod górę i po chwili znika z pola widzenia.

Z innych klatek wysunęły się trzy rogate kocury, bliźniaczo podobne do pierwszego. Oladah nerwowo chrząknął.

— Lepiej przypomnij im, że mają być posłuszne twoim rozkazom – odezwał się.

— Leżeć! – zakomenderował Hawkmoon i zwierzęta z ociąganiem wykonały polecenie. Podeszedł do najbliższego z nich i położywszy dłoń na potężnym karku, przesunął palcami po nastroszonej sprężystej sierści; wyczuł pod skórą potężne mięśnie. Bestie były mniej więcej wysokości koni, lecz znacznie masywniejszej budowy i nieskończenie bardziej drapieżne. Oczywiście było, że nie zostały stworzone po to, by ciągnąć powóz, lecz żeby mordować w czasie bitwy.

— Przyciągnijcie rydwan – powiedział. – Zaczniemy zaprzęgać te stworzenia.

D'Averc i Oladah przytoczyli rydwan. Był wykonany z poczerniałego spiżu i złota, było oczywiste, że to antyk. Jedynie skórzane pasy uprzęży wyglądały na stosunkowo nowe. Wsuwali jarzma na głowy i karki bestii, a zmutowane jaguary stały bez ruchu, strzygąc tylko od czasu do czasu uszami, kiedy ludzie zbyt mocno zaciskali rzemienie.

Gdy wszystko już było gotowe, Hawkmoon dał znak Yisseldzie, żeby wsiadła do rydwanu.

— Musimy poczekać na powrót Rycerza – rzekł. Zaraz potem możemy ruszać.

— A gdzie on jest? – zapytał d'Averc.

— Podeszedł, żeby odzyskać mój bagaż – wyjaśnił Hawkmoon.

D'Averc wzruszył ramionami, po czym opuścił swój wielki hełm na twarz.

— Dość długo to trwa. Będę się cieszył jak nikt, kiedy opuścimy to miejsce. Jest przesiąknięte wonią śmierci i zła.

Oladah n wskazał ku szczytowi pochylni, dobywając równocześnie miecza.

— Czy ten zapach miałeś na myśli, d'Averc?

U wejścia na pochylnię stało sześciu czy siedmiu żołnierzy Mrocznego Imperium, należących do Zakonu Łasicy, a wysunięte daleko do przodu pyski ich masek wręcz drżały z niecierpliwości dokonania mordy na znajdujących się wewnątrz ludziach.

— Do rydwanu, szybko! – rzucił Hawkmoon, kiedy Granbretańczycy zaczęli schodzić na dół.

W przedniej części rydwanu znajdowało się podwyższenie przeznaczone dla prowadzącego, tuż przy nim stojak, gdzie trzymano niegdyś włócznie, teraz tkwił w nim długi bat. Hawkmoon wskoczył na podwyższenie, chwycił w dłonie bat i strzelił nim ponad głowami bestii.

— Wstawajcie, pięknie! – Kocury poderwały się na nogi. – A teraz naprzód!

Rydwanem szarpnęło, wyrwali do przodu, a potężne zwierzęta pociągnęły ich w górę pochylni. Żołnierze w maskach łasic podnieśli wrzask na widok pędzących wprost na nich gigantycznych rogatych kocurów. Niektórym udało się zeskoczyć z pochylni, ale inni padali z krzykiem na kamienie, tratowani przez zakończone pazurami łapy zwierząt i okute żelaznymi obręczami koła.

Dziwaczny rydwan wyrwał się na szarawe światło dzienne, wpadając w sam środek grupy następnych żołnierzy w maskach łasic, którzy zamierzali spenetrować znajdujące się za otwartymi

wrotami pomieszczenie.

— Gdzie jest Rycerz? – zawołał Hawkmoon, starając się przekrzyczeć ludzkie wrzaski. – Gdzie są moje sakwy? Ale nigdzie nie widzieli Rycerza w Czerni i Złocie, nie mogli też dostrzec konia Hawkmoona.

Siepacze Mrocznego Imperium rzucili się tłumnie w kierunku rydwanu, Hawkmoon zaczął rozdawać na lewo i prawo ciosy batem, natomiast Oladahń i d'Averc utrzymywali ich na odległość ciosami mieczy.

— Wyjeżdżaj przez bramę! – krzyknął d'Averc. – Szybko! W każdej chwili mogą nas dostać!

— Gdzież jest Rycerz? – Hawkmoon dzikim wzrokiem rozglądał się dokoła.

— Na pewno czeka na nas na zewnątrz zamku! wykrzyczał zdesperowany d'Averc. – Jedź, książę Dorianie, albo będziemy zgubieni!

Nagle Hawkmoon dostrzegł ponad głowami tłoczących się żołnierzy swego konia. Przy siodle nie było jego toreb podróżnych, nie można też było odgadnąć, kto je zabrał.

— Gdzie jest Rycerz w Czerni i Złocie?! – zawołał jeszcze raz, zdjęty paniką. – Muszę go odnaleźć! Zawartość tych toreb oznacza życie lub śmierć dla całego Kamargu! Oladahń zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

— A jeśli nie wyjedziemy stąd natychmiast, oznacza to naszą śmierć, a pewnie coś jeszcze gorszego dla Yisseldy! Hawkmoon niemalże zupełnie stracił głowę, nie mogąc podjąć decyzji, dopiero gdy słowa Oladahńa dotarły do jego świadomości, wrzasnął przeraźliwie i strzelił batem w kierunku bestii. Pomknęły w szaleńczych podskokach przez bramę i zwodzony most, po czym przeszły w spokojniejszy galop wzdłuż brzegu

jeziora; ścigały ich, jak mogłoby się, wydawać, wszystkie hordy Granbretanu naraz.

Pędzące znacznie szybciej od koni bestie Szalonego Boga pociągnęły podskakujący na nierównościach rydwan daleko od mrocznego zamczyska i skrytego w mgłach jeziora, od wioski nędznych bud i usłanego trupami placu w kierunku pasma wzgórz po drugiej stronie jeziora, dalej błotnistą drogą między nawisającymi urwiskami, aż wreszcie wyjechali z powrotem na nie kończące się równiny. Tutaj droga stopniowo zaniknęła i zaczęli poruszać się po miękkim gruncie; zmutowane jaguary ciągnęły rydwan bez najmniejszego wysiłku.

— Gdybym miał się na coś uskarżać – zauważył d'Averc, czepiając się kurczowo krawędzi rydwanu, rzucającego straszliwie na wszystkie strony – to jedynie na to, że jedziemy odrobinę za szybko...

Oladahń próbował się uśmiechnąć, mimo że dzwonił zębami. Przykucnął na dnie pojazdu, przytrzymując Yisseldę i starając się uchronić ją przed najgorszymi wstrząsami.

Hawkmoon nie zwracał na nich uwagi. Ścisnął lejce w kurczowo zaciśniętych dłoniach i nie robił nic, by zwolnić choć trochę tempo ucieczki. Jego twarz okryła się bladością, a oczy płonęły z wściekłości, był bowiem przekonany, że został wystrychnięty na dudka przez człowieka, mianującego się największym sprzymierzeńcem w zmaganiach z Mrocznym Imperium: wystrychnięty na dudka przez sprawiającego wrażenie całkowicie nieprzekupnego Rycerza w Czerni i Żłocie.

ROZDZIAŁ VII

POTYCZKA W TAWERNIE

Hawkmoonie, zatrzymaj się, na litość Magicznej Laski! Zatrzymaj się, człowieku! Co cię nawiedziło?! – D'Averc, którego jeszcze nigdy dotychczas nie widzieli aż tak przejętego, ciągnął za rękaw Hawkmoona, okładającego batem dyszące ciężko bestie. Rydwan poruszał się z tą samą prędkością już od wielu godzin. Bez zatrzymywania przebyli wpływ dwie rzeki, a teraz, już po zapadnięciu zmroku, rwali w stronę lasu. W każdej chwili mogli rozbić się na drzewie i zginąć wszyscy. Potężne rogate kocury wykazywały już oznaki zmęczenia, ale książe bezlitośnie okładał je dalej batem.

— Dorianie! Jesteś szalony!

— Zostałem zdradzony! – odparł Hawkmoon. – Zdradzony! W tych torbach podróżnych było ocalenie Kamargu, a Rycerz w Czerni i Złocie ukradł mi je. Oszukał mnie. Dał mi świecidełko o ograniczonej mocy w zamian za maszynę, która w naszej sytuacji stwarzała niemal nieograniczone możliwości! Dalej, bestie! Dalej!

— Posłuchaj go, Dorianie. Zabijesz nas wszystkich! – przemówiła zapłakana Yisselda. – Zabijesz siebie, a jak wtedy pomożesz hrabiemu Brassowi i Kamargowi?

Rydwan wyleciał wysoko w powietrze, a następnie opadł z głośnym trzaskiem, zwalając pasażerów z nóg. Żaden normalny pojazd nie wytrzymałby takiego wstrząsu.

— Dorianie! Naprawdę oszalałeś. Rycerz nie zdradziłby ciebie. Możliwe, że musiał ulec przeważającej liczbie żołnierzy

Mrocznego Imperium i to oni wykradli mu sakwy!

— Nie... Przeczuwałem już zdradę, kiedy wychodził ze stajni. Zniknął, zabierając ze sobą podarunek od Rinala. Stopniowo jednak wściekłość i poczucie zawodu poczęły słabnąć i Hawkmoon przestał okładać batem boki prężących się bestii.

Rydwan powoli zwalniał pęd, gdy umęczone zwierzęta, nie poganiane strzałami bata, instynktownie zaczęły zwalniać.

D'Averc wyjął lejce z dłoni Hawkmoona. Młody rycerz nie protestował, osunął się na dno rydwanu i objął głowę ramionami.

D'Averc zatrzymał bestie, które natychmiast legły na ziemi, dysząc głośno.

Yisselda zanurzyła palce we włosach Hawkmoona.

— Dorianie. Wszystko, czego Kamarg potrzebuje, to twoja pomoc przy ocaleniu go. Nie wiem, jakie właściwości miał tamten przedmiot, ale jestem pewna, że niewiele mielibyśmy z niego pożytku. A ty masz Czerwony Amulet. Z pewnością przyniesie jakieś korzyści.

Zapadła już noc i poprzez gęstwinę gałęzi drzew przesączał się blask księżyca. D'Averc i Oladah zeskoczyli z rydwanu, rozmasowując zdrętwiałe ciała, po czym ruszyli w las, by poszukać drew na ognisko.

Hawkmoon popatrzył w górę. Światło księżyca padło na jego bladą twarz oraz na matowy klejnot pośrodku czoła. Przeniósł melancholijne spojrzenie na Yisseldę, a na jego wargach pojawił się niewyraźny uśmiech.

— Dziękuję ci, Yisseldo, za niezłomną wiarę we mnie, lecz obawiam się, że potrzeba będzie dużo więcej niż tylko Doriana Hawkmoona, żeby wygrać walkę z całym Granbretanem. W dodatku podstęp Rycerza doprowadził mnie...

— Nie masz żadnego dowodu, że był to podstęp, mój drogi.

— Nie. Ale wyczuwam instynktownie, że planował zostawienie nas, zabierając maszynę ze sobą. On także zdawał sobie sprawę z moich przeczuć. Nie wątpię; że zdobył sakwy i teraz jest już gdzieś daleko. Nie podejrzewam, rzecz jasna, żeby chciał wykorzystać maszynę w jakichś niegodnych celach. Prawdopodobnie jego cel jest znacznie ważniejszy od mojego, ale nie mogę mu wybaczyć tylko z tego powodu. Oszukał mnie. Zdradził mnie.

— Jeśli on służy Magicznej Lasce, może wiedzieć znacznie więcej od ciebie, może pragnął ocalić ów przedmiot, może traktował go jako niebezpieczny dla ciebie.

— Nie mam żadnych dowodów na to, że on służy Magicznej Lasce. Równie dobrze może służyć Mrocznemu Imperium, wykorzystując mnie tylko jako narzędzie!

— Stałeś się zbyt podejrzliwy, mój kochany.

— Zostałem do tego zmuszony – Hawkmoon westchnął. – I będę taki aż do chwili, kiedy Granbretan upadnie albo też ja zostanę zabity.

Przycisnął dziewczynę mocno do siebie, wtulając zmęczoną głowę w jej piersi. W ten sposób spędził całą noc.

Rankiem słońce zaświeciło jasno, jednak powietrze było chłodne. Ponury nastrój Hawkmoona przeminął wraz z mocnym snem, zresztą i cała czwórka obudziła się w znacznie lepszych humorach.

Wszyscy byli wygłodniali, łącznie ze zmutowanymi bestiami, które zwiesiły ozory i omiały las wkoło żarłocznymi, dzikimi spojrzeniami. Oladahn wcześniej już przygotował sobie łuk i trochę strzał, teraz wyruszył w głąb lasu w poszukiwaniu zwierzyny.

D'Averc pokasływał teatralnie, zawzięcie polerując swój wielki hełm z maską odyńca kawałkiem szmatki znalezionym na dnie rydwanu.

— To zachodnie powietrze nie służy moim schorowanym płucom – powiedział. – Chciałbym znowu znaleźć się na Wschodzie, może nawet w Azjokomunie, gdzie jak słyszałem, istnieje szlachetna cywilizacja. Może tamta cywilizacja doceniłaby moje talenty, wynosząc mnie na wyżyny społeczne.

— Czyżbyś stracił już nadzieję na jakąkolwiek nagrodę z rąk Króla-Imperatora? – zapytał Hawkmoon, uśmiechając się szeroko.

— Nagroda, jaka mnie w tej chwili czeka, jest dokładnie tego samego rodzaju jak przyobiecana tobie – odparł d'Averc z żalem w głosie. – - Gdyby ten przeklęty pilot umarł... i gdyby potem nie widziano mnie walczącego u twego boku w zamku... Nie, drogi Hawkmoonie. Obawiam się, że moje aspiracje związane z Granbretanem wydają się w obecnej sytuacji co nieco nierealistyczne.

Na skraju lasu pojawił się Oladahn, dźwigając dwa jelenie, po jednym na każdym ramieniu. Obaj podbiegli, żeby mu pomóc.

— Dwie strzały i dwa jelenie – rzekł z dumą. – A do tego strzały były robione w pośpiechu.

— Nie damy rady zjeść jednego, a co mówić o dwóch – stwierdził d'Averc.

— A zwierzęta? – powiedział Oladahn. – Musimy je nakarmić, bo w przeciwnym razie, czy to z Czerwonym Amuletem, czy bez niego, my zostaniemy pożarci, zanim ten dzień dobiegnie końca.

Poćwiartowali większego jelenia i rzucili mięso zmutowanym kocurom, które błyskawicznie zaczęły rozprawiać się ze swymi porcjami, pomrukując przy tym cicho. Następnie skonstruowali

prowizoryczny rożen, na którym mogli upiec drugiego jelenia.

Kiedy w końcu zasiedli do jedzenia, Hawkmoon westchnął i uśmiechnął się.

— Mówią, że dobre jedzenie odpędza wszystkie troski – powiedział. – Nie wierzyłem w to aż do tej pory. Czuję się nowym człowiekiem. To pierwszy porządny posiłek, jaki zjadłem od miesięcy. Świeżo ubita dziczyzna spożywana na łonie przyrody. Ach, co za rozkosz!

— Podziwiam twoje zdrowie, Hawkmoonie – odezwał się d'Averc, wycierając pieczołowicie pałce po zjedzeniu, delikatnie rzecz biorąc, ogromnej porcji mięsa. – Chciał- bym odznaczać się tak dobrym jak twój apetytem.

— A ja chciałbym odznaczać się twoim – rzekł Oladah, śmiejąc się głośno. – Zjadłeś tyle, że wystarczy ci chyba na cały tydzień.

D'Averc popatrzył na niego wzrokiem pełnym wyrzutu. Yisselda, wciąż owinięta jedynie w płaszcz Hawkmoona, wzdrygnęła się i odłożyła na bok kość, którą zawzięcie ogryzała.

— Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy poszukać w najbliższej okolicy jakiegoś miasta – powiedziała. – Potrzebowałabym kilku rzeczy...

Hawkmoon spojrział na nią zakłopotany.

— Oczywiście, moja droga Yisseldo, chociaż będzie to trochę utrudnione... Jeśli kręcą się tu większe oddziały żołnierzy Mrocznego Imperium, chyba lepiej będzie pojechać dalej na południe, a potem skręcić na zachód w stronę Kamargu. Może w Karpatii trafimy na jakieś miasto. Musimy się chyba znajdować w pobliżu jej granic.

D'Averc wskazał kciukiem na rydwan i zwierzęta.

— Nie spotkamy się raczej z gorącym przyjęciem, kiedy

zjawimy się w mieście tym nieziemskim pojazdem – powiedział.
– Może gdyby jeden z nas udał się pieszo do najbliższej osady...
Poza tym, w jaki sposób chcecie zapłacić za rzeczy?

— Mam Czerwony Amulet – odparł Hawkmoon. – Można by go było wymienić...

— Głupiec – rzucił d'Averc, przyjmując nagle poważny ton i spoglądając na Hawkmoona. – Ten amulet oznacza twoje życie... nasze życie. Jest naszym jedynym zabezpieczeniem, jedynym sposobem kontrolowania bestii. Wydaje mi się, że żywisz niechęć nie do samego amuletu, ale do odpowiedzialności, jaka się z nim wiąże.

Hawkmoon wzruszył ramionami.

— Możliwe. Chyba rzeczywiście była to głupia propozycja. Ale ja i tak go nie polubię. Widziałem coś, czego ty nie miałeś okazji widzieć: skutki jego oddziaływania na człowieka, który nosił go od trzydziestu lat.

— Wasza dyskusja jest zupełnie niepotrzebna, przyjaciele – wtrącił Oladahn. – Przewidziałem nasze kłopoty, książę Dorianie, i podczas gdy wy z wielką zaciekleścią kończyliście rozprawiać się z naszymi wrogami w zamku Szalonego Boga, ja wydłubałem kilkoro oczu ludziom Mrocznego Imperium...

— Oczu?! – zakrzyknął Hawkmoon z przerażeniem, lecz po chwili odprężył się i uśmiechnął, kiedy Oladahn wyciągnął w jego kierunku garść klejnotów wyłupanych z masek Granbretańczyków.

Cóż, musimy zrobić jakieś zapasy, a księżniczka Yisselda potrzebuje ubrań – odezwał się d'Averc. – Kto z nas ma największe szanse zwrócić na siebie jak najmniej uwagi udając się do miasta, kiedy już znajdziemy się w Karpatii?

Hawkmoon obrzucił go ironicznym spojrzeniem.

— No cóż, oczywiście ty, panie, pozbawiony akcesoriów Mrocznego Imperium. Jestem bowiem pewien, że chodziło ci o ten przeklęty klejnot na mym czole i pokrytą futrem twarz Oladahna. Ale wciąż jesteś moim więźniem...

— Zasmucasz mnie, księżę Dorianie. Sądziłem, że jesteśmy sprzymierzeńcami, zjednoczonymi przeciwko wspólnemu wrogowi, złączonymi więzami krwi, wzajemnym ocaleniem sobie życia...

— O ile sobie przypominam; nie ocaliłeś mi życia. – Może nie tak dosłownie. Ale...

— Nie mam najmniejszego zamiaru dać ci pełnej garści klejnotów i puścić wolno – przerwał Hawkmoon, przemawiając nieco chłodniejszym tonem. – A poza tym nie włada mną dzisiaj łatwowierność.

— Dam ci moje słowo, księżę Dorianie – rzekł swobodnie d'Averc, chociaż w jego oczach pojawił się słaby wyraz zaciętości.

Hawkmoon zmarszczył brwi:

— Już w kilku walkach udowodnił, że jest naszym przyjacielem – powiedział Oladahna łagodnym głosem. Hawkmoon westchnął.

— Wybacz mi, d'Averc. Dobrze więc, kiedy dotrzemy do Karpatii, ty kupisz dla nas wszystko, czego potrzebujemy. D'Averc zaczął pokasływać.

— To przeklęte powietrze. Jest dla, mnie zabójcze.

Pojechali dalej i chociaż kocury poruszały się zdecydowanie wolniej niż poprzedniego dnia, to jednak pokonywali drogę znacznie szybciej, niż gdyby wiozły ich jakiegokolwiek konie. Około południa wyjechali z wielkiego lasu; a pod wieczór ujrzeli na horyzoncie góry Karpatii. Niemal równocześnie Yisselda

wskazała na północ, gdzie widoczne były malutkie sylwetki jeźdźców zmierzających w ich kierunku. – Widzieli nas – powiedział Oladah. – Zdaje mi się, że zamierzają przeciąć nam drogę.

Hawkmoon strzelił z bata przy bokach olbrzymich bestii zaprzęzonych do rydwanu.

— Szybciej! – krzyknął i niemal w tej samej chwili rydwan zaczął nabierać prędkości.

Nieco później d'Averc zawołał, przekrzykując rumor i brzęk obręczy kół:

— To żołnierze Mrocznego Imperium, nie mam co do tego wątpliwości. Z Zakonu Morsa, o ile się nie mylę.

— Król-Imperator planuje chyba wielką inwazję na Ukrainę – zauważył Hawkmoon. – Nie widzę żadnego innego powodu, dla którego ziemie te miałyby się roić od takiej liczby żołnierzy Mrocznego Imperium. A to oznaczałoby, że podboje na zachodzie i południu dobiegły już końca.

— Mam nadzieję, że nie dotyczy to Kamargu – dodała Yisselda.

Wyścig trwał nadal, a jeźdźcy stopniowo zbliżali się do nich, posuwając się w kierunku leżącym pod kątem do trasy rydwanu.

Hawkmoon uśmiechał się posępnie, pozwalając ścigającym ludzić się, że uda im się dogonić powóz.

— Przygotuj łuk, Oladahnie – powiedział. – Masz świetną okazję poćwiczyć strzelanie do celu.

Kiedy jeźdźcy noszący groteskowe, wykonane z hebanu i kości słoniowej maski morsów zbliżyli się, Oladah nałożył strzałę na cięciwę i wypuścił pocisk. Jeden z żołnierzy runął na ziemię, kilka włóczyń ciśniętych w odpowiedzi w kierunku rydwanu nie dosięgło celu. Jeszcze trzech członków Zakonu Morsa zginęło od strzał Oladaha, zanim jeźdźcy zostali zdystansowani, a

jaguary wciągnęły pojazd pomiędzy pierwsze stoki Karpat.

W dwie godziny później zrobiło się ciemno i zdecydowali, że mogą bezpiecznie rozbić obóz.

Trzy dni później uważnie badając skalne urwiska doszli do wniosku, że będą zmuszeni porzucić zarówno bestie, jak i rydwan, jeśli chcą w ogóle przedostać się na drugą stronę pasma. Nie mieli innego wyjścia, musieli dalej wędrować na piechotę.

Od dłuższego czasu teren stawał się coraz trudniejszy dla zmutowanych jaguarów, a grań, przed którą stanęli, wydawała się zupełnie nie do przebycia dla zwierząt zaprzęzonych do rydwanu. Próbowali znaleźć jakąś przełęcz, stracili dwa dni na poszukiwanie przejścia, ale nie trafili na nie.

Jeżeli byli ścigani, pogoń powinna się już znajdować tuż za nimi. Nie mieli wątpliwości, że Hawkmoon został rozpoznany jako człowiek, któremu Król-Imperator Huon przysiągł śmiertelną zemstę. Z tego właśnie powodu żołnierze Mrocznego Imperium, pragnąc wykazać się w oczach swoich panów, przypuszczalnie bez ustanku prowadzili poszukiwania.

Zaczęli wspinaczkę, z mozołem wdrapując się na strome zbocze pasma, pozostawiwszy w dolinie wyprężone z rydwanu bestie.

Kiedy zbliżali się do stosunkowo łatwego odcinka drogi – skalnej półki omijającej szczyt, usłyszeli szcęk broni i stukot kopyt i dostrzegli tych samych jeźdźców w maskach morsów, którzy ścigali ich na równinie, wyłaniających się poniżej zza krawędzi skał.

— Znajdujemy się jeszcze w zasięgu ich włóczni – rzekł posepnie d'Averc. – A nie ma tu żadnej kryjówki. Ale Hawkmoon uśmiechnął się krzywo.

— Mamy coś znacznie lepszego – odparł. – Na nich, moje

bestie! – wykrzyknął. – Zabijcie ich, moje kotki! Posłuchajcie rozkazu, w imię amuletu!

Zmutowane koty zwróciły złowrogie spojrzenia w stronę nowo przybyłych, których na widok bezradnych ofiar ogarnęła tak wielka radość, że nawet nie zauważyli rogatych jaguarów. Dowódca oddziału uniósł włócznie.

I wtedy koty skoczyły.

Yisselda nie obejrzała się do tyłu ani razu, kiedy powietrze wypełniły przeraźliwe wrzaski, a mrozące krew w żyłach ryki zwierząt odbiły się zwielokrotnionym echem pośród cichych gór. Bestie Szalonego Boga najpierw zabiły ludzi, a potem zaczęły się pożywiać.

Następnego dnia przeprawili się przez pasmo i zeszli do zielonej doliny, w której znajdowało się pogrążone w spokoju małe miasteczko o czerwonych dachach.

D'Averc popatrzył w dół na zabudowania i wyciągnął dłoń w stronę Oladahna. – Jeśli możesz, drogi Oladahnie, daj mi klejnoty. Na Magiczną Laskę, czuję się wręcz nagi w samej koszuli i spodniach! – Wziął od Oladahna klejnoty, podrzucił je na dłoni, mrugnął do Hawkmoona i ruszył w kierunku miasteczka.

Leżeli w trawie, przyglądając się, jak schodzi pogwizdując, następnie wkracza między domy, aż wreszcie ginie im z oczu.

Czekali cztery godziny. Wyraz twarzy Hawkmoona stawał się coraz bardziej zacięty. Spoglądał od czasu do czasu na Oladahna wzrokiem pełnym urazy, lecz ten jedynie wydymał wargi i wzruszał ramionami.

Kiedy d'Averc pojawił się znowu, nie był sam. Hawkmoon z przerażeniem spostrzegł, że towarzyszą mu żołnierze Mrocznego imperium – ludzie ze znienawidzonego Zakonu Wilka, niegdyś zakonu barona Meliadusa. Czyżby rozpoznano d'Averca i

schwytano go? Nie, wręcz przeciwnie – wydawało się, że d'Averc pozostaje z nimi niemal w przyjacielskich stosunkach. Pomachał im dłonią, odwrócił się na pięcie i zaczął wspinać na zbocze w kierunku ich kryjówki, dźwigając na plecach okazałych rozmiarów tobołek. Hawkmoona jeszcze bardziej zaskoczył widok żołnierzy w wilczych maskach zawracających w stronę zabudowań i pozwalających swobodnie odejść d'Avercowi.

— On to ma gadane, ten d'Averc – uśmiechnął się Oladah. – Musiał ich przekonać, że jest tylko niewinnym podróżnikiem. Bez wątplenia Mroczne Imperium nie przejęło jeszcze całkowicie rządów w Karpacji.

— Możliwe – mruknął nie do końca przekonany Hawkmoon.

D'Averc zbliżył się do nich, rzucił tobołek na ziemię i rozwiązał go, ukazując kilka koszul, parę spodni oraz sporą ilość różnorodnego pożywienia – sery, bochenki chleba, kiełbasy, zimne mięsa i temu podobne. Jednocześnie wręczył Oladahnowi z powrotem większość klejnotów.

— Kupiłem te rzeczy stosunkowo tanio – rzekł, lecz kiedy dostrzegł wyraz twarzy Hawkmoona, zachmurzył się. – O co chodzi, książę Dorianie? Nie jesteś zadowolony? Żałuję, nie mogłem wziąć sukni dla księżniczki Yisseldy, ale te koszule i spodnie powinny na nią pasować.

— Ludzie Mrocznego Imperium – powiedział Hawkmoon, wskazując kciukiem w stronę miasteczka. – Odniosłem wrażenie, że traktowali cię jak przyjaciela.

— Muszę przyznać, że także się ich obawiałem – stwierdził d'Averc. – Ale okazało się, że nie wolno im używać przemocy w Karpacji, są tu tylko po to, by rozpowiadać ludziom o korzyściach, jakie ich spotkają pod rządami Mrocznego Imperium. Zwłaszcza że król Karpacji podejmuje aktualnie

jednego ze szlachciców Granbretanu. To normalna dla nich metoda: najpierw złoto, potem przemoc. Zadali mi kilka pytań, ale nie byli zbyt podejrzliwi. Opowiadali, że walczyli w Szekii i niemal udało im się podbić cały kraj, z wyjątkiem jednego czy dwóch kluczowych miast.

— Nie wspominali o nas? – zapytał Hawkmoon.

— Oczywiście, że nie.

Po części usatysfakcjonowany Hawkmoon odprężył się nieco. D'Averc rozwinął teraz ubrania, z których zrobił tobolek na jedzenie.

— Spójrz. Cztery płaszcze z kapturami. Dokładnie takie, jakie noszą w tych stronach świątobliwe osoby. Mogą skryć skutecznie także i nasze twarze. Dowiedziałem się jeszcze, że mniej więcej dzień drogi na południe leży większe miasto, w którym odbywają się targi koni. Możemy się jutro tam udać i kupić rumaki. Czy to nie jest dobry pomysł?

Hawkmoon powoli skinął głową.

— Owszem. Potrzebujemy koni.

Miasto nosiło nazwę Zorvanemi i roiło się od ludzi wszelkiego autoramentu, sprzedających oraz kupujących konie. Tuż za murami miejskimi znajdował się olbrzymi plac targowy, gdzie można było nabyć zwierzęta wszystkich maści, od rumaków czystej krwi do koni pociągowych.

Przybyli do miasta zbyt późno wieczorem, żeby dokonać zakupu, wynajęli więc pokoje w gospodzie na skraju grodu, w pobliżu targowiska, by jak najwcześniej rano kupić potrzebne im wierzchowce i ruszyć w dalszą drogę. Tu i tam spotykali niewielkie grupki żołnierzy Mrocznego Imperium, ci jednakże nie zwracali w ogóle uwagi na zakapturzonych duchownych, poruszających się w tłumie. W mieście przebywali wysłannicy z

kilku różnych monastyrów, tak więc jeszcze parę osób nie przyciągało zbyt dużej uwagi.

Zasiedli w ciepłej sali jadalnej gospody, zamówili posiłek i grzane wino, po czym zaczęli studiować zakupioną mapę.

Rozmawiali półgłosem, dyskutując na temat najdogodniejszej trasy wiodącej ku południowej Francji.

Niewiele później otworzyły się drzwi gospody i do środka wtargnęło zimne nocne powietrze. Ponad gwar rozmów i wybuchy śmiechu wybił się zachrypnięty głos człowieka, zamawiającego wino dla siebie i dla swoich towarzyszy oraz sugerującego gospodarzowi, że równie mile widziane byłyby przy stole dziewczęta.

Hawkmoon uniósł wzrok i natychmiast zaczął się mieć na baczności. Ludzie, którzy weszli do gospody, byli żołnierzami z Zakonu Odyńca – tego samego zakonu, do którego należał d'Averc. Ze swymi przysadzistymi, zakutymi w zbroje sylwetkami i w ciężkich, połączonych z maskami hełmach wyglądali w przyćmionym świetle sali dokładnie jak te właśnie zwierzęta – jak odyńce, które nauczyły się mówić i poruszać na tylnych nogach.

Właściciel gospody stał się wyraźnie nerwowy, odchrząknął kilka razy, zanim zapytał, jakie wino goście preferują.

— Mocne i w obfitości! – zakrzyknął tamten. – To samo tyczy się kobiet. Gdzie są wasze kobiety? Mam nadzieję, że są ładniejsze od waszych koni. No już, człowieku, pospiesz się. Spędziliśmy cały dzień kupując konie, by to miasto mogło jakoś prosperować. Więc zrób nam teraz grzeczność.

Żołnierze w maskach odyńców z pewnością przybyli tu, by zakupić wierzchowce dla oddziałów Mrocznego Imperium – może nawet dla tych, które dokonywały podboju Szekii, krainy

graniczącej z Karpatią.

Hawkmoon, Yisselda, Oladah i d'Averc nasunęli kaptury głęboko na twarze, pochyłili się nisko nad stołem, sącząc wino.

W sali jadalnej obsługiwały trzy dziewczki oraz dwóch mężczyzn, nie licząc gospodarza. Żołnierz z Zakonu Odyńca pochwycił jedną z przechodzących dziewcząt i przycisnął wysunięty pysk swojej maski do jej policzka.

— Daj starej świni całuska, dziewczynko! – ryknął.

Służąca szarpnęła się i próbowała uwolnić, ale on trzymał ją mocno. W całej sali jadalnej gospody zapadła cisza i zapanowało napięcie.

— Wyjdź ze mną na zewnątrz – mówił dalej przywódca Odyńców. – Czuję się jak w okresie rui.

— Och, nie. Proszę mnie puścić – zaszlochała dziewczyna. – W przyszłym tygodniu mam wziąć ślub.

— Ślub, tak? – ryknął śmiechem żołnierz. – A więc pozwól, że nauczę cię paru rzeczy, żebyś potem ty mogła nauczyć swego męża.

Dziewczyna krzyknęła i zaczęła się wyrywać. Wszyscy obecni w gospodzie zamarli w bezruchu.

— Chodź – rzekł zachrypniętym głosem żołdak. – Na zewnątrz...

— Nie – szlochała dziewczyna. – Nie wyjdę, dopóki nie jestem mężatką.

— Tylko o to ci chodzi? – zaśmiał się zamaskowany zalotnik. – A więc... ożenię się z tobą, jeśli tego pragniesz.

Odwrócił się nagle i spojrzał na cztery postacie kryjące się w cieniu.

— Tam są jacyś zakonnicy, nieprawdaż? Jeden z nich może nam udzielić ślubu. – Nim Hawkmoon i jego towarzysze pojęli, co

się dzieje, chwycił za rękę siedzącą najbliżej niego Yisseldę i poderwał ją szarpnięciem na nogi. – Udziel nam ślubu, świątobliwy ojcze... Na Magiczną Laskę! Cóż to za zakonnik z ciebie?

Kaptur zsunął się z głowy Yisseldy, ukazując wspaniałe długie włosy.

Hawkmoon zerwał się z ławy. Nie pozostało im nic innego, jak walczyć. Oladah i d'Averc poderwali się J także. Równocześnie dobyli mieczy ukrytych pod habitami i równocześnie skoczyli na zakuty w zbroje rycerzy, krzycząc do kobiet, żeby uciekały.

Żołnierze byli pijani i zaskoczeni, natomiast trzech przyjaciele działali błyskawicznie. Tylko to stanowiło o ich przewadze. Głównia Hawkmoona wbiła się pomiędzy napierśnik i osłonę szyjną przywódcy, zabijając go, zanim zdążył wyciągnąć miecz. Oladah ciął słabo osłonięte nogi drugiego, przecinając mu ścięgna pod kolanem. D'Avercowi natomiast udało się odrąbać dłoń żołnierza, który zdjął opancerzone rękawice.

Teraz zaczęła się walka na całej wolnej powierzchni sali. Mężczyźni i kobiety pospiesznie umykali po schodach, wybiegali przez drzwi, a wielu gości zgromadziło się na biegnącej powyżej galeryjce, by obserwować walkę.

Oladahn, nieprzywykły do normalnej szermierki w wąskim pomieszczeniu, wskoczył na kark swego olbrzymiego przeciwnika i trzymanym w dłoni sztyletem próbował urazić go poprzez otwór na oczy w hełmie. Granbretańczyk, nie bardzo wiedząc, jak go ściągnąć, miotał się tylko bezsilnie, jakby na wpół oślepiiony.

D'Averc walczył z szermierzem o dosyć wysokich umiejętnościach i systematycznie był spychany w kierunku schodów. Natomiast Hawkmoon desperacko bronił się przed

nacierającym żołnierzem, który wymachiwał olbrzymim toporem, a ilekroć chybił, odłupywał wielkie kawały drewna z mebli.

Hawkmoon próbował wysupłać się z długiego płaszcza krępującego ruchy, wykonując jednocześnie uniki przed świszczącym toporem. Uskoczył w bok, zaplątał się w poły habitu i runął na podłogę. Topornik chrząknął i uniósł broń do zadania ostatecznego ciosu.

. Książę w samą porę wywinął się i topór, przecinając materiał płaszcza, wbił się głęboko w deski podłogi. Hawkmoon skoczył na nogi i kiedy tamten usiłował wydobyć ostrze z twardego drewna, wielkim łukiem wymierzył cios mieczem w tył głowy topornika. Żołnierz jęknął i na wpół zamoczony padł na kolana. Hawkmoon kopniakiem zsunął jego maskę, odsłaniając czerwoną, wykrzywioną twarz, po czym pchnął w rozdziawione usta, zanurzając miecz głęboko w gardle i przecinając kręgi szyi, aż spod hełmu trysnęła krew. Książę wyciągnął z powrotem miecz, a maska żołnierza opadła z hukiem.

Tuż obok zmagął się Oladah, wisząc na przeciwniku, któremu wreszcie udało się zacisnąć dłoń na ramieniu małego człowieka i teraz próbował ściągnąć go z siebie. Książę skoczył do przodu, chwycił oburącz miecz i pchnął wprost w brzuch tamtego, przebijając zbroję, skórzany kubrak oraz wnętrzności. Żołnierz wrzasnął i padł na podłogę, zwijając się na deskach.

Teraz Oladah z Hawkmoonem razem doskoczyli do przeciwnika d'Averca, nacierając na niego jednocześnie dwoma mieczami i po chwili on także leżał martwy na podłodze.

Nie pozostało im już nic innego, jak tylko dobić żołnierza z odrąbaną dłonią, który skręcał się na podłodze pod ławą, wyjąc i starając się z powrotem przytwierdzić rękę.

Dysząc ciężko, Hawkmoon rozejrzył się po sali jadalnej gospody, szacując wyrządzoną szkodę.

— Całkiem niezła robota jak na świątobliwe osoby – rzekł. D'Averc patrzył w zamyśleniu.

— Może już najwyższy czas – odezwał się cicho – zmienić nasze przebrania na bardziej użyteczne.

— Co masz na myśli?

— Jest tu wystarczająco dużo uzbrojenia, żeby dobrać coś dla całej naszej czwórki, zwłaszcza że ja wciąż mam swoją zbroję. Posługuję się także sekretnym językiem Zakonu Odyńca. Przy odrobinie szczęścia możemy pokonać drogę przebrani za tych, których najbardziej się obawiamy, za ludzi Mrocznego Imperium. Zastanawialiśmy się przecież, jakim sposobem przedostać się przez kraje, gdzie Granbretan umocnił już swoje rządy. Chyba to właśnie będzie dobry sposób.

Hawkmoon zamyślił się głęboko. Propozycja była nieco szokująca, ale dawała realną szansę, tym bardziej że d'Averc znał wszystkie obyczaje swego zakonu.

— Tak – odparł Hawkmoon. – To może być niezły sposób. Będziemy mogli podróżować nawet przez te krainy, gdzie zgromadzone są duże siły Mrocznego Imperium, zyskując tym samym szansę szybszego dostania się do Kamargu. Bardzo dobrze, właśnie tak uczynimy.

Zaczęli ściągać części zbroi z ciał zabitych.

— Możemy być także pewni milczenia właściciela gospody i mieszkańców miasta – dodał d'Averc. – Będą chcieli zachować w tajemnicy fakt, że zostało tutaj zabitych sześciu żołnierzy Mrocznego Imperium.

Oladah przyglądał się im, rozcierając wykręconą rękę.

— Szkoda – rzekł, wzdychając. – Taki wyczyn powinien zostać

uwieczniony.

ROZDZIAŁ VIII

OBÓZ MROCNIEGO IMPERIUM

3 głębin groteskowego hełmu wydobył się przytłumiony głos Oladahna, usiłującego uwolnić się od przytłaczającego go ciężaru. – Na potomstwo Górskich Gigantów! Uduszę się na śmierć, zanim ujedziemy choćby dwa kilometry! Wszyscy czworo siedzieli w wynajętym pokoju na piętrze gospody, przymierzając zdobyte zbroje. Hawkmoonowi także cała zbroja wydawała się niezwykle niewygodna. Pomijając już fakt, że poszczególne części nie były dopasowane do jego sylwetki, napełniała go swoistym klaustrofobicznym lękiem. Jakiś czas temu nosił na sobie podobny ekwipunek, kiedy wykonując misję Meliadusa musiał się ukrywać w rynsztunku wilka. Ale zbroja odyńca była jeszcze cięższa i jeszcze bardziej niewygodna od tamtej. O wiele gorzej od nich musiała się czuć w czymś takim Yisselda. Jedyne d'Averc był przyzwyczajony do noszenia zbroi, toteż kiedy już nałożył swoją, z wyraźną przyjemnością i rozbawieniem obserwował pierwszy kontakt pozostałych z rynsztunkiem jego zakonu.

— Nic dziwnego, że jesteś tak słabowity – odezwał się do niego Hawkmoon. – Trudno sobie wyobrazić coś bardziej szkodzącego zdrowiu. Mam szczerzy zamiar zapomnieć o twoim planie.

— Przywykniecie do wszystkiego, jak tylko wyruszymy w drogę – zapewnił go d'Averc. – Trochę uciska i jest mało przewiewna, ale przekonacie się, że bez zbroi będziecie się czuć niemal nadzy.

— Ja już wolę być nagi – stwierdził Oladahna, któremu wreszcie

udało się szarpnięciem zerwać z siebie maskę łypiącego filuternie okiem odyńca i z brzękiem cisnąć ją na podłogę.

— Ostrożnie – rzekł d'Averc, grożąc mu palcem. – Nie chcesz chyba jej zniszczyć? Oladahn dołożył hełmowi jeszcze solidnego kopniaka.

Dobę później znajdowali się głęboko na terytorium Szekii. Nie mieli żadnych wątpliwości, że prowincja ta została już podbita przez Mroczne Imperium. Mijali opuszczone miasteczka i wioski, a wzdłuż wszystkich dróg napotykali ukrzyżowane ciała. W powietrze wzbijały się stada ścierwojadów, a jeszcze więcej siedziało ich na ziemi, gdzie miały sowitą ucztę. Noc była tak jasna, jakby słońce wciąż jeszcze wisiało na horyzoncie. Rozświeślały ją stosy pogrzebowe płonące w wioskach i pojedynczych zagrodach, miasteczkach, osiedlach i dużych miastach. Po całym zniszczonym kraju uwijały się z pochodniami w jednej i mieczami w drugiej ręce, wyjące i wrzeszczące niczym demony z głębin piekieł, czarne hordy wyspiarskiego Imperium Granbretanu.

Niedobitki mieszkańców ukrywały się także przed czwórką jeźdźców, przemykających w przebraniach przez ową krainę terroru, galopujących tak szybko, jak tylko to było możliwe. Nikt ich nie podejrzewał. Byli po prostu, pośród wielu innych, jeszcze jedną niewielką grupką morderców i grabieżców i ani przyjaciele ani wrogowie nie domyślali się ich prawdziwych zamiarów.

Wstawał już ranek – świt poznaczony czarnymi smugami dymów, rozjaśniony odległymi pożarami, poranek zasłanych popiołem pól, stratowanych zasiewów, połamanych kwiatów i zakrwawionych zwłok, bliźniaczo podobny do wszystkich innych poranków we wszystkich krainach pod jarzmem Granbretanu.

Po zrytej, grząskiej drodze zbliżała się w ich kierunku gromada jeźdźców zakutanych w przepaściste materie nocnych płaszczy, skrywających całe ich sylwetki wraz z zamaskowanymi twarzami. Dosiadali potężnych czarnych koni i garbili się w siodłach tak, jakby znajdowali się w drodze już od wielu dni.

— Na pewno ludzie Mrocznego Imperium – mruknął Hawkmoon, kiedy zbliżyli się nieco. – Zdaje się, że zainteresowali się nami...

Dowódca oddziału odrzucił na plecy wielki kaptur swojego płaszcza, ukazując olbrzymią maskę odyńca, jeszcze większą i bogaciej zdobioną od maski d'Averca. Ściągnął wodze czarnego rumaka, a cały oddział zatrzymał się za nim.

— Bądźcie wszyscy cicho – mruknął d'Averc, prowadząc ich wprost ku oczekującemu oddziałowi. – Ja będę mówił.

Spod maski dowódcy rozbrzmiał osobliwy ciąg parsknięć, prychnięć i pisków. Hawkmoon domyślił się, że musi to być sekretny język Zakonu Odyńców.

Zdumiał się słysząc, że podobne dźwięki zaczynają wydobywać się z gardła d'Averca. Rozmawiali w ten sposób przez jakiś czas, przy czym d'Averc pokazywał ręką na drogę za siebie, natomiast tamten kiwał pyskiem swej maski w przeciwnym kierunku. Wreszcie dowódca popędził swego konia i cały oddział, wyminąwszy zdenerwowaną trójkę jeźdźców, pojechał dalej.

— Czego on chciał? – zapytał Hawkmoon.

— Chciał wiedzieć, czy nie widzieliśmy jakichś zwierząt hodowlanych. To był oddział zaopatrzeniowy, poszukujący żywności dla ludzi znajdujących się w obozowisku przed nami.

— Cóż to za obóz?

— Tamten twierdził, że wielki, oddalony o jakieś siedem

kilometrów stąd. Szykują się do ataku na jedno z ostatnich, wciąż jeszcze stawiających opór miast, na Bradislę. Znam to miasto... wspaniała architektura.

— A więc musimy już być blisko Osterlandii – powiedziała Yisselda. – Za Osterlandią leży Italia, a za Italią Prowansja... nasz dom...

— To prawda – rzekł d'Averc. – Twoja znajomość geografii jest wyśmienita. Ale jeszcze nie jesteśmy w domu, najniebezpieczniejsza część wyprawy dopiero przed nami.

— Co z tym obozem? – zapytał Oladah. – Ominiemy go, czy będziemy próbowali przez niego przejechać?

— To olbrzymi obóz – stwierdził d'Averc. – Chyba najwięcej szans będziemy mieli, jeśli przejedziemy przez sam środek, a może nawet spędzimy w nim noc i spróbujemy dowiedzieć się czegokolwiek o planach Mrocznego Imperium. Chociażby tego, czy dotarły do nich jakieś informacje o naszej tutaj obecności.

— Nie jestem pewien, czy to nie będzie zbyt niebezpieczne – rozległ się z głębin hełmu przytłumiony głos pełnego wątpliwości Hawkmoona. – Lecz gdybyśmy próbowali ich ominąć, moglibyśmy wzbudzić podejrzenia. Dobrze, spróbujemy przedostać się przez obóz.

— Czy nie będziemy musieli zdejmować naszych masek, Dorianie? – zapytała Yisselda. [!]

— Nie obawiaj się tego – odpowiedział jej d'Averc. – Rodowici Granbretańczycy często nawet sypiają w maskach, wzdragając się przed odsłonięciem twarzy.

Hawkmoon wyczuł cień zmęczenia w głosie Yisseldy i zdał sobie sprawę, że bardzo jest jej potrzebny odpoczynek. A jedyną nadzieję na to dawał granbretański obóz.

Spodziewali się, że będzie to wielkie obozowisko, nie

przypuszczali jednak, że aż tak olbrzymie. W oddali majaczyły mury Bradisli i nawet stąd widoczne były jej iglice i fasady.

— To naprawdę piękne miasto – rzekł d'Averc, wzdychając. Po chwili pokręcił głową i dodał: – Jaka szkoda, że jutro musi paść. Byliby głupcami, gdyby opierali się takiej armii.

— Obóz jest nieprawdopodobnie wielki – odezwał się Oladah. – Czy trzeba było zgromadzić aż tyle wojska, żeby podbić to miasto?

— Mroczne Imperium chce dokonywać podbojów jak najszybciej – odpowiedział mu Hawkmoon. – Widziałem jeszcze większe armie niż ta, gromadzące się przeciwko mniejszym miastom. Ale przy tak rozległym obozie trudno o doskonałą organizację. Sądzę, że może rzeczywiście uda nam się w nim ukryć.

Wokół stały płócienne wiaty, namioty, a nawet pobudowane tu i ówdzie baraki, pomiędzy którymi płonęły ogniska pod wszelkiego typu kotłami i rusztami, gdzie szykowano różnorakie pożywienie, gdzieniegdzie widniały zagrody dla koni, wołów i mułów. Niewolnicy holowali poprzez błocko wielkie maszyny wojenne, popędzani przez ludzi z Zakonu Mrówki. Flagi łopotały na wietrze, a tu i tam tkwiły wetknięte w ziemię proporce kilkudziesięciu wojskowych zakonów. Z oddali przypominało to jakieś pierwotne zbiorowisko zwierząt. Tu szereg Wilków posuwał się po wydeptanym placu, gdzie indziej grupa Kretów (jednego z zakonów inżynieryjnych) krzątała się dokoła ogniska kuchennego. Wszędzie pełno było Os, Kruków, Łasic, Szczurów, Lisów, Tygrysów, Odyńców, Much, Psów, Borsuków, Kozłów, Rosomaków, Wydr, zdarzały się nawet Modliszki – kilku wybranych strażników, których Wielkim Konstablem był sam Król-Imperator Huon.

Hawkmoon rozpoznał kilka sztandarów – Adaza Prompa, grubego Wielkiego Konstabla Zakonu Psa; ozdobną flagę Brenala Farnu, świadczącą, iż jest on baronem Granbretanu i Wielkim Konstblem Szczurów; łopoczący sztandar Shenegara Trotta, hrabiego Sussexu. Hawkmoon domyślił się, że musi to być już ostatnie miasto opierające się w tej kampanii i dlatego właśnie zgromadzona tu armia była tak wielka, i zaszczycało ją tak wielu dowódców najwyższej rangi. Dostrzegł nawet samego Shenegara Trotta, niesionego w lektyce w stronę namiotu. Jego strój był gęsto przetykany klejnotami, natomiast jasna, srebrzysta maska misternie parodiowała ludzką twarz.

Shenegar Trott wyglądał na żyjącego i myślącego w spowolnionym tempie arystokratę, wyniszczonego przez hulaszczę życie, ale Hawkmoon widział go w bitwie o Fort Weizna nad Renem, kiedy tamten niemal całkowicie skrył się wraz z koniem pod wodą, galopując po dnie rzeki, by następnie pojawić się na flance wroga. To samo tyczyło się niemal wszystkich szlachetnie urodzonych Granbretańczyków. Z pozoru wydawali się powolni, leniwi, folgujący sobie do woli, a jednak wykazywali się siłą i chyba nawet jeszcze większą odwagą od zwierząt, za jakie chcieli uchodzić. Shenegar Trott był także tym człowiekiem, który oderwał nogę wrzeszczącemu dziecku i zjadł jej kawałek na oczach zmuszonej do przyglądania się temu matki.

— Dobrze – rzekł Hawkmoon, nabierając głęboko powietrza. – Jedziemy prosto i poszukamy noclegu tak blisko przeciwnego brzegu obozu, jak tylko to możliwe. Mam nadzieję, że uda nam się wyslizgnąć z samego rana.

Pojechali wolno w poprzek obozowiska. Od czasu do czasu jakiś żołnierz Zakonu Odyńca przesyłał im pozdrowienia i

d'Averc zmuszony był na nie odpowiadać. Wreszcie dotarli do przeciwnego skraju obozu i zsiadli z koni. Mieli ze sobą ekwipunek skradziony ludziom zabitym w tawernie, zaczęli więc rozbijać namiot, nie wzbudzając większego zainteresowania, jako że nie nosili żadnych szczególnych insygniów. D'Averc przyglądał się pracy pozostałej trójki. Wytłumaczył im, że to nie uchodzi, by ktoś w jego randze widziany był razem ze swoimi ludźmi jak rozkłada obóz.

Zbliżyła się do nich grupa inżynierów z Zakonu Borsuka, obchodząca całe obozowisko z wózkiem pełnym stylisk toporów, rękojeści mieczy, grotów strzał, ostrzy włóczni i temu podobnych części. Mieli ze sobą także maszynę do ostrzenia.

— Czy możemy wykonać jakąś pracę dla was, bracia? – mruknął jeden z nich, kiedy wózek zatrzymał się przy niewielkim namiocie.

Hawkmoon śmiało wyciągnął swój stępiony miecz.

— Trzeba go naostrzyć.

— A ja straciłem łuk i kołczan ze strzałami – wtrącił Oladah, spostrzegłszy na dnie wózka naręcze łuków.

— A co z waszym kolegą? – zapytał człowiek w bór- j suczej masce. – On w ogóle nie ma miecza – dodał, wskazując na Yisseldę.

— Więc daj mu jakiś, głupcze – warknął d'Averc jak najbardziej władczym tonem, na dźwięk którego tamten natychmiast skoczył po miecz.

Kiedy byli już odpowiednio wyekwipowani i dysponowali świeżo naostrzoną bronią, Hawkmoon odzyskał dawną pewność siebie. Odczuwał satysfakcję z powodu udanego podstępu.

Tylko Yisselda wydawała się przygnębiona. Z trudem dźwigała olbrzymi miecz, który musiała przytwierdzić do pasa.

— Jeszcze kilka kilogramów i nogi ugną się pode mną – powiedziała.

— Lepiej wejdź do namiotu – poradził Hawkmoon. – Tam przynajmniej będziesz mogła zdjąć z siebie część ekwipunku.

D'Averc, który przyglądał się, jak Hawkmoon i Oladahn rozpalają ognisko, sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

— Co ci doskwiera, d'Averc? – zapytał Hawkmoon, unosząc w górę głowę i spoglądając poprzez otwory hełmu. – Usiądź. Jedzenie niedługo będzie gotowe.

— Coś wisi w powietrzu – mruknął d'Averc. – Wcale nie jestem zadowolony z tego, że tak nic nam nie zagraża.

— Dlaczego? Czyżbyś przypuszczał, że wzbudziliśmy jakieś podejrzenia ludzi z Zakonu Borsuka?

— Nie o to chodzi. – D'Averc rozejrzał się po obozie. Niebo pociemniało już przed wieczorem i żołnierze zaczęli powoli znikać wewnątrz namiotów; w obozie panował znacznie mniejszy ruch. Na murach odległego miasta widać było żołnierzy przy blankach, gotowych stawić czoło armii, której jak do tej pory, z wyjątkiem Kamargu, nie oparł się nikt.

— Nie o to chodzi – powtórzył d'Averc, jakby sam do siebie. – Ale czułbym się znacznie lepiej, gdyby...

— Gdyby co?

— Myślę, że przejdę się trochę po obozie i spróbuję podsłuchać kilka plotek.

— Czy to rozsądne? Poza tym, jeżeli podejdziesz tu ktoś z Zakonu Odyńca, nie będziemy potrafili rozmawiać z nim w sekretnym języku.

— Nie odejdę na długo. Chowajcie się do namiotu tak szybko, jak tylko będziecie mogli. Hawkmoon chciał zatrzymać d'Averca, nie wiedział jednak, jak to zrobić, nie ściągając na siebie

niepotrzebnie uwagi. Przyglądał się więc jedynie jego plecom, kiedy ten ruszał w głąb obozowiska.

Niemal w tej samej chwili rozległ się za nim głos:

— Macie tu ładnie wyglądający kawałek kiełbasy, bracia. Hawkmoon odwrócił się. Przed nim stał żołnierz w masce Zakonu Wilka.

— Tak – odparł szybko Oladah. – Owszem. Czy chciałbyś kawałek... bracie? – Odciął gruby plaster i wręczył go człowiekowi w wilczej masce. Żołnierz odwrócił się, uniósł maskę, wepchnął kiełbasę do ust, po czym szybko opuścił maskę i odwrócił się z powrotem w ich stronę.

— Dziękuję – rzekł. – Podróżowałem wiele dni, nie mając prawie nic w ustach. Nasz dowódca gnał nas bez wytchnienia. Dopiero co przybyliśmy, a jechaliśmy szybciej niż uciekający Francuz – zaśmiał się. – Prosto z Prowansji.

— Z Prowansji? – zapytał mimowolnie Hawkmoon.

— Tak. Byliście tam?

— Raz lub dwa. Czy pokonaliśmy wreszcie Kamarg?

— Prawie. Nasz dowódca uważa, że to już tylko sprawa dni. Są pozbawieni dowódcy i kończą im się zapasy. Ta ich przeklęta broń zabiła miliony spośród nas, ale niewielu już polegnie, zanim rozniesiemy ich na kopytach.

— Co stało się z hrabią Brassem, ich dowódcą?

— Słyszałem, że nie żyje. Albo jest umierający. Ich morale spada z dnia na dzień. Kiedy tam wrócimy, myślę, że będzie po wszystkim. Bardzo bym się ucieszył. Tkwiałem tam od wielu miesięcy. To pierwsza zmiana otoczenia od czasu, kiedy zaczęliśmy tę przeklętą kampanię. Dziękuję za kiełbasę, bracia. Dobrego zabijania jutro!

Hawkmoon przyglądał się, jak żołnierz w wilczej masce

odchodzi w noc, rozświetloną teraz przez tysiące ognisk. Westchnął i wszedł do namiotu.

— Słyszałaś? – zapytał Yisseldę.

— Słyszałam. – Dziewczyna zdjęła hełm i nagolenniki i teraz rozczesywała włosy. – Wygląda na to, że mój ojciec wciąż żyje – powiedziała tak niezwykle opanowanym głosem, że Hawkmoon, mimo ciemności zalegającej wewnątrz namiotu, dojrzał łzy w jej oczach.

— Nie bój się, Yisseldo – rzekł, ujmując jej twarz w dłonie. – Jeszcze tylko kilka dni i będziemy znów u jego boku.

— O ile on dożyje tej chwili...

— Czekaj na nas. Będzie żył.

Nieco później Hawkmoon wyszedł na zewnątrz. Oladahm siedział przy dogasającym ognisku, oplótłszy ramionami kolana.

— D'Averc długo nie wraca – odezwał się.

— Owszem – odparł Hawkmoon zatopiony w myślach, spoglądając na odległe mury miasta. – Czyżby mu się coś stało? Niepokoję się.

— Bardzo prawdopodobne, że nas zostawił... – Oladahm urwał nagle, kiedy z ciemności wychynęło kilka postaci.

Hawkmoonowi serce skoczyło do gardła, dostrzegł bowiem, że są to żołnierze w maskach odyńców.

— Do namiotu, szybko – mruknął do Oladahna.

Ale było już za późno. Jeden z nich przemówił do Hawkmoona, zwracając się do niego ciągiem dźwięków sekretnego języka zakonu. Książę skinął głową i uniósł w górę dłoń, jak gdyby odpowiadał na pozdrowienie, mając nadzieję, że to wystarczy. Ale ton tamtego stawał się coraz bardziej natarczywy. Hawkmoon próbował wejść do namiotu, lecz żołnierz chwycił go za ramię.

Kiedy ponownie do niego przemówił, Hawkmoon zakasłał, udając chorobę i wskazał dłonią na swoje gardło. Lecz żołnierz niespodziewanie przemówił normalnym językiem:

— Pytałem cię, bracie, czy napijesz się z nami. Zdejmij tę maskę!

Hawkmoon wiedział, że żaden członek któregośkolwiek zakonu nie ma prawa wymagać od niego, żeby zdjął maskę, chyba że żywi podejrzenia co do jego osoby. Zrobił krok do tyłu i wyciągnął miecz.;

— Żałuję, ale nie mam ochoty napić się z tobą, bracie. Za to z przyjemnością będę z tobą walczył.

Oladahń skoczył na nogi i stanął u jego boku, dobywając miecza.

— Kim jesteście? – warknął napastnik. – Dlaczego macie na sobie zbroje naszego zakonu? Co się za tym kryje?

Książę zsunął hełm na tył głowy, odkrywając pobladłą twarz i klejnot tkwiący pośrodku czoła.

— Jestem Hawkmoon – rzekł po prostu, po czym skoczył w sam środek gromady zaskoczonych żołnierzy.

We dwójkę udało im się pozbawić życia pięciu ludzi Mrocznego Imperium, zanim odgłosy walki zwabiły innych żołnierzy, którzy nadbiegli z wszystkich stron obozu. Galopem nadciągali jeźdźcy. Wszędzie dokoła Hawkmoona rozlegały się okrzyki i gwar zmieszanych głosów. Jego ramię unosiło się i spadało na kłębiący się w ciemnościach tłum, ale szybko pochwyciło go kilkanaście par rąk i pociągnęło na ziemię. Dostał silny cios drzewcem włóczni w tył głowy, po czym padł twarzą w błoto obozowiska.

Na wpół ogłuszonego podniesiono z ziemi i pociągnięto przed oblicze wysokiej, zakutej w czarną zbroję postaci, tkwiącej

spokojnie na koniu w pewnej odległości od zbiegowiska. Kiedy zerwano mu z twarzy maskę, wbił wzrok w człowieka dosiadającego konia.

— Ach, cóż za miłe spotkanie, książę Koln – rozległ się głęboki, dźwięczny głos z głębin hełmu; głos przesiąknięty złem i niechęcią do innych; głos, który Hawkmoon rozpoznał, chociaż sam nie mógł uwierzyć, że to prawda.

— A więc moja długa podróż nie poszła na marne – rzekł jeździec, zwracając się do swego towarzysza, także dosiadającego konia.

— Bardzo się cieszę, mój panie – odparł tamten. – Wierzę, że zrehabilitowałem się teraz w oczach Króla-Imperatora?

Hawkmoon błyskawicznie wykręcił głowę i spojrzał na drugiego jeźdźca. Jego oczy zapłonęły, kiedy rozpoznał ozdobną maskę d'Averca.

— Wydałeś nas?! – krzyknął zachrypniętym głosem. – Jeszcze jeden zdrajca! Czy wszyscy ludzie w otoczeniu Hawkmoona muszą okazywać się zdrajcami?!

Próbował się wyrwać, by dosięgnąć gołymi dłońmi d'Averca, ale żołnierze pochwycili go mocniej.

D'Averc zaśmiał się.

— Jesteś naiwny, książę Dorianie... – zaniósł się kaszlem.

— Macie pozostałych? – zapytał wysoki jeździec. – Dziewczynę i tego małego zwierzoczłeka?

— Tak, wasza ekscelencjo – odparł jeden z żołnierzy.

— Zabierzcie ich do mojego namiotu. Mam zamiar wy badać ich dokładniej. Ten dzień przyniósł mi wiele satysfakcji.

ROZDZIAŁ IX

PODRÓŻ NA POŁUDNIE

Zbiegało się na burzę, kiedy Hawkmoona, Oladahna i Yisseldę wleczono poprzez błoto i nieczystości obozowiska na oczach zaciekawionych żołnierzy, wśród gwaru i zamieszania, w kierunku łopoczącej na nasilającym się wietrze olbrzymiej chorągwi. Błyskawica rozcięła nagle poszarpanym zygzakiem niebo, grzmot zamruczał w oddali, po czym eksplodował z całą siłą. Pojawiły się zwiastujące bliską nawałnicę liczne błyskawice, oświetlając scenerię przed nimi. Hawkmoon jęknął tylko, kiedy rozpoznał barwy na chorągwi, próbował przekazać coś Oladahnowi i Yisseldzie, ale szybko został wciągnięty do obszernego pawilonu, gdzie na rzeźbionym krześle zasiadał zamaskowany rycerz, a obok niego stał d'Averc. Mężczyzna, który siedział, miał na sobie maskę Zakonu Wilka. Po chorągwi można było poznać, iż jest to Wielki Konstabl Zakonu, jeden z najznamienitszych szlachciców w całym Granbretanie, Pierwszy Naczelnik Armii Mrocznego Imperium pod rządami Króla-Imperatora Huona, baron Kroiden – człowiek, którego Hawkmoon uważał za martwego; wręcz był pewien, że własnoręcznie go zabił. – Baron Meliadus! – rzucił. – A więc nie zginąłeś pod Haniadanem.

— Nie, nie zginąłem, Hawkmoonie, chociaż bardzo dotkliwie mnie poraniłeś. Udało mi się uciec z pola bitwy. Książę uśmiechnął się krzywo.

— Za to niewielu twoim ludziom się to udało. Pokonaliśmy

was, rozbiliśmy twą armię.

Meliadus zwrócił zdobioną wilczą maskę w kierunku stojącego nie opodal kapitana.

— Przynieście łańcuchy. Wiele łańcuchów, mocnych i ciężkich. Skrępujcie nimi te psy, skujcie je. Nie chcę żadnych zamków, które można by było wyłamać. Tym razem muszę mieć pewność, że dotrą do Granbretanu.

Powstał z krzesła i pochylił głowę, by spojrzeć przez otwory swego hełmu wprost w twarz Hawkmoona.

— Wiele dyskutowaliśmy o tobie na dworze Króla-Imperatora Huona. Przygotowaliśmy zupełnie wyjątkowy, szczegółowy, wspaniały plan rozprawienia się z tobą, zdrajco. Będziesz umierał cały rok albo i dwa, a każda chwila przyniesie ci agonię twojego umysłu, ducha i ciała. Zmarnotrawiliśmy na ciebie, Hawkmoonie, wiele naszej pomysłowości.

Odstąpił krok w tył, a następnie wyciągnął osłoniętą czarną rękawicą dłoń i ujął Yisseldę pod brodę, zaglądając w jej wykrzywioną nienawiścią twarz. Odwróciła szybko głowę, a w jej oczach pojawił się wyraz wściekłości i desperacji.

— A co się tyczy ciebie, proponowałem ci wszystkie honory należne mojej żonie. Teraz nie będzie żadnych honorów, a mężem twoim będę w pewnym sensie do czasu, aż się tobą znudzę albo aż zniszczę twe ciało.

Wilcza maska przesunęła się powoli w stronę Oladahna.

— A co do tego nieludzkiego stworzenia, bezczelnego na tyle, żeby poruszać się na dwóch nogach, podczas gdy powinno pełzać i piszczeć jak zwierzę, którym faktycznie jest, zostanie poddane treningowi, by zachowywało się jak na zwierzę przystało...

Oladahna splunął w zdobioną klejnotami maskę.

— Będę miał w tobie wspaniały wzór do naśladowania –

powiedział.

Meliadus odwrócił się, zebrał poły płaszcza i ociężale opadł z powrotem na krzesło.

— Zniosę wszystko do czasu, aż staniemy przed kulą tronową – powiedział, choć jego głos zabrzmiał trochę nerwowo. – Byłem cierpliwy i mam zamiar pozostać cierpliwy jeszcze przez kilka dni. O pierwszym brzasku wyruszymy do Granbretanu. Ale pojedziemy nieco okrężną drogą, specjalnie po to, byście mogli stać się świadkami ostatecznej rozprawy z Kamargiem. Wiecie o tym, że spędziłem tam wiele miesięcy przyglądając się, jak każdego dnia umierają ludzie, jak jedna po drugiej padają wieże. Niewiele ich już zostało. Poprosiłem, by zaczekano z ostatecznym atakiem na mój powrót. Myślę, że chcielibyście zobaczyć swoją ojczyznę... zniewoloną – zaśmiał się, po czym pochylił głowę osłoniętą groteskową maską na ramię i ponownie popatrzył na nich. – Ach! Są już łańcuchy.

Do pawilonu weszli członkowie Zakonu Borsuka, niosąc olbrzymie żelazne łańcuchy, młoty i nity. Hawkmoona, Yisseldę i Oladahna przeszył dreszcz, kiedy żołnierze zaczęli ich pętać, wkrótce też musieli położyć się na ziemi pod ciężarem żelaznych łańcuchów. Rozgrzane do czerwoności nity wbito młotami na swoje miejsca i Hawkmoon zdał sobie sprawę, że żadna ludzka istota nie może łudzić się nadzieją uwolnienia z takich więzów. Kiedy prace zostały zakończone, baron Meliadus podszedł i popatrzył w dół na niego.

— Udamy się łądem do Kamargu, a stamtąd do Bordeaux, gdzie będzie oczekiwał na nas statek. Żałuje, ale nie mogę zaoferować wam latającej maszyny, ponieważ większość z nich równa Kamarg z ziemią.

Hawkmoon zamknął oczy, ponieważ było to jedyne, co mógł

uczynić, by okazać swemu ciemieżycielowi pogardę.

Następnego ranka, nie dawszy im ani odrobiny pożywienia, umieszczono całą trójkę w odkrytym powozie i karawana barona Meliadusa pod silną eskortą wyruszyła w drogę. Od czasu do czasu Hawkmoon dostrzegał kątem oka swego wroga, podążającego na czele kolumny z Huillamem d'Avercem u boku.

Wciąż utrzymywała się burzowa nieprzyjemna pogoda i kilka ciężkich kropli deszczu spadło na twarz i oczy Hawkmoona. Był tak mocno skrępowany, że ledwo udało mu się potrząsnąć głową, by strząsnąć je z siebie.

Powóz podskakiwał na wybojach i miotał się na boki, a widoczne w oddali zastępy Mrocznego Imperium maszerowały na Kamarg.

Hawkmoon pomyślał, że został zdradzony ze wszystkich możliwych stron. Zaufał Rycerzowi w Czerni i Złocie, tracąc w ten sposób cenne sakwy; zaufał d'Avercowi, a ten oddał go w ręce Meliadusa. Westchnął ciężko, nie będąc pewien, czy nawet Oladah nie zdradzi go przy jakiejś sposobności...

Dotarło do niego, że ponownie pogrąża się niemal z rozkoszą w tym stanie, w jakim znajdował się już kilka miesięcy temu, po schwytaniu i uwięzieniu go przez Granbretańczyków, kiedy to dowodził w Germanii armią przeciwko baronowi Meliadusowi. Na jego twarzy zastygł dziwny grymas, oczy zmętniały, a myśli odpłynęły w dal.

Czasami Yisselda odzywała się do niego, odpowiadał jej z wysiłkiem, nie mając dla niej żadnych słów pociechy, wiedział bowiem, że nic nie będzie w stanie jej pocieszyć. Czasami Oladah próbował rzucić jakąś żartobliwą uwagę, ale nie otrzymywał odpowiedzi i w końcu on również pogrążył się w milczeniu. Tylko kiedy od czasu do czasu wtykano im do ust

pożywienie, zdradzali jakieś oznaki życia.

Mijał dzień za dniem, a karawana posuwała się bezustannie na południe, w kierunku Kamargu.

Od miesięcy wszyscy cieszyli się myślą o powrocie do domu, ale teraz oczekiwali na to bez cienia radości. Hawkmoon zdawał sobie sprawę, że zawiódł pokładane w nim nadzieje, zawiódł w misji ocalenia Kamargu i przepełniła go pogarda dla samego siebie.

Przemierzali Italię, gdy pewnego dnia baron Meliadus zawołał:

— Już za kilka dni dotrzemy do Kamargu! Właśnie przekraczamy granicę Francji! – i zaczął się głośno śmiać.

ROZDZIAŁ X

UPADEK KAMARGU

Posadźcie ich tak, żeby mogli widzieć – rozkazał Meliadus. Odchylił się do tyłu na grzbiecie konia, zaglądając do wnętrza powozu. – Postawcie ich na nogi – rzekł do zalewających się potem ludzi, usiłujących dźwignąć trzy ciała, wciąż jeszcze zakute w zbroje, obciążone dodatkowo wielką masą skuwających je łańcuchów.

— Nie wyglądają najlepiej – dodał. – A ja uważałem ich za tak twarde dusze!

Zbliżył się d'Averc i zatrzymał obok barona Meliadusa, pokaszujący i zgięty w siodle.

— A ty ciągle jesteś w słabej formie, d'Averc. Czy mój aptekarz zrobił dla ciebie miksturę, o którą prosiłeś?

— Zrobił, lordzie baronie – odparł słabym głosem d'Averc. – Ale niewiele mi to pomogło.

— Powinno pomóc, przecież sam dałeś mu przepis na tę mieszankę ziół. – Zwrócił z powrotem swoją uwagę ku trzem więźniom. – A więc zatrzymaliśmy się na tym wzgórzu, byście mogli popatrzeć na waszą ojczyznę.

Hawkmoon zamrugał, oślepiiony południowym słońcem, rozpoznając trzęsawiska ukochanego Kamargu, połyskujące aż po sam horyzont.

Znacznie bliżej dostrzegł linię olbrzymich, posępnych wież strażniczych, stanowiących o mocy Kamargu, wyposażonych w dziwne rodzaje broni o niesłychanej sile, których sekrety znane

były jedynie hrabiemu Brassowi. Jeszcze bliżej widniało obozowisko czarnej masy zebranych sił Mrocznego Imperium, przypominające z tej odległości milionowe zastępy mrówek gotowych do natarcia.

— Och! – jęknęła Yisselda. – Oni nie wytrzymają ataku tak wielkiej liczby wojska!

— Bardzo inteligentna uwaga, moja droga – powiedział baron Meliadus. – Masz rację.

Zatrzymali się całą grupą na stokach wzgórza, opadających w kotlinkę, w której stały zmasowane siły Granbretanu. Hawkmoon widział równe szeregi piechoty, kawalerii i inżynierów, niezwykłej wielkości maszyny wojenne, ogromne działa ogniste oraz przesuwane się po niebie skrzydłoloty, tak liczne, że kiedy przelatywały nad głowami obserwatorów, ich kształty niemal całkowicie przesłoniły słońce.

Przeciwno spokojnemu Kamargowi rzucone zostały wszelkie rodzaje metali: spiż i żelazo, brąz i stal, twarde stopy, zdolne wytrzymać uderzenia ognistych lanc, złoto, srebro, platyna i ołów. Sępy maszerowały obok Żab, Konie obok Kretów; były tam Wilki i Odyńce, Rogacze i Żbiki, Orły i Kruki, Borsuki i Łasice. W wilgotnym, ciepłym powietrzu powiewały jaskrawe jedwabne chorągwie czterech dziesiątków szlachciców z różnych zakątków Granbretanu. Uderzały w oczy wszystkie odcienie barw żółtych i purpurowych, czarnych i czerwonych, błękitnych i zielonych oraz połyskliwego różu. Promienie słońca odbijały się w klejnotach setek tysięcy oczu i wywoływały złowróżbne, ponure refleksy.

— Cha, cha! – zaśmiał się baron Meliadus. – Ja dowodzę tą armią. Gdyby hrabia Brass nie odrzucił w swoim czasie propozycji współpracy z nami, wszyscy teraz bylibyście

szanowanymi sprzymierzeńcami Mrocznego Imperium Granbretanu. Ale ponieważ sprzeciwiłście się nam, zostaniecie ukarani. Sądziłście, że wasza broń, wasze wieże i brawura waszych ludzi wystarczą, by stawić czoło potędze Granbretanu. Nie wystarczą, Dorianie Hawkmoonie. Nie wystarczą! Popatrzcie na armię, którą zebrałem, by wypełnić mą zemstę. Popatrz, Hawkmoonie! Pomyśl, jakim byłeś głupcem, ty i cała reszta! – Odrzucił w tył głowę i przez dłuższy czas śmiał się głośno. – Zadrzyj, Hawkmoonie! I ty także, Yisseldo! Zadrzyjcie, tak jak drżą teraz wasi ludzie w wieżach. Oni wiedzą, że wieże muszą paść, że cały Kamarg zamieni się w popioły i błoto jeszcze przed jutrzejszym zachodem słońca. Zniszczę Kamarg, choćby miało to oznaczać poświęcenie całej mojej armii!

Hawkmoon i Yisselda rzeczywiście zadrżeli, chociaż powodował nimi nie strach, ale głęboki żal z powodu obrazu zniszczonego Kamargu, jaki roztoczył przed nimi obłąkany baron Meliadus.

— Hrabia Brass nie żyje – dodał Meliadus, zawracając konia i ruszając w stronę czoła kompanii. – A dzisiaj zginie Kamarg! – Machnął ręką. – Naprzód! Niech zobaczą tę rzeź!

Wóz potoczył się w dół zbocza, w kierunku kotliny, podskakując na wybojach, rzucając zgromadzonymi na nim więźniami o napiętych twarzach i z wyrazem cierpienia w oczach.

D'Averc jechał obok powozu, pokasłując ostentacyjnie.

— Lekarstwa barona nie są takie złe – odezwał się po jakimś czasie. – Powinny wyleczyć z chorób wszystkich jego ludzi.

Rzekłszy to, pognał konia galopem, by dołączyć do czoła kolumny i pojechać obok swego pana. Hawkmoon dostrzegł dziwne promienie strzelające z wież Kamargu i spadające na

maszerujące w ich stronę oddziały. Tam, gdzie trafił taki pocisk, pozostawała po szeregach plama dymiącej ziemi. Zauważył, że kawalerzyści Kamargu przesuwiają się, zajmując swoje pozycje – skąpa linia przerzedzonych gwardzistów, z ognistymi lancami na ramionach, dosiadających rogatych koni. Ujrzał zwyczajnych wieśniaków zebranych z wszystkich osiedli, uzbrojonych w miecze i topory, posuwających się w ślad za kawalerią. Nie widział jednak hrabiego Brassa, nie widział von Villacha, nie dostrzegął także filozofa Bowgentle'a. Ludzie z Kamargu maszerowali do tej ostatniej bitwy bez dowódcy.

Do jego uszu dotarły ich stłumione okrzyki bojowe, przebijające się przez wycie i ryk napastników, trzaski dział i syki ognistych lanc. Usłyszał brzęk zbroi i dzwonięcie metalu. Poczł przemieszane zapachy zwierząt i ludzi, maszerujących błotnistą kotliną. Nagle zauważył, że czarne hordy zatrzymały się, kiedy wyrosła przed nimi ściana ognia, ponad którą przemykały szkarłatne flamingi. Gwardziści natychmiast skierowali swe ogniste lance w stronę brzęczących w powietrzu skrzydłolotów.

Hawkmoon zapragnął nagle być wolny, poczuć miecz w dłoni i konia pod sobą, by wspomóc ludzi z Kamargu, którzy nawet pozbawieni dowództwa wciąż mieli szansę przeciwstawić się Mrocznemu Imperium, chociaż liczebnie stanowili zaledwie ułamek sił wroga. Szarpnął się w łańcuchach i zaklął głośno, jednocześnie opanowany furią i sfrustrowany.

Nadszedł wieczór, a bitwa toczyła się nadal. Hawkmoon ujrzał, jak starożytną czarną wieżę dosięga milion płomieni z działa Mrocznego Imperium i ta zaczyna się chwiać, chylić na bok, aż wreszcie rozpada się z hukiem w jednej chwili zmieniając w stertę gruzów. Na ten widok czarne hordy poczęły wiwatować.

Zapadła noc, ale walki nie ustały. Żar bijący z pola bitwy dosięgnął nawet trójki na wozie, pokrywając ich twarze kropelkami potu. Dokoła nich siedzieli strażnicy w wilczych maskach, śmiejąc się i rozmawiając, pewni zwycięstwa. Ich pan pogalopował na koniu w kierunku najliczniejszego zgrupowania swoich oddziałów, żeby dokładniej obserwować przebieg bitwy, wyciągnęli więc bukłak z winem, z którego sterczały długie słomki, tak by mogli sączyć trunek poprzez szczeliny w maskach. Po pewnym czasie rozmowy i śmiechy zaczęły cichnąć aż w końcu, co było dość dziwne, wszyscy zapadli w sen.

Oladah n wskazał na nich.

— Czujne Wilki nigdy nie śpią tak mocno. Muszą być bardzo pewni siebie. Hawkmoon westchnął.

— Owszem, ale my nie wyciągniemy z tego żadnych korzyści. Te przekłete łańcuchy są zakute tak mocno, że nie ma co się łudzić nadzieją uwolnienia z nich.

— A cóż to? – rozległ się głos d'Averca. – Ani za grosz optymizmu, Hawkmoonie? Wręcz trudno mi w to uwierzyć!

— Precz stąd! – odezwał się książę, kiedy sylwetka tamtego wyłoniła się z ciemności i d'Averc przystanął obok powozu. – Idź z powrotem lizać buty swojego pana!

— Przyniosłem wam coś – powiedział d'Averc aż boleśnie ironicznym tonem. – Zobaczymy, czy się wam przyda. – Pokazał leżący na jego dłoni masywny przedmiot. – Poza tym to właśnie moja mikstura uspiła strażników.

Oczy Hawkmoona zwęziły się.

— Co tam trzymasz w ręku?

— Rarytas, który znalazłem na polu bitwy. Sądzę, że należał do któregoś z wyższych dowódców, ponieważ rzadko już obecnie spotyka się takie cacka. To rodzaj ognistej lancy, na tyle jednak

małej, że można ją obsługiwać jedną dłonią.

— Słyszałem o czymś takim – skinął głową Hawkmoon. – Ale w jaki sposób może się nam przydać? Jestem skuty łańcuchami, jak sam widzisz.

— Owszem, daje się to zauważyć. Możliwe jednak, że jeśli zdecydujesz się na pewne ryzyko, uda mi się was uwolnić.

— Czy to jakaś nowa sztuczka, którą uknuliście sobie razem z Meliadusem, d'Averc?

— Obrażasz mnie, Hawkmoonie. Dlaczego tak właśnie uważasz?

— Ponieważ zdradziłeś nas i oddałeś w ręce Meliadusa. Musiałeś przygotować tę pułapkę o wiele wcześniej, kiedy rozmawiałeś z żołnierzami z Zakonu Wilka we wsi w Kar-patii. Wysłałeś ich, żeby odnaleźli swego pana, a sam zaaranżowałeś nasz pobyt w obozie, gdzie bez wielkich kłopotów zostaliśmy pojmani.

— Cóż, to brzmi prawdopodobnie – przyznał d'A-verc. – Chociaż mógłbyś na to spojrzeć z innej strony. Żołnierze w wilczych maskach rozpoznali mnie, a potem jechali naszym śladem, powiadamiając jednocześnie swego: pana. Usłyszałem w obozie plotki, że Meliadus przyjechał tam specjalnie po to, by cię odnaleźć. Zdecydowałem więc powiedzieć Meliadusowi, że wciągnąłem was w tę pułapkę, żeby przynajmniej jeden z nas pozostał na wolności – d'Averc umilkł na chwilę. – Jak to brzmi?

— Nieprzekonująco.

— No cóż, zgadza się, nie brzmi to przekonująco. Nie mamy zbyt wiele czasu, Hawkmoonie. Czy mam próbować stopić twoje łańcuchy nie spalając cię jednocześnie żywcem, czy też wolicie pozostać w swej loży, żeby nie uronić nic i z widowiska?

— Przepalaj te cholerne łańcuchy – mruknął Hawkmoon. –

Gdy oswobodzisz mi chociażby dłonie, będę przynajmniej miał możliwość udusić cię, jeśli kłamiesz.

D'Averc uniósł w górę miniaturową ognistą lancę i skierował ją pod kątem w stronę skrępowanych dłoni Hawkmoona. Wdusił przycisk i z wylotu bluznął strumień intensywnego żaru. Hawkmoon poczuł, że ogień opala mu przedramię, ale zacisnął tylko zęby. Ból stawał się coraz bardziej dokuczliwy, aż w końcu pomyślał, że nie zdoła powstrzymać krzyku i w tym momencie rozległ się brzęk spadającego na dno wozu łańcucha, a on poczuł się uwolniony od części ciężaru. Miał wolną jedną rękę, prawą. Chciał ją rozruszać, ale omal nie zawył z bólu, kiedy skóra zetknęła się z częścią przepalonej na wylot zbroi.

— Szybciej – mruknął d'Averc. – Tutaj, naciągnij ten łańcuch, teraz będzie już łatwiej.

W końcu Hawkmoon został uwolniony z więzów, po czym obaj zajęli się odkuwaniem Yisseldy, a wreszcie Oladahna. W miarę upływu czasu d'Averc był wyraźnie coraz bardziej zdenerwowany.

— Mam tu wasze miecze – powiedział. – A także nowe maski i konie. Chodźcie za mną. Musimy się pospieszyć, zanim wróci Meliadus. Jeśli mam być szczery, spodziewałem się go tutaj już o wiele wcześniej.

Przemknęli wśród ciemności do miejsca, gdzie stały przywiązane konie, ponaciągali maski, przymocowali miecze do pasów, po czym wspięli na siodła.

W tej samej chwili usłyszeli odgłos kopyt galopujących w górę zbocza naprzeciwko nim koni, a po chwili okrzyki zdumienia i wściekłe ryki, mogące pochodzić tylko od Meliadusa.

— Szybciej – syknął d'Averc. – Musimy pędzić. Prosto do Kamargu!

Zmusili konie do szaleńczego galopu i pognali w dół w kierunku głównego pola bitwy.

— Z drogi! – wrzeszczał d'Averc. – Z drogi! Oddział musi przejechać! Posiłki na linię frontu!

Kiedy wjechali w największą gęstwinę obozowiska, ludzie uskakiwali na boki przed ich końmi, przeklinając czwórkę pędzących nieuważnie jeźdźców.

— Z drogi! – wykrzykiwał d'Averc. – Wiadomości dla Wielkiego Naczelnika! – Znalazł nawet czas, by odwrócić głowę i zawołać do Hawkmoona: – Czyż to nie nudne, posługiwać się znów tym samym kłamstwem?! Z drogi! – wrzasnął ponownie. – Lekarstwo dla dotkniętych zarazą!

Usłyszeli za sobą tętent koni Meliadusa i jego ludzi, którzy rzucili się w pościg. Przed sobą mieli walczące wciąż oddziały, chociaż bitwa straciła wiele na intensywności.

— Z drogi! – ryczał d'Averc. – Zrobić przejście dla barona Meliadusa!

Konie roztrącały grupki ludzi, mijały maszyny wojenne, galopowały przez ogniska, unosząc ich wciąż bliżej i bliżej wież Kamargu, za nimi natomiast rozbrzmiewały nawoływania jeźdźców barona.

— Dotarli wreszcie do miejsca, gdzie konie musiały już tylko przeskakiwać ciała zabitych Granbretańczyków, zostawili bowiem główne siły wroga za sobą.

— Ściągnijcie maski! – zawołał d'Averc. – To nasza jedyna szansa. Jeśli Kamargijczycy w porę rozpoznają ciebie i Yisseldę, wstrzymają ogień. Jeśli nie...

Z ciemności wyskoczył płomień ognistej lancy o milimetry chybiając d'Averca. Za ich plecami rozпалиły się, szukając swego łupu, kolejne ogniste lance, bez wątpienia kierowane przez ludzi

Meliadusa. Hawkmoon sięgnął ku wiązaniom swego hełmu połączonego z maską i po jakimś czasie udało mu się rozpiąć je i odrzucić hełm za siebie.

— Stójcie! – dogonił ich mocny głos Meliadusa. – Zostaniecie zabici przez swoich żołnierzy! Głupcy!

Znów rozbłysły od strony Kamargu ogniste lance, przecinając noc czerwonymi wstęgami światła. Konie musiały zwolnić nieco biegu z powodu liczby zalegających pole ciał. D'Averc położył się płasko na karku konia, Yisselda i Oladahń także pochylił się nisko, lecz Hawkmoon wyciągnął swój miecz i zawołał:

— Ludzie z Kamargu! To ja, Hawkmoon! Hawkmoon wrócił!

Ogień z lanc nie słabł, udawało się im jednak podjeżdżać coraz bliżej wieży. Nagle d'Averc wyprostował się w siodle.

— Kamargijczycy! Przywożę wam Hawkmoona, który... – zamilkł, dosięgnięty przez ogień. Rozrzucił szeroko ręce, krzyknął i zaczął się zsuwać z siodła, lecz księżę błyskawicznie zbliżył się do niego i podtrzymał go. Zbroja d'Averca była rozpalona do czerwoności, miejscami stopiona, ale żył jeszcze. Spomiędzy pokrytych pęcherzami warg wydobył się słaby śmiech.

— To była wielka pomyłka, Hawkmoonie, wiązać swój los z twoją osobą...

Pozostała dwójka także się zatrzymała, a konie zadreptały w miejscu zdezorientowane. Baron Meliadus i jego ludzie zbliżali się szybko.

— Weź wodze jego konia, Oladahńie – rzekł Hawkmoon. – Ja będę go podtrzymywał w siodle i spróbujemy dostać się jeszcze bliżej wieży.

Znowu strzelił płomień, tym razem od strony

Granbretańczyków.

— Zatrzymaj się, Hawkmoonie!

Ale Hawkmoon zignorował polecenie. Powoli ruszył do przodu, lawirując w błocie między zalegającym gęsto żniwem śmierci, starając się podtrzymać d'Averca.

Z wieży strzelił potężny strumień światła.

— Ludzie z Kamargu! – zawołał. – To ja, Hawkmoon! I Yisselda, córka hrabiego Brass!

Światło zgasło. Konie Meliadusa były coraz bliżej. Yisselda także chwiała się w siodle z wyczerpania. Hawkmoon przygotował się już na spotkanie z jeźdźcami barona.

Nagle w dół zbocza ruszyła ławą linia zakutych w zbroje Gwardzistów, dosiadających białych rogatych koni z Kamargu; po chwili otoczyli całą czwórkę.

Jeden z Gwardzistów zajrzał uważnie w twarz Hawkmoona i jego oczy zapłonęły radością.

— To mój pan, Hawkmoon! A to Yisselda! Ach, teraz wróci do nas szczęście!

Meliadus i jego ludzie na widok Kamargijczyków zatrzymali konie, po czym zawrócili i zniknęli w ciemnościach.

Rankiem, kiedy dojeżdżali do Zamku Brass, blade promienie słoneczne oświetliły laguny, a dzikie byki unosiły głowy u swych wodopojów, spoglądając na mijających ich jeźdźców. Wiatr buszował w trzcinach, wzbudzając fale jak na morzu, a wzgórze górujące nad miastem pełne było zaczynających właśnie dojrzewać winogron i innych owoców. Na szczycie wzgórza wznosił się Zamek Brass – stary i solidny, z pozoru nie dotknięty wojnami toczącymi się na granicach prowincji, której strzegł.

Wjechali pod górę krętą, białą drogą i znaleźli się na dziedzińcu, gdzie uradowani stajenni pospieszili, by zająć się ich

końmi. Weszli wreszcie do głównej sali, wypełnionej trofeami hrabiego Brass. Było tu dziwnie zimno i cicho, a przy olbrzymim kominku oczekiwała ich samotna postać – chociaż uśmiechnięty, to jednak z oczyma przepełnionymi troską, o twarzy znacznie postarzałej od czasu, kiedy Hawkmoon widział go po raz ostatni; był to Bowgentle, mędrzec, filozof-poeta.

Objął Yisseldę, po czym uściśnął dłoń Hawkmoona.

— Jak się miewa hrabia Brass? – zapytał Hawkmoon.

— Fizycznie nic mu nie dolega, ale stracił ochotę do życia – odparł Bowgentle, pokazując służącym, żeby zajęli się d'Avercem. – Zabierzcie go do pokoju w północnej wieży, do pokoju lekarskiego. Zajmę się nim, jak tylko będę mógł. Chodźcie – dodał. – Sami się przekonacie.

Zostawili Oladahna, by towarzyszył d'Avercowi, i ruszyli starymi kamiennymi schodami na piętro, gdzie jak dawniej znajdowały się apartamenty hrabiego Brass. Bowgentle otworzył drzwi, po czym weszli do sypialni.

Stało tu proste wojskowe łóżko, wielkie, niemal kwadratowe, zasłane białymi prześcieradłami i płaskimi poduszkami. Na poduszkach spoczywała jakby wyrzeźbiona z metalu głowa. W rudych włosach było trochę więcej siwizny, opalona zwykle twarz była bardziej blada, ale czerwone wąsy nie zmieniły się w ogóle. Grube brwi, zwieszające się ponad głęboko osadzonymi złotobrazowymi oczyma, niczym skalne półki nad wejściem do jaskini, również się nie zmieniły. Ale oczy wpatrywały się w sufit bez mrugnięcia powiekami, a wargi nie poruszały się, zastygłe w wyrazie zaciętości.

— Hrabio Brass – mruknął Bowgentle. – Popatrz.

Ale oczy pozostały nieruchome. Hawkmoon zmuszony był podejść bliżej, żeby zajrzeć prosto w twarz leżącego. Podobnie

uczyniła Yisselda.

— Hrabio Brass, twoja córka Yisselda wróciła. Dorian Hawkmoon także.

Wargi rozchyliły się i rozległ się niewyraźny pomruk.

— Kolejne złudzenia. Sądziłem, że gorączka już minęła, Bowgentle.

— Bo tak jest, mój panie. To nie przywidzenia. Oczy poruszyły się i spojrzały na nich.

— Czyżbym umarł w końcu i połączył się z wami, moje dzieci?

— Jesteś na ziemi, hrabio! – odezwał się Hawkmoon. Yisselda pochyliła się i ucałowała wargi ojca.

— To jest ziemski pocałunek, ojcze.

Stopniowo zacięty wyraz na wargach zaczął topnieć, aż pojawił się na nich pogłębiający się uśmiech. Ciało w pościeli poruszyło się i nagle hrabia Brass usiadł prosto.

— Ach! To prawda. Straciłem już nadzieję! Głupiec ze mnie, żeby tracić nadzieję! – Zaśmiał się na głos, odzyskując nagle swą dawną witalność.

Bowgentle był oszołomiony.

— Hrabio Brass... sądziłem, że jesteś ledwie krok od śmierci.

— Bo tak było, Bowgentle. Ale odskoczyłem z powrotem, jak widzisz. Wróciłem z dalekiej podróży. Co z obłężeniem, Hawkmoonie?

— Nie jest dobrze. Ale gotów jestem się założyć, że teraz, kiedy wszyscy troje znów jesteśmy razem, wszystko pójdzie lepiej.

— Tak. Bowgentle, przynieś moją zbroję. A gdzie jest mój miecz?

— Ależ... wciąż musisz być bardzo osłabiony...

— A więc przynieście mi jedzenia, dużo dobrego jadła. Wzmocnię się, a tymczasem porozmawiamy.

To rzekłszy hrabia Brass wyskoczył z łóżka, by uścisnąć córkę i jej narzeczonego.

Kiedy posilali się w głównej sali, Dorian Hawkmoon opowiedział hrabiemu, co mu się przydarzyło w ciągu tych wielu miesięcy od czasu opuszczenia zamku. Hrabia Brass ze swej strony opowiedział o trudach walki z całą, jakby się mogło wydawać, potęgą Mrocznego Imperium. Opowiedział o ostatniej bitwie von Villacha i jego bohaterskiej śmierci, kiedy to zabrał ze sobą kilkadziesiąt dusz Mrocznego Imperium, o odniesionych przez siebie ranach, wreszcie o tym, jak dowiedział się o zniknięciu Yisseldy i stracił wszelką ochotę do życia.

Oladahń zszedł do sali i został przedstawiony hrabiemu. Stwierdził, że d'Averc jest poważnie ranny, ale Bowgentle utrzymuje, że go wyleczy.

Generalnie był to radosny powrót do domu, przyćmiewany jedynie świadomością, że na granicach Gwardziści poświęcają własne życie, tocząc niemal na pewno przegrany bój.

Hrabia Brass założył swą spiżową zbroję i przytwierdził olbrzymich rozmiarów miecz. Gdy stanął w pełnym rynsztunku, górował nad wszystkimi.

— Chodźmy, Hawkmoonie, Oladahnie – powiedział. – Musimy udać się na pole bitwy i poprowadzić naszych ludzi do zwycięstwa.

Bowgentle westchnął.

— Jeszcze dwie godziny temu mogłem cię uważać za prawie martwego, a teraz ruszasz do bitwy... Nie jesteś jeszcze całkiem sprawny.

— Moja choroba była dolegliwością ducha, a nie ciała, jestem już wyleczony – ryknął hrabia Brass. – Konie! Powiedz im, żeby przyprowadzili nasze konie, Bowgentle!

Chociaż setnie umęczony, Hawkmoon odzyskał wiele ze swego wigoru, wychodząc w ślad za starym człowiekiem z zamku. Przesłał jeszcze całusa Yisseldzie i oto znów znalazł się na dziedzińcu, gdzie dosiadł konia, który miał go zanieść na pole bitwy.

Ruszyli w trzech galopem tajemnymi ścieżkami przez trzęsawiska, płosząc olbrzymie stada gigantycznych flamingów, które wzbijały się im nad głowy, oraz hordy dzikich rogatych koni, umykających przed nimi na wszystkie strony.

— Taki kraj wart jest tego, by bronić go ze wszystkich sił. – Hrabia Brass pomachał osłoniętą rękawicą dłonią. – Jego spokój powinien być strzeżony.

Wkrótce zaczęły do nich docierać odgłosy bitwy, a następnie znaleźli się w miejscu, gdzie siły Mrocznego Imperium przedarły się poza linię wież. Zatrzymali nagle konie, gdyż ujrzeli to najgorsze.,

— To niemożliwe – odezwał się hrabia Brass przerażonym szeptem.

A jednak była to prawda.

Wieże obalono. Każda z nich została zamieniona w stos dymiących gruzów. obrońcy byli bez przerwy spychani w tył, chociaż walczyli z niezwykłą odwagą.

- To jest upadek Kamargu – rzekł hrabia Brass głosem postarzałego nagle człowieka.

ROZDZIAŁ XI

POWRÓT RYCERZA

Dostrzegł ich jeden z kapitanów i zbliżył się do nich galopem. Jego zbroja była powgniatana, miecz złamany, lecz na twarzy malowała się radość. –Hrabia Brass! Wreszcie! Musimy przyjść z pomocą naszym ludziom, panie, i zepchnąć z powrotem żołdaków z Mrocznego Imperium!

Hawkmoon zauważył, że hrabia Brass z wysiłkiem zdobył się na uśmiech.

— Tak, kapitanie – rzekł, wyciągając swój olbrzymi miecz. – Proszę znaleźć jednego czy dwóch heroldów, niech obwieszczą wszystkim, że hrabia Brass wrócił!

Wśród przypartych do muru Kamargijczyków rozległy się wiwaty na widok hrabiego Brassy i Hawkmoona. Powstrzymano napór Granbretańczyków, a nawet zepchnięto ich nieco do tyłu. Hrabia Brass, z podążającymi jego śladem Hawkmoonem i Oladahnem, skierował się ku największemu skupisku swoich wojsk. Znow przypominał niezwyciężonego człowieka z metalu.

— Na bok, chłopcy! – zawołał. – Przepuście mnie do naszych wrogów! Przejął swój zniszczony sztandar z rąk jednego z jeźdźców, umieścił go w zagięciu ręki, po czym wymachując mieczem ruszył w kierunku tłumu zwierzęcych masek.

Hawkmoon pojechał obok niego. Razem wyglądali niesłychanie złowroźnie, niczym jakieś nadprzyrodzone zjawisko – jeden w połyskującej zbroi ze spiżu, drugi z ciemnym klejnotem tkwiącym pośrodku czoła. Ich miecze unosiły się i

spadały na głowy tłoczącej się piechoty granbretańskiej. Kiedy dołączyła do nich trzecia postać – przysadzistego człowieka o twarzy pokrytej futrem, którego błyszczący pałasz spadał to tu, to tam niczym błyskawica – stworzyli trio rodem z mitologii, odbierające odwagę granbretańskim żołnierzom w zwierzęcych maskach, tak, że ci zaczęli się przed nimi cofać.

Hawkmoon szukał wzrokiem Meliadusa, wierząc święcie, że tym razem z pewnością go pokona, lecz nie mógł dostrzec barona nigdzie w pobliżu.

Dłonie w rękawicach próbowały ściągnąć go z siodła, ale jego miecz wdzierał się w wizjery masek, rozwalał hełmy, ścinał głowy z karków.

Dzień dobiegał końca, minio to walka toczyła się z wciąż taką samą zaciekłością. Hawkmoon chwiał się już w siodle, wycieńczony bitwą i na wpół zamroczony od bólu tuzina drobnych ran i znacznie większej liczby siniaków. Jego koń został, zabity, ale z powodu panującego wokół ścisku tkwił na nim jeszcze przez pół godziny, zanim zrozumiał, że zwierzę nie żyje. Zeskoczył wówczas na ziemię i kontynuował walkę stojąc.

Zdawał sobie jednak sprawę, że bez względu na to, ilu przeciwników zabija, i tak pozostaną w znacznej mniejszości, do tego źle uzbrojonej. Stopniowo, krok po kroku spychano Kamargijczyków do tyłu.

— Ach – mruknął sam do siebie. – Gdybyśmy mieli tylko kilka setek świeżych posiłków, moglibyśmy wygrać tę bitwę. Na Magiczną Laskę, potrzebujemy wsparcia!

Nagle poczuł dziwnie elektryzujący dreszcz, przenikający całe jego ciało. Nabrał głęboko powietrza, zrozumiał, co się stało. Oto nieświadomie przywołał moc Magicznej Laski. Czerwony Amulet, płonący teraz u jego szyi i emanujący szkarłatnym

światłem na zbroje tłoczących się wrogów, przekazywał moc do jego ciała. Zaśmiał się i zaczął rąbać dokoła z fantastyczną siłą, wycinając szybko szerokie koło wśród atakujących go żołnierzy. Jego miecz pękł, lecz błyskawicznie pochwycił lancę nacierającego na niego jeźdźca, ściągnął człowieka z siodła, a następnie wywijając lancą niczym mieczem skoczył na konia i ruszył do ataku.

— Hawkmoon! Hawkmoon! – wykrzyknął stare zawołanie bitewne swoich przodków. – Hej, Oladahnie! Hrabio Brass! – Zaczął wycinać przejście wśród tłumu żołnierzy w zwierzęcych maskach, oddzielających go od przyjaciół. Sztandar hrabiego Brassa wciąż powiewał dumnie w rękach dowódcy Kamargijczyków.

— Zepchniemy ich w tył! – krzyknął Hawkmoon. – Zepchniemy ich w tył do naszych granic!

Hawkmoon był wszędzie naraz, niczym nieuchwytny wysłaniec śmierci. Szalał wśród szeregów Granbretańczyków, a tam, gdzie przejechał, zostawały jedynie ciała zabitych. Od strony wroga rozlegał się coraz głośniejszy pomruk, a szeregi poczęły się załamywać.

Wkrótce rozpoczęli odwrót, często po prostu uciekając z pola bitwy. Wtedy to ukazał się baron Meliadus, nawołujący ludzi, by zawrócili i stanęli do walki.

— Wracać! – wrzeszczał. – Przelekleście się tej garstki?!

Ale jego armia znajdowała się już na całej linii w odwrocie i on sam, porwany przez falę wycofujących się żołnierzy, musiał również uciekać na tyły.

r Zmykali w przerażeniu przed bladolicym księciem z błyszczącym pośrodku czoła czarnym klejnotem; jego miecz spadał wszędzie, a z szyi zwieszał się amulet rozsiewający

szkarłatny ogień. Dziki rumak księcia zdawał się tratować kopytami ich głowy. Słyszeli, jak wykrzykuje imię nieżyjącego człowieka – niemal jakby to on sam był już nieżyjącym Dorianem Hawkmoonem, który oto powstał przeciwko nim i niemal zwyciężył w bitwie pod Koln, który oparł się samemu Królowi-Imperatorowi, który omal nie zabił barona Meliadusa, a teraz pokonał go już nie po raz pierwszy. Hawkmoon! Było to jedyne imię siejące postrach w szeregach Mrocznego Imperium.

— Hawkmoon! Hawkmoon! – wykrzykiwała postać z, uniesionym w górę mieczem na stojącym dęba koniu. – Hawkmoon!

Posiadłszy moc Czerwonego Amuletu Hawkmoon dziesiątkował umykającą armię, zanosząc się przy tym dzikim śmiechem, niemalże pijany triumfem. Za nim podążał hrabia Brass, przerażający w swej krwawo-złotej zbroi, z olbrzymim mieczem ociekającym krwią nieprzyjaciół; dalej Oladah, z uśmiechem rozlanym na futrzastej twarzy i błyszczącymi perełkami oczu, z pałaszem okrytym plamami posoki; za nimi postępowały triumfujące oddziały Kamargu, zaledwie garstka obrońców, ślących drwiny w ślad za wycofującą się potężną armią.

Wreszcie moc amuletu zaczęła odpływać z ciała Hawkmoona, odczuł powracający ból i dotkliwe wyczerpanie, ale teraz nie miało to już znaczenia. Dotarli do poznaczonej ruinami wież granicy i zatrzymali się, spoglądając za uciekającymi najeźdźcami.

Oladah zaśmiał się głośno.

— Zwyciężyliśmy, Hawkmoonie! Ale hrabia Brass zmarszczył brwi.

— Tak, ale następnej bitwy nie przetrzymamy. Musimy się

wycofać, przegrupować, znaleźć jakieś bezpieczniejsze miejsce dla sztyków obronnych, ponieważ nie uda nam się już więcej pokonać ich w otwartym polu.

— To prawda – przytaknął Hawkmoon. – Teraz, kiedy wieże leżą w gruzach, musimy znaleźć inny teren, nadający się do obrony. A jest tylko jedno takie miejsce, jeśli się zastanowić... – popatrzył na hrabiego,:

— Owszem, Zamek Brass – przyznał stary człowiek. – Musimy rozesłać wici do wszystkich miasteczek i wsi Kamargu, żeby ludzie zbierali swój dobytek i zwierzęta i zmierzali do Aigues-Mortes...

— Czy damy radę wytrzymać napór takiej masy wojska przy długotrwałym oblężeniu? – zapytał Hawkmoon.

— Zobaczymy – odparł hrabia Brass ze wzrokiem utkwionym w przegrupowującej się w oddali armii. – Przynajmniej zapewnimy ludziom jako taką ochronę, kiedy oddziały Mrocznego Imperium rozpełzną się po całym Kamargu..

W jego oczach pojawiły się łzy. Zawrócił konia i ruszył w drogę powrotną do zamku.

Z balkonu swego pokoju we wschodniej wieży Hawkmoon przyglądał się potokom ludzi i zwierząt, wlewającym się pod osłonę starych murów Aigues-Mortes. Większość ludzi obozowała w wielkim amfiteatrze na krańcach miasta. Żołnierze gromadzili zapasy żywności i pomagali uchodźcom pchać wózki z dobytkiem. Do wieczora prawie wszyscy mieszkańcy kraju znaleźli schronienie wewnątrz murów, gromadząc się w domach lub też obozując na ulicach. Hawkmoon modlił się tylko, by nie dotknęła ich zaraza, albo nie wybuchła panika, ponieważ trudno było kontrolować tak liczny tłum.

Przy jego boku na balkonie stanął Oladah, wskazując w

kierunku północno-wschodnim.

— Spójrz – powiedział. – Latające maszyny.

Hawkmoon dostrzegł na horyzoncie złowrogie kształty kłębiących się w powietrzu skrzydłolotów Mrocznego Imperium – nieomylny znak, że armia Granbretanu przemieszcza się.

Po zapadnięciu zmroku dostrzegli blask ognisk obozujących najbliżej oddziałów.

— Jutro rozegra się nasza ostatnia bitwa – powiedział Hawkmoon.

Zeszli na dół, do głównej sali, gdzie Bowgentle rozmawiał z hrabią Brassem. Stół był nie mniej suto niż zazwyczaj zastawiony jadłem. Obaj mężczyźni zwrócili twarze ku wchodzącym do sali Hawkmoonowi i Oladahnowi.

— Jak się czuje d'Averc? – zapytał księżę.

— Odzyskuje siły – odparł Bowgentle. – To człowiek o wielkiej wytrzymałości. Mówi, że chciałby wstać z łóżka i zjeść dzisiaj z nami kolację. Pozwoliłem mu na to.

W drzwiach pojawiła się Yisselda.

— Rozmawiałam z kobietami – powiedziała. – Utrzymują, że wszyscy są już wewnątrz murów. Zapasów żywności mamy tyle, że możemy wytrzymać choćby i rok, zabijając zwierzęta...

Hrabia Brass uśmiechnął się smutno.

— Ta decydująca bitwa nie będzie trwała aż tak długo. A jakie jest nastawienie ludzi w mieście?.

— Dobrze – odpowiedziała. – Zwłaszcza teraz, kiedy dowiedzieli się już o odniesionym dzisiaj zwycięstwie i wiedzą, że obaj żyjecie.

— To dobrze – rzekł ociężale hrabia Brass – że nie zdają sobie sprawy, iż jutro umrą. A jeśli nie jutro, to w następnych dniach. Nie jesteśmy w stanie opierać się długo takiej masie wojska, moja

droga. Większość naszych flamingów została zabita, nie dysponujemy więc prawie żadną osłoną w powietrzu. Część naszych Gwardzistów także poległa, a oddziały, jakie możemy wystawić, będą się składać głównie z ochotników.

Bowgentle westchnął.

— A sądziliśmy, że Kamarg nigdy nie upadnie...

— Czyżbyście byli pewni porażki? – rozbrzmiał głos od strony schodów. Był to blady d'Averc, odziany w luźny brunatny szlafrok, kuśtykający po schodach na dół. – W takim nastroju na pewno przegracie. Moglibyście przynajmniej spróbować mówić o zwycięstwie.

— Masz rację, panie – odparł hrabia Brass, z wielkim wysiłkiem woli starając się okazać lepszy nastrój. – Najpierw skosztujmy tego sycącego pożywienia, by odzyskać energię przed jutrzejszymi zmaganiem.

— Jak się czujesz, Huillamie? – zapytał Hawkmoon, kiedy wszyscy zasiedli do stołu.

— Dosyć dobrze – odparł beztrosko d'Averc. – Może będę w stanie posilić się nieco – dodał, nakładając sobie na talerz ogromną porcję mięsiwa.

Jedli jednak w milczeniu, zdając sobie sprawę, że może to być ich ostatni tak obfity posiłek.

Kiedy następnego ranka Hawkmoon wyjrzał przez okno, spostrzegł, że trzęsawiska zaroily się od ludzi. W ciągu nocy armia Mrocznego Imperium podeszła pod mury i szykowała się do szturm.

Ubrał się szybko, nałożył zbroję i zszedł na dół do holu, gdzie zastał już d'Averca w połatanym rynsztunku, Oladahna czyszczącego pałasz oraz hrabiego Brass, omawiającego z dwoma ocalałymi kapitanami swej gwardii niektóre aspekty

czekającego ich starcia.

W holu panowała atmosfera napięcia, a ludzie porozumiewali się szeptem.

Zjawiała się także Yisselda i zawołała go miękkiem głosem:

— Dorianie...

Odwrócił się i wbiegł szybko na platformę schodów, gdzie stała, po czym objął ją ramionami, przytulił mocno do siebie i delikatnie pocałował w czoło.

— Dorianie – powiedziała. – Pobierzmy się, zanim...

— Oczywiście – odparł cicho. – Chodźmy poszukać Bowgentle'a.

Znaleźli filozofa w jego pokojach, pogrążonego nad książką. Podniósł wzrok i uśmiechnął się. Powiedzieli mu, po co przyszli, odłożył więc książkę na bok.

— Miałem nadzieję na wielką ceremonię – rzekł. – Ale rozumiem...

Uklęknęli przed nim, a on połączył ich dłonie i wypowiedział słowa swej własnej formuły, używane zawsze przy zawieraniu małżeństw, od czasu kiedy wraz z hrabią osiedli w Zamku Brass.

Gdy skończył, Hawkmoon powstał i ucałował raz jeszcze Yisseldę.

— Uważaj na nią, Bowgentle – rzekł, po czym wyszedł z pokoju, żeby dołączyć do przyjaciół, opuszczających właśnie hol, by udać się na dziedziniec.

Kiedy dosiedli koni, na dziedziniec zamkowy padł nagle wielki cień, a do ich uszu dotarło charakterystyczne brzęczenie i furkotanie, mogące oznaczać jedynie pojawienie się skrzydłolotu Mrocznego Imperium. Z maszyny wystrzelił strumień ognia, który liznął kamienie, o centymetry zaledwie mijając Hawkmoona i powodując, że jego koń stanął dęba z

rozszerzonymi chrapami i wywróconymi oczyma.

Hrabia Brass uniósł w górę ognistą lancę, w którą zdążył się wcześniej zaopatrzyć, po czym wcisnął przycisk. Struga czerwonego ognia wyskoczyła do góry w kierunku skrzydłolotu. Usłyszeli wrzask pilota, a skrzydła latającej maszyny zamarły w bezruchu. Gdzieś poza ich polem widzenia, na zboczach wzgórza, machina rozbiła się.

— Muszę wyznaczyć stanowiska dla lansjerów na wieżach zamku – rzekł hrabia Brass. – Będą mieli wiele okazji, by strącać skrzydłoloty. Chodźcie, panowie. Ruszamy do bitwy.

Kiedy minęli mury zamku i zjeżdżali drogą w dół do miasta, dostrzegli, że olbrzymia fala ludzi wspina się już na mury miejskie, a kamarscy żołnierze desperacko usiłują zepchnąć ich z powrotem.

Skrzydłoloty, przypominające groteskowe ptaki z metalu, kręciły się nad miastem, zalewając ulice strumieniami płomieni. Powietrze wypełniały okrzyki mieszkańców miasta, ryk ognistych lanc oraz brzęk metalu uderzającego o metal. Nad Aigues-Mortes wisiały kłęby czarnego dymu, a niektóre zabudowania pochłaniał już ogień.

Hawkmoon pognał konia w dół, do miasta, mijając grupy przerażonych kobiet i dzieci, by jak najszybciej znaleźć się na murach i dołączyć do bitwy. Hrabia Brass, d'Averc i Oladah n przenosili się to tu, to tam, pomagając odeprzeć fale napastników, usiłujących wedrzeć się do wewnątrz.

Nagle przy umocnieniach rozległy się zdesperowane okrzyki, którym – jak echo – odpowiedziały triumfalne wiwaty. Hawkmoon ruszył biegiem w tamtym kierunku. Dostrzegł, że w szeregach obrońców na murach otworzyła się luka, przez którą wlewa się strumień żołnierzy Mrocznego Imperium, noszących

maski wilków i niedźwiedzi.

Hawkmoon runął na nich, a szeregi zachwiały się nagle na wspomnienie wczorajszych doświadczeń. Nie dysponował już nadludzką siłą, wykorzystał jednak wahanie wrogów, by wykrzyknąć zawołanie bitewne swoich przodków.

— Hawkmoon! Hawkmoon! – wrzasnął, po czym skoczył między nich, tnąc mieczem metal, ciało i kości i spychając przeciwnika z powrotem przez wyłom.

W ten sposób walczyli cały dzień i udało im się utrzymać miasto, mimo iż liczba obrońców znacznie stopniała. A kiedy zapadła noc, Hawkmoon uświadomił sobie, podobnie jak jego przyjaciele, że następny dzień musi im przynieść porażkę.

W żałosnych nastrojach Hawkmoon, hrabia Brass i pozostali wiedli swe konie krętą drogą pod górę, w kierunku zamku. Na ich sercach ciążyła rozpacz z powodu tych wszystkich niewinnych ludzi, którzy stracili dzisiaj życie, oraz tych, równie niewinnych, którzy będą musieli umrzeć jutro – o ile będą mieli szczęście pożegnać się z życiem.

W pewnej chwili usłyszeli za sobą odgłos galopującego konia. Odwrócili się, szykując miecze, ujrzeni jednak dziwną postać wysokiego jeźdźca, wspinającego się na wzgórze w kierunku zamku. Długi hełm w całości skrywał jego twarz, a cała zbroja nosiła barwy czarne i złote.

Hawkmoon skrzywił się.

— Czegóż ten podstępny złodziej tutaj szuka? – odezwał się.

Rycerz w Czerni i Złocie zatrzymał przed nimi swego wielkiego konia. Z głębin jego hełmu rozległ się głęboki, wibrujący głos.

— Pozdrowienia, obrońcy Kamargu. Widzę, że nie wiecie się wam najlepiej. Baron Meliadus pokona was jutro.

Hawkmoon strzępem materiału otarł czoło.

— Nie musisz nam mówić oczywistych rzeczy, Rycerzu. Cóż tym razem przyjechałeś wykraść?

— Nic – odparł Rycerz. – Przybyłem, żeby coś doręczyć. – Sięgnął za siebie, wyciągając zniszczone torby podróżne Hawkmoona.

Ten rozchmurzył się, pochylił do przodu, chwycił torby, po czym szybko otworzył je i zajrzał do środka. Wewnątrz, zawinięty w płaszcz, spoczywał przedmiot, który już tak dawno temu otrzymał w darze od Rinala. Był bezpieczny. Odwinął połę płaszcza i ujrzał nie drażniętą nawet powierzchnię kryształu.

— Dlaczego wtedy zabrałeś go ze sobą? – zapytał.

— Udajmy się do Zamku Brass, tam wyjaśnię ci wszystko – odparł Rycerz.

W głównej sali zamkowej Rycerz stanął przy ogromnym kominku, pozostali zaś rozsiedli się dokoła w różnych pozach, zamieniając się w słuch.

— W zamku Szalonego Boga – zaczął opowieść Rycerz – zostawiłem was samym sobie, ponieważ wiedziałem, że wykorzystując bestie Szalonego Boga szybko umkniecie z tamtego niebezpiecznego miejsca. Ale wiedziałem też, że czyhają na was inne niebezpieczeństwa i domyślałem się, że możecie zostać schwytani. Dlatego też postanowiłem zabrać przedmiot, który otrzymałeś od Rinala i przechować go do czasu, aż znajdziecie się z powrotem w Kamargu.

— A ja uznałem ciebie za złodzieja! – stwierdził Hawkmoon. – Wybacz mi, Rycerzu.

— Cóż to jest za przedmiot? – zapytał hrabia Brass.

— To starożytna maszyna – odpowiedział Rycerz. – Produkt jednej z najbardziej wyrafinowanych kultur, jakie pojawiły się na tej planecie.

— Czy to jest broń? – zapytał hrabia Brass.

— Nie. To urządzenie pozwalające wyrwać cały obszar z tego czasu i przestrzeni i przenieść go w inny wymiar. Dopóki ta maszyna istnieje, może roztaczać swą moc, lecz jeśli nieszczęśliwym trafem zostanie zniszczona, wówczas cały przeniesiony przez nią obszar powróci natychmiast do swej oryginalnej czasoprzestrzeni.

— A w jaki sposób to działa? – spytał Hawkmoon, przypomniawszy sobie nagle, że wiedzy tej nie przekazano mu wraz z darem.

— Trudno by mi było to wyjaśnić, ponieważ nie zrozumielibyście ani jednego słowa spośród tych, którymi musiałbym się posłużyć – odparł Rycerz w Czerni i Złocie. – Ale Rinal nauczył mnie, między innymi, jak z tego korzystać, mogę więc uruchomić maszynę.

— W jakim celu? – zapytał d'Averc. – Żeby przenieść nękającego nas barona i jego ludzi razem z nami do jakiegoś przedpiekła, gdzie będą nas męczyć dalej?

— Nie – powiedział Rycerz. – Mogę to wyjaśnić... Drzwi zamku otwarły się z hukiem i do holu wpadł żołnierz w poobijanej zbroi.

— Panie! – zakrzyknął do hrabiego Brassa. – Przybył baron Meliadus z białą flagą. Chce rozmawiać z tobą na murach miasta.

— Nie mam mu nic do powiedzenia – odparł hrabia Brass.

— On twierdzi, że ma zamiar zaatakować nocą, że jest w stanie sforsować mury w ciągu godziny, ponieważ otrzymał świeże posiłki. Powiedział, że jeśli twoja córka, Hawkmoon, d'Averc i ty sam oddacie się w jego ręce, łagodnie obejdzie się z pozostałymi.

Hrabia Brass zamyślił się na moment, lecz wtrącił się Hawkmoon:

— To bezsensowne rozważać tego typu ugode, hrabio Brass. Obaj znamy upodobanie Meliadusa do podstępów. Pragnie jedynie zdemoralizować ludzi, by łatwiej osiągnąć zwycięstwo.

Hrabia Brass westchnął.

— Ale jeśli to, co mówi, jest prawdą, a nie mam podstaw, by w to nie wierzyć, w krótkim czasie może wedrzeć się na mury, a wtedy wszyscy zginiemy.

— Przynajmniej z honorem – wtrącił d'Averc.

— Owszem – przyznał hrabia Brass z nieco ironicznym uśmiechem. – Przynajmniej z honorem. – Odwrócił się do kuriera. – Powiedzcie baronowi Meliadusowi, że nie mamy ochoty z nim rozmawiać.

Żołnierz skłonił się.

— Tak uczynię, mój panie – rzekł, po czym wyszedł z sali.

— Lepiej wracajmy na mury – zaproponował hrabia Brass, podnosząc się ociężale. W tej samej chwili do sali weszła Yisselda.

— Ach, ojczec, Dodanie... obaj jesteście bezpieczni... Hawkmoon objął ją.

— Ale musimy już wracać – powiedział łagodnym głosem. – Meliadus szykuje się, by przypuścić kolejny atak.

— Zaczekajcie – odezwał się Rycerz w Czerni i Złocie. – Muszę wam przecież przedstawić mój plan.

ROZDZIAŁ XII

UCIECZKA DO PRZEDPIEKLA

Baron Meliadus uśmiechnął się tylko, kiedy usłyszał informację przekazaną przez kuriera. – Bardzo dobrze – rzekł do swych adiutantów. – Niech całe miasto legnie w gruzach, weźcie też jak najwięcej jego mieszkańców żywcem, byśmy mieli mnóstwo uciechy w dniu naszego zwycięstwa. Zawrócił konia i pojechał w kierunku oczekujących na niego świeżych oddziałów.

— Naprzód! – rozkazał, po czym przyglądał się, jak wielka fala wojska rusza w kierunku przeklętego miasta i górującego nad nim zamku.

Dostrzegł ogniska na murach obronnych i nieliczne garstki czuwających żołnierzy; musieli mieć świadomość, że nie przeżyją tego ataku. Spojrzał następnie na strzelistą sylwetkę zamku, niegdyś tak wspaniale strzegącego całego miasta. Zachichotał. Gdzieś w głębi ciała poczuł dziwne ciepło. Marzył o tym zwycięstwie już od chwili, kiedy jakieś dwa lata temu został stąd wypędzony.

Jego oddziały zbliżyły się do murów miasta. Ścisnął kolanami boki konia, by podjechać trochę bliżej i lepiej obserwować przebieg bitwy.

Nagle zmarszczył brwi. Odniósł wrażenie, że coś dziwnego dzieje się ze światłem. Kontury miasta i zamku niepokojąco zafalowały przed jego oczyma. Odchylił maskę i przetarł oczy, a potem popatrzył jeszcze raz.

Zamek Brass i całe Aigues-Mortes zdawały się rozpalać,

najpierw na różowo, potem przez bladą czerwień aż do szkarłatu. Baronowi Meliadusowi poczęło szumieć w głowie. Oblizwał spierzchnięte wargi, pełen obawy, że wariuje.

Jego oddziały wstrzymały natarcie i z coraz głośniejszymi pomrukami zaczęły się wycofywać. Całe miasto, wzgórze i widniejący na nim zamek gorzały teraz jaskrawym błękitem. Barwa ta poczęła stopniowo zanikać, ale wraz z nią także Zamek Brass i Aigues-Mortes. Porywisty wiatr odchylił barona Meliadusa daleko do tyłu w siodle.

— Straże! – krzyknął. – Co się stało?!

— To całe miejsce... zniknęło, panie – odparł mu zdenerwowany głos.

— Zniknęło! To niemożliwe. Jak może zniknąć miasto wraz ze wzgórzem? Ono wciąż tam jest. Musieli rozwinąć wokół miasta jakiś rodzaj ekranu.

Baron Meliadus jak szalony pognał konia w kierunku, gdzie jeszcze niedawno wznosiły się mury, spodziewając się napotkać jakiegoś typu barierę, ale nic nie stanęło mu na drodze. Tylko kopyta jego konia zaczęły grzęznąć w sypkiej ziemi, wyglądającej, jakby ją niedawno zaorano.

— Uciekli mi! – zawył. – Ale jak? Dzięki jakiej wiedzy to się stało? Jaką to moc mogli osiąść, która byłaby większa od mojej?

Oddziały wycofywały się teraz na całej linii. Wielu żołnierzy biegło. Lecz baron Meliadus zsiadł z konia i wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał namacać niewidoczne miasto. Wrzeszczał z furii i płakał z bezsilnej wściekłości, aż w końcu padł na kolana i zaczął wygrażać pięścią w stronę, gdzie niedawno stał Zamek Brass.

— Znajdę cię, Hawkmoonie. Ciebie i twoich przyjaciół. Zaprzęgnę całą wiedzę Granbretanu do tych poszukiwań. Podążę

twoim tropem, gdziekolwiek byś się ukrył, czy to na ziemi, czy nawet poza nią, jeśli zajdzie taka potrzeba, a wtedy poznasz smak mojej zemsty. Na Magiczną Laskę! Przysięgam ci to!

Uniósł głowę, kiedy usłyszał tętent kopyt mijającego go konia. Zdawało mu się, że dostrzega zarys postaci rycerza w zbroi o barwach czarnej i złotej, zdawało mu się także, że słyszy niesamowity, ironiczny śmiech. Lecz i ów jeździec również zniknął.

Baron Meliadus podniósł się z kolan i zaczął rozglądać za swoim koniem.

— Och, Hawkmoonie! – syknął przez zaciśnięte zęby. – Hawkmoonie, dostanę cię!

Jeszcze raz złożył przysięgę na Magiczną Laskę, podobnie jak tamtego dżdżystego poranka dwa lata wcześniej. Jego uczynki zmieniły historię. Ta druga przysięga musiała ją zmienić jeszcze bardziej – niezależnie od tego, czy miało się to wszystko okazać łaskawe dla Meliadusa, czy dla Hawkmoona; musiała też wpłynąć na losy ich obu.

Baron Meliadus odnalazł swego konia i wrócił do obozowiska. Postanowił wyruszyć następnego ranka w drogę do Granbretanu, ku labiryntom laboratoriów Zakonu Węża. Stwierdził w duchu, że wcześniej czy później musi odnaleźć sposób na dotarcie do zaginionego Zamku Brass.

Yisselda ze zdumieniem spoglądała przez okno, a na jej twarzy malowała się radość. Hawkmoon uśmiechnął się do niej i przytulił dziewczynę do siebie. Za nimi zakasłał hrabia Brass.

— Jeśli mam być szczery, moje dzieci – odezwał się – jestem co nieco zmieszany tym... tą nauką. Gdzie teraz się znajdujemy? Jak on to nazwał?

— W jakimś innym Kamargu, ojciec – odpowiedziała Yisselda.

Widok za oknem był niecodzienny. Chociaż leżące pod zamkiem wzgórze i miasto były takie same, to reszta uległa zmianie. Dalszy krajobraz otaczało coś w rodzaju błękitnej aury; widniały tam i błyszczące laguny, i falujące trzciny, nie były jednak już zwyczajnie zielone i żółte, miały zupełnie inne kolory i mieniły się wszelkimi barwami tęczy, a ich zarysy nie były tak wyraziste, jak zarysy zamku i miasta.

— Powiedział, że możemy badać tę krainę – dodał Hawkmoon.
– Ona musi być znacznie bardziej rzeczywista, niż nam się w tej chwili wydaje.

D'Averc chrząknął.

— Myślę, że ja raczej pozostanę w mieście. Co ty na to, Oladahnie? Oladahn uśmiechnął się szeroko.

— Też tak sędzę. Przynajmniej do czasu, aż się bardziej z tym wszystkim oswoję.

— Cóż, podzielim to zdanie – stwierdził hrabia Brass, po czym zaśmiał się. – Ważne, że jesteśmy bezpieczni, prawda? I ludzie z miasta również. Mamy więc za co być wdzięczni.

— Tak – mruknął zamyślony Bowgentle. – Ale nie wolno nam lekceważyć śmiałej myśli naukowej Granbretańczyków. Jeśli istnieje jakaś droga dotarcia do nas tutaj, oni ją odnajdą. Możemy być tego pewni.

Hawkmoon skinął głową.

— Masz rację, Bowgentle – wskazał na podarunek Rinala, leżący pośrodku pustego stołu biesiadnego, otoczony dziwaczną, jasnobłękitną poświatą, wylewającą się na zewnątrz przez okna.
– Musimy trzymać ten przedmiot w najbezpieczniejszym skarbcu. Pamiętajmy, co powiedział Rycerz. Jeśli zostanie zniszczony, znajdziemy się z powrotem w naszym czasie i przestrzeni.

Bowgentle zbliżył się do maszyny i delikatnie podniósł ją ze stołu.

— Zadbam na pewno, żeby to było bezpieczne – powiedział.

Kiedy wyszedł z pokoju, Hawkmoon odwrócił się ponownie i zapatrzył w krajobraz za oknem, muskając palcami Czerwony Amulet.

— Rycerz powiedział, że zjawi się tu ponownie z wiadomościami i z misją dla mnie – rzekł. – Teraz nie mam już wątpliwości, że on jest sługą Magicznej Laski i że kiedy przybędzie tu, ja będę musiał opuścić Zamek Brass, opuścić to sanktuarium, by znów powrócić do świata. Musisz być na to przygotowana, Yisseldo.

— Nie mówmy o tym teraz – powiedziała. – Lepiej zajmijmy się świętowaniem naszego małżeństwa.

— Tak, zrobmy to – odparł z uśmiechem. Nie potrafił jednak całkowicie usunąć ze swoich myśli świadomości, że gdzieś tam, oddzielony od nich niepewnymi barierami, istnieje świat zagrożony przez Mroczne Imperium. Wysoko cenił sobie tę chwilę wytchnienia, ten czas, który mógł poświęcić ukochanej kobiecie, wiedział jednak, że wkrótce powróci do tamtego świata, by jeszcze raz toczyć bitwę z siłami Granbretanu.

Ale przez tę chwilę mógł cieszyć się szczęściem.

Koniec Tomu II